

Kronika
pechowych
wypadków

Do zakochania jeden rok

Joanna
Szarańska



Do
zakochania
jeden
rok

Joanna Szarańska

Do
zakochania
jeden
rok

Copyright © Joanna Szarańska, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka

Redakcja: Kinga Gąska

Korekta: Alicja Laskowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Design Partners (www.designpartners.pl)

Fotografie na okładce: © vlad_star | Depositphotos

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

eISBN 978-83-7976-996-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Dla Grzesia
Ja też wierzę w istnienie drugiej połowy,
z drugą połową meczu na czele ;)*

• ROZDZIAŁ PIERWSZY •

– Pół kilo parówek bez osłonek. Dwadzieścia deko łopatki mielonej. I dwa kotlety bez kości. Świeże?

Brwi młodej kobiety powędrowały w górę i zastygły w oczekiwaniu na odpowiedź. Korpulentna ekspedientka w białym fartuchu, z natapirowaną grzywą przykrytą sztywnym czepkiem, pośliniła palec wskazujący, wyłuskała z paczki foliowy woreczek i przechyliła się przez ladę, by sięgnąć do stalowej misy po zmielone mięso. Posłała przy tym w kierunku młodej klientki mordercze spojrzenie, od którego ta powinna pokryć się lodowatym potem, porzucić zamiar konsumowania jakiegokolwiek mięsa i w try miga przejść na wszelkie odmiany „-anizmu”.

– U nas zawsze jest świeże! – huknęło zza szklanej szyby.

Klientka skrzywiła się lekko.

– Ja wiem, ale babunia każe pytać. Nie chciałaby pani znaleźć się w mojej skórze, gdyby nie było.

– Babunia! – sapnęła ekspedientka, packając woreczkiem z mięsem na wagę. – Niech się szanowna babunia nie martwi! Zjecie obiadek, że palce lizać! – Cmoknęła.

Kupująca poczuła, że od odgłosów cmokania, widoku sprzedawanych specjałów i zapachu sklepu mięsnego robi jej się niedobrze, ale na szczęście właścicielka natapirowanej

grzywki już wołała o należność. Pospiesznie zaczęła przetrząsać kieszeń w poszukiwaniu pieniędzy.

– Gdyby chodziło o nasz obiadek, toby się babunia tak nie przejmowała. To dla kota – wyjaśniła, podając sprzedającej odliczoną kwotę.

Kobieta zmierzyła pełnym dezaprobaty wzrokiem najpierw podawane pieniądze, następnie wyciągniętą rękę, a na końcu klientkę, która wyraźnie pobladła i z zaciśniętymi w wąską kreseczkę ustami niecierpliwie potrząsała banknotem. Takie są te młode teraz, sarknęła w myśli. Siedzą przed komputerami, na słońce nie wyjdą, blade to i mizerne! A jakie przy tym nerwowe! Nie postoją w spokoju minuty! Pokręciła głową zniesmaczona, równocześnie poprawiając czepek zsuwający się na lewe ucho, podrapała wilgotne od potu czoło i wyciągnęła rękę po pieniądze. Młoda kobieta jakby tylko na to czekała. Złapała uchwyty niebieskiej jednorazówki, obróciła się na pięcie i już jej nie było. Przystanęła jeszcze na chodniku, by wsunąć zakupy do dużej materiałowej torby, i po chwili zniknęła, pochłonięta przez tłum ludzi sunących ulicą Zatorską.

Ekspedientka spojrzała na kolejną osobę w kolejce.

– Ja te babunie znam. Kotlecik dla kota, renta dla proboszcza, a na obiad ziemniaki z kefirem. Co podać szanownej pani? Łopateczkę mamy w promocji i skrzydełko z kurczaka. Świeżutkie, świeżutkie...

Zojka Tuszyńska odetchnęła głęboko parnym, popołudniowym powietrzem, powtarzając sobie w myśli, że dla jej zmysłu powonienia to najprawdziwsza ambrozja. Po smrodku jakby rodem ze starej masarni zapachy wadowickiej ulicy urzekały rześkością niczym mroźny grudniowy poranek.

Młoda kobieta sięgnęła do niedużej listonoszki przewieszanej przez prawe ramię, wydobywając z niej materiałową torbę

często określaną mianem ekologicznej. Zojka nie czuła się zbyt mocno związana z ideą ekologii, a jej wkład w ratowanie planety ograniczał się do segregowania domowych odpadów do kolorowych worków i psioczenia na smród unoszący się z kominów spalających śmieci sąsiadów, niemniej ze swoją materiałową torbą nigdy się nie rozstawała. Wydarzenia z przeszłości sprawiły, że ona – niegdyś miłośniczka wielgachnych torebek, dziś unikała ich jak ognia, a niezbędny dobytek, czyli pieniądze, smartfona i klucze, najchętniej nosiła w kieszeni. Czasami jednak zdarzało się, że musiała zrobić większe zakupy i wtedy materiałowa torba była jak znalazł. A że nie mieściła się w kieszeni spodni, a przynajmniej nie w estetyczny i dyskretny sposób, Zojka musiała pogodzić się z koniecznością noszenia niewielkiej torebki na pasku.

Zapakowawszy sprawunki ze sklepu mięsnego do torby, Zojka przerzuciła ją przez drugie ramię i wolnym krokiem ruszyła w kierunku rynku. Wtorkowe popołudnie było pogodne i ciepłe. Zastępy dzieciarni obległy szumiącą na kamiennej płycie fontannę, a zadowoleni z siebie turyści obsiedli kawiarniane ogródki, korzystając z ostatnich dni wakacji i zajadając słynne papieskie kremówki.

Na widok obficie posypanych cukrem pudrem ciastek Zojka poczuła nawracające mdłości, więc szybko wyminęła rozstawione stoliki i ustawiła się w kolejce po lody sprzedawane na gałki. Ze słodkim przysmakiem w dłoni ruszyła w kierunku stacji kolejowej. Pracowity dzień dobiegł końca i nareszcie mogła wrócić do domu. Na samą myśl uśmiechnęła się pod nosem.

Domek babuni Łyczakowej stał się dla niej najprawdziwszym azylem. I pomyśleć, że kiedy przed kilkoma miesiącami zjawiała się w Lipówce, zamierzała jedynie spełnić prośbę rodziców i skontrolować, co wyprawia dziarska staruszka. To miała być również krótka chwila oddechu od niepowodzeń zawodowych,

po której planowała powrócić do dawnego życia w Krakowie. O tym, że chcieć nie zawsze znaczy móc, przekonała się w chwili, gdy za sprawą podrzuconego zawiniątka została wplątana w aferę kryminalną, i to żadne tam przemyty czy inne narkotyki, ale w najprawdziwsze makabryczne morderstwo! Dla dobra śledztwa musiała pozostać w rodzinnej miejscowości na dłużej i podjąć pracę – udawaną, bo udawaną, ale jednak – w „Kronice Wadowickiej”. Po zakończeniu dochodzenia właściwie mogła powrócić do niewielkiej kawalerki i codziennego przetrząsania rubryki z ofertami pracy w lokalnych dziennikach, ale jakoś straciła do tego zapał. Towarzystwo babuni Łyczakowej gwarantowało moc wrażeń, atmosfera domku na wzgórzu wprawiała ją w błogi nastrój, a w dodatku nareszcie znalazła zatrudnienie. I to wcale nie u tego bubka Kordeckiego, redaktora – niech go szlag! – „Kroniki Wadowickiej”. No i jak miała wyjechać z Lipówki, skoro przygarnęła kota?

Choć zważywszy na okoliczności, w jakich rudy kocurek pojawił się w domku na wzgórzu, należałoby raczej stwierdzić, że to ona została przygarnięta. Nie było dnia, by Filip nie przypomniawszy, jak wielką łaskę okazał, zajmując miejsce na jej łóżku. Na dodatek babunia czyniła wszystko, by utwierdzić uparte kocisko w przekonaniu o jego wyjątkowości, podsuwając pod rudo-różowy nosek to filecik z kurczaczka, to szynkę wieprzową. Zmieloną, oczywiście. Dwukrotnie.

Na myśl o babuni Łyczakowej Zojka przyspieszyła kroku. Oj, źle by było, gdyby spóźniła się na pociąg i musiała łapać busa do Lipówki! Zbliżając się do przejścia podziemnego pod ulicą Piłsudskiego, przypomniawszy sobie, że redaktor Markowska prosiła, by napisała kilka słów na temat muralu, który z inicjatywy burmistrza powstał w tym ponurym miejscu.

– „Wadowicka” jeszcze o tym nie pisała, będziemy pierwsi! – Szefowa gorączkowała się, a Zojka entuzjastycznie kiwała

głową. – Napiszesz tekst, zrobisz zdjęcia i poprosisz burmistrza o komentarz. W internecie pojawiły się pierwsze niepochlebne opinie i zarzuty, że za dużo to kosztowało. Niech się wypowie.

„Głos Wadowic” był nowym tytułem prasowym, który zadebiutował przed dwoma miesiącami i od razu podjął zaciętą rywalizację z „Kroniką Wadowicką”. Gdy Zojka zanosila swoje CV do redakcji przy ulicy Zatorskiej, nie liczyła na cud. Jednak ku swemu zdziwieniu natychmiast została przyjęta. Szybko odkryła dlaczego. Marta Markowska, redaktor naczelna „Głosu”, była doskonale poinformowana o okolicznościach jej chwilowej pracy w „Kronice Wadowickiej” i napiętej relacji z redaktorem Kordeckim. Nie tracąc czasu i energii, zażądała szczegółowych informacji na temat konkurencji, począwszy od składu zespołu, na modelu czajnika elektrycznego w pokoju socjalnym skończywszy.

Pomijając ten niezbyt fortunny start, Zojka musiała przyznać, że współpraca z Markowską układa się pomyślnie. Szefowa była kreatywną osobą, z głową pełną świeżych pomysłów i wizją nowoczesnej gazety, która staje się numerem jeden na lokalnym rynku. Nie bała się odważnych tematów i zachęcała Zojkę do rozmów z mieszkańcami i poszukiwania ciekawych informacji. Nakład z tygodnia na tydzień rósł, a Tuszyńska coraz rzadziej wspominała o powrocie do Krakowa... Na dodatek na samą myśl, że stoją z Kordeckim po dwóch różnych stronach dziennikarskiej barykady, czuła w całym ciele przyjemne mrowienie, którego nie umiała i nie chciała wyjaśnić.

– Mural – mruknęła pod nosem, przekładając wafelek z lodami do drugiej ręki i sięgając do torebki po smartfona. – Zrobię kilka zdjęć, póki jest dobre światło, i napiszę o nim jeszcze wieczorem. A jutro wezmę lepszy aparat i strzelę fotkę do gazety. I umówię się z burmistrzem...

Nie patrząc przed siebie, grzebała w listonoszce

w poszukiwaniu telefonu. Złośliwe urządzenie znowu się schowało. Wydawać by się mogło, że w niewielkiej torebce łatwiej wszystko znaleźć, ale jej torebka oczywiście musiała złośliwie temu przeczyć. W końcu Zojka odkryła, że w podszewce zrobiła się dziura i smartfon dostał się do środka. Z trudem wsunęła w otwór dwa palce i wymacała urządzenie. Teraz pozostało tylko je wyciągnąć i...

Skupiona na niełatwej misji, nie patrzyła, gdzie idzie, i z impetem weszła wprost w stojącą w przejściu osobę. Siła uderzenia sprawiła, że odbiła się jak piłka i opadła na pupę ze zduszonym okrzykiem. Torba z zakupami potoczyła się po chodniku z kostki brukowej, a parówki bez osłonek obklejone folią spożywczą poturlały się w kierunku dworca PKS. Oszołomiona Zojka oswobodziła palce z podszewki listonoszki i zaczęła zbierać kocie przysmaki. Zaraz, zaraz, czegoś mi jeszcze brakuje, myślała, pocierając czoło lepкими palcami. Przecież miałam...

Spojrzała w górę na osobę, która poprzez zatarasowanie przejścia przyczyniła się do nieprzyjemnego upadku. Zamierzała uraczyć delikwenta kilkoma uszczypliwymi komentarzami, jednak na widok stojącego nad nią mężczyzny zamarła z uchylonymi ustami.

Twarz redaktora Marcina Kordeckiego wykrzywiła wściekłość. W zaciśniętej gniewnie pięści ścisnął pasek wielkiego aparatu fotograficznego, którym z pewnością dokumentował nowy wadowicki mural. Przecież nic takiego się nie stało, chciała wykrzyknąć. A potem spuściła wzrok nieco niżej i zaklęła pod nosem.

W tej samej chwili wafelek z resztką lodów waniliowych, sterczący groteskowo na wysokości rozporoka redaktora, oderwał się i opadł na chodnik z cichym plaśnięciem.

– Nudno jakoś u nas – marudziła babunia Łyczakowa, wachlując się złożoną gazetą. Zojka wsunęła do ust ostatniego ziemniaka, odsunęła talerz i odkaslnęła lekko. Na wspomnienie incydentu w przejściu podziemnym i późniejszej jazdy pociągiem z ponurym jak chmura gradowa Kordeckim, osłaniającym futerałem na aparat zaplamione krocze, poczuła, że robi się jej gorąco. Ona nie mogła narzekać na nudę, co to to nie!

Zerknęła pod stół, gdzie właśnie toczyła się niema wojna. Rude kocisko zataczało ósemki wokół nóg mebla, omiatając wszystko dumnie wyprężonym ogonem. Przy okazji ocierało się także o nogi siedzących za stołem kobiet, pragnąc zwrócić ich uwagę na fakt, że miseczka stojąca w bliskim sąsiedztwie lodówki od paru minut pozostaje pusta. Bo przecież tych trzech samotnych chrupek i zeschniętej skórki od chleba nie sposób uznać za wystarczającą kocią rację żywieniową!

Przechadzkom Filipa z groźnie opuszczonym łbem przyglądał się Burek. Wieloletni towarzysz babuni Łyczakowej opracował swój własny sposób pozyskiwania przysmaków ze stołu, polegający głównie na cierpliwym oczekiwaniu, aż biesiadujący zapomni się na tyle, by opuścić pod obrus rękę z trzymaną kanapką lub innym rarytasem. W takiej sytuacji następowało delikatne przejęcie jedzenia. Pies zlizywał lub ostrożnie zdejmował z chleba to, co akurat mu się spodobało. I tym właśnie sposobem konsument mógł ze zdumieniem odkryć, że na kanapce z szynką po szynce ani śladu, a chleb z dżemem truskawkowym jest najzwyklejszą – tyle że mocno obślinioną – kromką. Niestety, pojawienie się w domku na wzgórzu nowego lokatora całkowicie niweczyło Burkowe zakusy. Filip tak usilnie przypominał o swoim istnieniu i obecności pod stołem, że nawet gapowata Zojka trzymała ręce przy sobie.

– Nic się nie dzieje! Zupełnie nic! – biadoliła dalej staruszka. – Dawniej, gdy pracowałaś w „Kronice”, to przynajmniej

opowiadałaś o różnych takich banialukach, a teraz? Tajemnica zawodowa cię trzyma czy ki diabeł?

– Niece... – Zojka potrząsnęła głową z lekkim uśmiechem.

– I Chochołek wpadał na ciasto drożdżowe. Dlaczego już nie wpada?

– Może dlatego, że już nie podejrzewa mnie o ćwiartowanie zwłok.

– Mógłby – oznajmiła z westchnięciem babunia. – Tak przyjemnie było posłuchać głupot. Przebywając sam na sam w swoim towarzystwie, człowiek idiociej od tej mądrości!

– Jeśli chcesz posłuchać głupot, włącz telewizor – poradziła życzliwie wnuczka.

– A ty to od razu człowiekowi tak źle życzysz! Zosia też nie zajrzy...

– Jest zajęta przygotowaniami do wesela. Poza tym może jej trochę łyso, że była kochanka jej narzeczonego próbowała mnie ukatrupić?

– Nawet twoja matka się nie pokazuje.

– Bo wie, że pilnuję, by siekierka była dobrze schowana.

– Generalnie jest do du... – urwała raptownie i zamachała niecierpliwie trzymaną w ręce gazetą. – Już wiem!

Zojka poczuła nagły niepokój. Kiedy na policzkach babuni Łyczakowej pojawiały się tak intensywne rumieńce, oddech przyspieszał, a ona sama niemal podskakiwała na poduszce wyściełającej drewniane krzeselko, należało zwiertzyć kolejny szatański plan i mieć się na baczności. Nie bez powodu do staruszki przylgnęła opinia nieobliczalnej, a o jej wyczynach z siekierką krążyły po powiecie wadowickim coraz wymyślniejsze legendy!

– O co chodzi? – zapytała nieufnie.

– Odwiedzę notariusza!

– Nie rozumiem. – Zdezorientowana wnuczka potrząsnęła głową.

– No jak możesz nie rozumieć? Przecież to oczywiste! Czym zajmuje się ta hiena, notariusz?

Dla babuni Łyczakowej wszyscy urzędnicy, politycy i inni kończący się na „-cy”, poza elektrykami i hydraulikami, byli hienami. Zojka ponownie potrząsnęła głową, tym razem nad zaczepno-obronnym tonem staruszki. Znała go aż za dobrze!

– No przecież, że testamentami! Odwiedzę takiego krwiopijcę od spadków i od razu rozniesie się po rodzinie, że chałupę na ciebie przepisuję. Przylecą tu, jakby się paliło, i będę mogła wydobyć moją siekierę... – kontynuowała z rozmarzeniem.

– Siekiera jest dobrze ukryta! – wtrąciła szybko Zojka.

Babunia posłała jej kose spojrzenie.

– Żeby na stare lata człowiek nie mógł zdecydować, kiedy rozszczypać drewna na rozpałkę...

– Na rozpałkę to ja ci chrustu nazbieram – zaoferowała się wnuczka. – Poza tym sierpień jest! A ty masz kuchenkę gazową i nie musisz w ogóle w piecu palić!

– Tak czy siak znajdę tego notariusza – stwierdziła staruszka, wertując gazetę w poszukiwaniu działu ogłoszeń. – Tak na przyszłość. Nigdy nie wiadomo, co się człowiekowi przyda na stare lata – tłumaczyła ze znaczącym uśmiechem, który powiedział Zojce, że babunia Łyczakowa i tak wprowadzi swój plan w życie i nie ma sensu stawać jej na drodze. Spracowany palec w zawrotnym tempie przesunął się po kolejnych rubrykach z anonsami. Nagle znieruchomiał.

– Ooo, a to ciekawe...

– Co? – Zojka, która właśnie rozważała w myślach, czy lody waniliowe pozostawiają po sobie trwałe plamy, wróciła do rzeczywistości i spojrzała z zaciekawieniem na zaaferowaną staruszkę. Babunia gwizdnęła przeciągle, a Burek natychmiast zmaterializował się u jej stóp, po drodze taranując oburzonego takim traktowaniem Filipa. Sękaty palec wskazał odpowiednie miejsce w gazecie.

– Tylko spójrz!

Zojka zerknęła i również zagwizdała, jednak tak nieudolnie, że pies posłał jej tylko pobłażliwe spojrzenie. Kobiety pochyliły się nad informacją. Burek spojrzał na opiekunki, a przekonawszy się, że ich uwagę całkowicie pochłoneła czytana gazeta, wspiął się na tylne łapy, przednie oparł o blat stołu i ostrożnie uchwycił zębami wystające z półmiska udko z kurczaka. Niezauważony przez ludzi i odprowadzony żalonym kocim miauknięciem, dał susa do ogrodu.

– Biuro matrymonialne „Do Zakochania Jeden Rok”? A cóż to znowu za cholerstwo? – zdumiała się Zojka. Nie miała pojęcia, że w Wadowicach działa biuro matrymonialne, i to jeszcze pod tak szumną nazwą. Babunia Łyczakowa wpatrywała się w zajmujące pół strony ogłoszenie jak urzeczona. – I dlaczego jeden rok, powinno być krok, prawda?

– Może się im omsknął palec. Tak jak mnie, gdy dzwoniłam po pogotowie, a dodzwoniłam się do straży i piętnaście jednostek do Guzikowej ściągnęłam!

Zojka pokiwała głową z politowaniem. Anegdota o straży pożarnej, która przybyła do kontuzjowanej sąsiadki nawet z Andrychowa, weszła już w zbiór ulubionych opowiastek dziarskiej staruszki. Była też jedną z najbarwniejszych historii przytaczanych przez babunię, rzecz w tym, że za każdym razem była coraz mocniej koloryzowana. Zojka podejrzewała, iż w okolicach Bożego Narodzenia do niedużego domku Leokadii Guzik zawita cały oddział BOR-u, zawezwany – oczywiście przypadkowo – przez babunię Łyczakową.

– Może to literówka.

– A może się zabezpieczają? Że niby mają aż rok, aby znaleźć dla ciebie tego jednego wymarzonego? Żeby potem nie było, że minął tydzień, a ty nadal bez obrączki na palcu? Albo chociaż

pierścionka?

– No, też możliwe – zgodziła się Zojka. Nagle potrząsnęła głową zdumiona. – Zaraz, zaraz, dlaczego ja?

– A co, ja? – zapytała z oburzeniem staruszka. – Kto wie, co ciekawego by ci tam znaleźli. Jesteś młoda i ładna. A przynajmniej młoda. Znacząco ładna – plątała się babunia. Nagle bezceremonialnie zwinęła gazetę w rulon i cisnęła do paczki na węgiel. – Dość tych głupot, na rozpałkę będzie jak znalazł. Głodna jeszcze jestem, zjadłabym udko. Gdzie jest udko?!

Zojka wzruszyła ramionami. Babunia rozejrzała się nerwowo po kuchni, ale poza pomiaukującym kotem, okupującym okolice lodówki, nie zlokalizowała nic interesującego. Policzyła w myśli i natychmiast zdemaskowała winowajcę. Z groźną miną pogroziła pięścią nieobecnemu Burkowi i zajęła się sprzątaniem ze stołu. Zojka pomogła pozbierać naczynia, a nawet próbowała zacząć zmywać, ale została przepędzona. Staruszka w stylowym fartuszkach i z „O mój rozmarynie” na ustach raźno chwyciła butlę ludwika i ostrą myjkę. Młodej – a przynajmniej ładnej – dziennikarce nie pozostało nic innego, tylko sięgnąć po laptopa i poszukać spokojnego miejsca, w którym mogłaby napisać artykuł o kolorowym muralu zdobiącym ściany podziemnego przejścia.

Podczas tworzenia tekstu jej myśli szybowały jednak nie wokół farb i kolorowych projektów, ale lodów waniliowych i elementów męskiej garderoby.

Aspirant Paweł Chochołek przechadzał się po wadowickim rynku, niemrawo skubiąc obwarzanka z makiem. Każdemu skubnięciu towarzyszyło żalosne westchnięcie i równie żalosne spojrzenie rzucane przechodzącym ludzom. Tak naprawdę to aspirant nie lubił obwarzanków z makiem, ale sprzedawca

stojący na rogu nie miał już jego ulubionych precli z dodatkiem soli. Policjant przyjął to z ponurą rezygnacją i zadowolił się innym wariantem chrupkiej przekąski. Powoli przyzwyczajał się do faktu, że ostatnio nic nie przebiegało tak, jak by sobie tego życzył.

Otóż aspirant Chochołek wracał właśnie do pracy po zasłużonym dwutygodniowym urlopie. Urlop ów naturalnie również nie wyglądał tak, jak wyobrażał sobie spragniony chwili wytchnienia policjant.

Część odpoczynku stróż prawa zdecydował się poświęcić na najprawdziwsze wczasy, jednak biuro turystyczne zbankrutowało, zanim zdołał rozgryźć różnicę pomiędzy first a last minute. Bankructwa biur podróży były w kraju na porządku dziennym, ale żeby mieć takiego pecha? Inne biura to przynajmniej zbankrutowały, kiedy ich klienci byli na wczasach i mogli chociaż dużym palcem pomacać złociste piaski i turkusowe fale. A biuro wybrane przez Chochołka musiało naturalnie zbankrutować, gdy on był jeszcze w domu! Piasku i fal mógł dotknąć jedynie wtedy, gdy rozkładał kolorowe foldery na parkiecie...

...żeby ochronić je przed zachlapaniem farbą. Bo po tym całym niepowodzeniu z biurem podróży stwierdził, że w takim razie poświęci urlop na odświeżenie mieszkania. Kupił więc farby, pędzle, wałki i folie. Rozłożył na parkietach barwne foldery z biura podróży, a futryny obkleił specjalną żółtą taśmą i czekał na zatrudnionego fachowca. A nawet trzech. Pierwszy nie przyszedł, bo wyjechał do Anglii. Drugi miał przyjść, ale ostatecznie wziął inną robotę, a trzeci nawet przyszedł, ale w czasie roboty zasnął i spadł z drabiny. W wyniku upadku skrzył nogę w kostce. Zdesperowany aspirant sam złapał za pędzel i wałek. Tak się zdenerwował, że w dwie godziny machnął duży pokój i pół kuchni. I właśnie wtedy zauważył, że chyba coś jest nie tak, bo zamiast kanarkowożółtych ścian

wyszło mu coś między seledynem a limonką i bynajmniej żółknąć to nie chciało. Zdenerwowany dopadł do puszek z farbą, by przekonać się, że jakiś patałach źle oznaczył jej zawartość. W efekcie mieszkanie Chochołka, a przynajmniej jego lwia część, świeciło bardziej niż neonowe kamizelki służb porządkowych.

Wytrzymać w takich ścianach nie sposób, więc biedny aspirant starał się jak najwięcej czasu spędzać poza domem. Najlepszym pomysłem wydał mu się choćby krótki wyjazd na ryby, więc zadowolony udał się do piwnicy, by skontrolować stan techniczny sprzętu wędkarskiego. Na miejscu przekonał się, że tak naprawdę sprawdzać już nie ma czego. Piwnica należąca do Chochołka została splądrowana, sprzęt wędkarski skradziony, a jakby tego było mało, ktoś wielkimi kulfonami nagryzmolił mu na ścianie słowa: „ZŁAP MNIE JERZELI POTRAFIRZ”, a na koniec jeszcze się podpisał: „CHWDP”. Zdenerwowany aspirant ponownie złapał za wałek i farbę, a po chwili z przerażeniem uświadomił sobie, że właśnie przemalował piwnicę na zniechęcający zielonkawy kolor. Wyglądała jak jednorazowa chusteczka przy szczególnie uciążliwym katarze.

Jedyna nadzieja tkwiła w starym wędkarskim druhu, Staszku Jarzynie, z którym to nie raz i nie dwa wzajemnie pożyczali sobie różne akcesoria. Kiedy jednak Paweł Chochołek zapukał do drzwi przyjaciela, zaskoczony dowiedział się, że ten właśnie porzucił stan kawalerski i w dowód miłości dla świeżo zaobrączkowanej żony cały wędkarski dobytek wyniósł na śmietnik.

Rozżalony aspirant wymamrotał gratulacje i wrócił do domu, by oglądać powtórki *Ojca Mateusza*, marzyć o wielkim śledztwie i walczyć z migreną powodowaną jaskrawym otoczeniem. Nagle poczuł się stary i samotny, a do tego beznadziejny do kwadratu. Bo skoro nawet taki Staszek Jarzyna, który praktycznie nie

miął włosów, nosił okulary jak denka od butelek i każde wypowiedziane zdanie poprzedzał chrumkaniem, znalazł swoją drugą połowę, a on, Chochołek, dzielił życie z kanarkiem, to chyba nie świadczyło zbyt dobrze o nim samym.

Zdecydował więc, że zacznie więcej spacerować, ograniczy słodycze, kupi porządną marynarkę i spędzi trochę czasu na świeżym powietrzu, by móc pochwalić się karnacją, jakiej pozazdrościłby mu nawet Orest Możejko. Stąd też codzienne spacerunki po wadowickim rynku, precelek na śniadanie i nowa sztruksowa marynarka, która tak piła go pod pachami, że chodził ze skwaszoną miną i wzdychał żałośnie. Gdybym choć żonę miał... pomyślał, gryząc obwarzanka i wpatrując się ponuro w ławkę, na której samotny emeryt rozkładał właśnie woreczek z okruchami dla koczujących na placu gołębi. Bo skoro istnieje pani Jarzynowa, to dlaczego miałoby nie być pani Chochołkowej? On przynajmniej nie chrumkał i wzrok miał niegorszy, o bujnej czuprynie już nawet nie wspominając.

Zniechęcony aspirant okręcił się na pięcie i ruszył w kierunku Galicjanki. Już niemal dwa tygodnie nie miał w ustach nic słodkiego, należała mu się jakaś rekompensata. Poza tym, jeśli chciał być jak Orest Możejko, musiał od czasu do czasu usiąść w eleganckiej kawiarni na rynku i wypić kawę z malutkiej filiżaneczki, której zawartością pragnienia nie zaspokoiłby nawet kanarek Kleofas. Prawda?

Zmierzał w stronę kawiarni, ale nim zdołał dojść choć do ulicy, zatrzymał się jak wryty. Z wrażenia uchylił usta i kawałek obwarzanka potoczył się po chodniku wprost pod chude nóżki podskakującego ptaka. Oszołomiony Chochołek wpatrywał się w wielkie kolorowe zdjęcie na wystawie. „Znajdziemy dla ciebie drugą połowę” głosił podpis wprost pod krągłym biustem atrakcyjnej blondynki. Policjant podniósł wzrok i uśmiechnął się pod nosem.

Biuro matrymonialne „Do Zakochania Jeden Rok”.

Rok?

Idealnie.

Może na następne wczasy nie pojedzie już sam?

• ROZDZIAŁ DRUGI •

Pierwszy tydzień września minął, zanim Zojka zdążyła się spostrzec. Krążąc po Wadowicach, zauważyła pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni. Przy szkole, którą mijała codziennie w drodze do redakcji, znowu zapanował harmider. Kasztany porastające skwer przy placu Solidarności zaczęły gubić pierwsze kolczaste kule, a na placu targowym pojawiły się pękate dynie i wiązanki wrzosu w różnych wariantach kolorystycznych. Słońce zalewało miasto lekko przytłumionym, ciepłym światłem, jakby chciało powiedzieć: nacieszcie się mną, bo już niedługo zostaną przegonione przez chmury i deszcze. Zojka korzystała z tych złocistych promieni z wielką przyjemnością i starała się jak najwięcej czasu spędzać na świeżym powietrzu. Kupiła też doniczkę liliowego wrzosu i osłonkę z pomalowanej na biało wikliny, myśląc, jak pięknie będzie prezentować się nowa ozdoba na kuchennym stole w towarzystwie zapachowej świecy w białym lampionie.

Babunia przyglądała się zabiegom dekoracyjnym podejrzliwie.

– Dziwna moda, żeby płacić za coś, co można mieć za darmo. Za moich czasów po wrzos chodziło się do lasu!

– Za moich też! – Wnuczka zaśmiała się w odpowiedzi. – Ale wszystko pozarastane i nie jestem pewna, czy bym trafiła. A przecież przyjemnie tak powitać jesień z pięknym bukietem

wrzosu na stole, prawda? – ćwierkała rozmarzona.

Babunia parsknęła gniewnie.

– Guzik prawda. Nie ma żadnej jesieni, lato jest!

– Ale...

– Ale to gatunek piwa.

– Bardzo śmieszne.

– Raczej mocne. Twój kuzyn przywiózł mi w prezencie z jakiegoś zagranicznego wyjazdu i połowę wypłułam. Oczywiście mu tego nie mów, był strasznie dumny z siebie, że sprawił babci taki szpanerski napitek.

Zojka machnęła ręką i zabrała wrzos do swojego pokoju, gdzie spoczął na toalecie i witał ją każdego dnia zaraz po przebudzeniu. Na babunię Łyczakową nie było mocnych. Musiała mieć ostatnie słowo i basta! Przynajmniej porzuciła temat biura matrymonialnego. Zojka odetchnęła z ulgą.

W przeciwieństwie do Zojki aspirant Paweł Chochołek nie potrafił cieszyć się urokami pierwszych wrześniowych dni. Chociaż od jego powrotu z urlopu minęło już trochę czasu, jakoś nie mógł wdrożyć się w codzienne obowiązki. W poniedziałek, 11 września, zniechęcony zajął miejsce za swoim biurkiem i zatopił się w aktach, które nie wiedzieć kiedy i po co, utworzyły całkiem pokaźny stosik. Kręcił się przy tym nerwowo, zupełnie jakby siedzisko jego krzesła nie zostało wyściełane sztucznym tworzywem, a wyjątkowo kłującym igliwem.

Godziny przedpołudniowe upłynęły policjantowi na przeglądaniu akt bieżących spraw prowadzonych przez komendę powiatową. Nie było tego wiele. Rozbój pod sklepem monopolowym, jedna głowa roztrzaskana podczas awantury małżeńskiej i kradzież samochodu dostawczego spod dyskontu na obrzeżach miasta. Chochołek poczuł ogarniające go

zwątpienie. Jak miał zostać wadowickim Orestem Możejko, skoro trafiały mu się same beznadziejne przestępstwa?

Rozmarzony aspirant cofnął się w myślach kilka miesięcy wstecz i przywołał wspomnienie sprawy Klaudii Szczypczyk. Takie śledztwo to rozumiał! Prawdziwa morderczyni, tajna operacja i dramatyczny wyścig z czasem, by zapobiec kolejnej makabrycznej śmierci. Jednak na tej jednej wyjątkowej sprawie również kładł się cień. Jej finał nie należał bowiem do wadowickich policjantów, ale do redaktora lokalnej gazety i Zojki Tuszyńskiej, która zdzieliła sprawczynię łopata przez łeb.

Przydałaby się kolejna taka sprawa, dumął Paweł Chochołek, wpatrując się w przykurzone okno. Mógłbym się wykazać. Już nikt by nie powiedział, że ścigając przestępców, wadowicka komenda wysługuje się czwartą władzą!

Rozmyślenia aspiranta przerwało stukanie. W uchylonych drzwiach pojawił się jeden z funkcjonariuszy. Za nim nerwowo dreptała niziutka kobieta o chudej twarzy, wsparta na ramieniu wysokiego mężczyzny.

– Pawełku, porozmawiałbyś z państwem. Bo problem mają – poprosił przybyły policjant.

– Ich problem – mruknął pod nosem aspirant Chochołek, który w poniedziałek nie miał ochoty użerać się z ludźmi. Na dodatek problematycznymi. – Może Wasiak się zajmie, bo ja niestety jestem zawalony papierami. – Na dowód zapracowania trzasnął ręką w dokumenty leżące na biurku. Stos zachwiał się niebezpiecznie.

– Ale nam zależy na rozmowie z panem Chochołkiem. – Chuda kobieta wychyliła się zza ramienia policjanta i posłała aspirantowi blady uśmiech. – To pan? Pan schwytał tamtą, co mordowała i ćwiartowała? Bo my właśnie w sprawie morderstwa z mężem przychodzimy. – Wskazała palcem na siebie i mężczyznę. Ten pokiwał energicznie głową.

Aspirant ożywił się nieznacznie.

– Morderstwa? A kto, przepraszam, został zamordowany?

– Moja matka. – Kobieta wyminęła stojącego w progu funkcjonariusza i wtargnęła do pomieszczenia. Wsparła się na krzesło stojącym przed biurkiem, za którym siedział Chochołek, i spojrzała na niego wyczekująco. – I nie dość, że zamordowana, to jeszcze wcześniej okradziona. Brutalnie!

Policjant przyglądał się snopkowatą grzywkę i wskazał kobiecie, aby usiadła. Ta, nie dając się prosić, wskoczyła na krzesło, równocześnie uderzając o biurko kościstymi kolanami i wprawiając stos papierów w ruch. Dokumenty spadły na podłogę z głośnym plaśnięciem, a pojedyncze kartki przez moment wirowały w powietrzu. Poirytowany aspirant zbierał je na kolanach, a potem niedbale rzucił na stolik pod oknem.

– Proszę mówić! – nakazał.

– Bo chodzi o moją matkę, Matyldę Gronkowską z domu Poręba... – Kobieta zawahała się, obejrzała przez ramię na stojącego tuż za oparciem męża i na powrót utkwiała nerwowe spojrzenie w aspirancie. – ...która zmarła 15 lipca o godzinie ósmej trzydzieści.

Chochołek uniósł brwi.

– To zmarła czy została zamordowana?

– Początkowo uważaliśmy, że zmarła – wtrącił ponuro mężczyzna. – Teściowa miała 82 lata.

– Piękny wiek. – Chochołek pokiwał głową z uznaniem.

– Piękny – zgodziło się małżeństwo, a kobieta szybko zaznaczyła: – I do samego końca mamusia była sprawna na ciele i umyśle. Sama oporządzała gospodarstwo. I nie klepała bezmyślnie zdrowasiek, tylko sudoku rozwiązywała.

– No dobrze. Czyli okazało się, że została zamordowana. A kiedy się okazało? – Ta kwestia najbardziej ciekawiła spragnionego krwawego śledztwa stróża prawa.

– Przy podziale majątku.

– Przy po... – zaniemówił Chochołek. Wybałuszył oczy,

równocześnie nerwowo skubiąc grzywkę.

– Ustalenie praw do spadku trochę trwało – rzuciła przeprasającym tonem kobieta. – Bo mam brata w Ameryce, pazernego jak mało kto! Sam się dolarów dorobił, a jak przyszło do podziału majątku, pierwszy w kolejce się ustawił. I nie ustąpił ani o jotę!

– Sprawy spadkowe to państwa prywatna sprawa. – Policjant zgrzytnął zębami. – Ja chciałbym wiedzieć, skąd przekonanie, że pani Matylda Gronostaj...

– Gronkowska – poprawił go mężczyzna.

– Z domu Poręba – dodała jego żona.

– ...skąd przekonanie, że została zamordowana. Domyślam się, że jest po pochówku, skoro minęły niemal dwa miesiące... – Chochołek zerknął na ścienny kalendarz, który jednak wskazywał datę sprzed jego urlopu. – Czy zauważono coś niepokojącego? Może ślady na ciele? W domu było coś podejrzanego?

– Ale to właśnie chodzi o to, czego tam nie było! – zniecierpliwiła się córka potencjalnej ofiary. – Tylko i wyłącznie!

– A czego nie było? – Chochołek westchnął z rezygnacją.

– Pieniędzy! – obwieściła triumfalnie.

Kiedy aspirant Paweł Chochołek usiłował wejść w poniedziałkowy kierat i walczył z pokusą wyskoczenia po apetyczne ciastko do kawiarni zlokalizowanej po drugiej stronie ulicy, Zojka Tuszyńska zapamiętale stuknęła w klawiaturę laptopa i mamrotała pod nosem:

– Babuni się nudzi, też mi coś...

– Co tam mamrociesz? – zainteresowała się Marta Markowska. Szefowa Zojki była niską osobką o chłopczej sylwetce i niespożytej wprost energii. W dzieciństwie przyłgnęła do niej przezwisko Pchełka, bo nie potrafiła wysiedzieć dłużej

w jednym miejscu i wszędzie było jej pełno. Z wiekiem zresztą to nie minęło, dlatego świetnie odnajdywała się w zawodzie dziennikarza i w nieustannej pogoni za tematem.

– A tak sobie głośno myślę – wyjaśniła Zojka. Rozparła się w krześle i z namysłem spojrzała w okno. Markowska cierpliwie czekała na dalszy ciąg wypowiedzi, ale był to spokój pozorny. Jej dłoń już zaczęła bawić się długopisem, wykręcając go na wszystkie strony. – Moja babcia – ciągnęła Tuszyńska – jest specyficzną osobą. Bardzo kochaną – zastrzegła szybko, a Markowska skinęła głową – ale trzeba mieć do niej anielską cierpliwość. Właśnie ubzdurzyła sobie, że jest za nudno.

– Za nudno? – Brwi szefowej uniosły się w geście zdumienia i znalazły schronienie pod idealnie prostą grzywką.

– Tak. Czuje się znużona, bo nic się nie dzieje. – Młoda kobieta położyła dłonie na klawiaturze i pokręciła głową z lekkim uśmieszkiem. – Rodzina nie zadręcza jej swoimi pretensjami. Policja nie przeszukuje domu. Wnuczki nie podejrzewa się o krwawe zbrodnie, a na progu nie staje żadne podejrzane indywiduum, które można by pogonić siekierką. Siekierki zresztą też nie ma, bo dobrze ją schowałam.

– Więc się nudzi – dopowiedziała Markowska.

– Więc się nudzi – zgodziła się Zojka. – Zrobiła się przy tym zgryźliwa i niech się ma na baczności ten, kto zajdzie jej za skórę w najbliższych dniach. Coś wisi w powietrzu – mruknęła na koniec.

Markowska pociągnęła nosem.

– Tak? Ja nic nie czuję. Ale na smog to jeszcze w sumie za wcześnie.

Zojka pokręciła głową rozbawiona.

– Nie chodzi mi o dym z kominów, tylko o babunię Łyczakową. Ona coś wymyśli.

– Mam nadzieję, że wymyśli coś zajmującego – prychnęła naczelna. – Ile można pisać o muralach, zamkniętych

restauracjach, burmistrzu i kremówkowych turystach? Twojej babuni przyda się rozrywka, a nam dobry temat! Najlepiej na wyłączność!

We wtorkowy poranek Zojkę obudziły radosne promienie słońca wpychające się do pokoju przez ażurową firankę. Wstała w wyśmienitym humorze i układając sobie w głowie plan pracy na nadchodzące godziny, poczłapała do kuchni. Babunia siedziała już za stołem, oczywiście w asyście całej zwierzęcej menażerii, która sprawiała wrażenie zahipnotyzowanej. Filip okupował parapet i śledził każdy ruch ust staruszki. Wyglądał tak, jakby zaraz miał rzucić się na zawartość jej talerza i uprowadzić ją w tylko sobie znane rewiry. Burek z miną niewiniątka oblizywał kudłaty pysk za każdym razem, gdy babunia sięgała po kromkę z serem.

– Smacznego! – rzuciła dziewczyna i rozbawiona stwierdziła, że tylko babunia zerknęła w jej kierunku i odpowiedziała na pozdrowienie skinieniem głowy. Zwierzęta udawały, że nie istnieje, ale to za moment miało ulec zmianie. Zojka przygotowała sobie kubek kawy i ruszyła do lodówki po karton z mlekiem. Sięgnęła ku drzwiczkom i zamarła w pół kroku.

Wytrzeszczonymi oczyma wpatrywała się w równiutko wycięty kwadracik papieru, przytwierdzony do drzwi lodówki za pomocą magnesów w kształcie serduszek. Wskazała je babuni i wydukała:

– Co to jest?

– Jak to: co? Ogłoszenie. Przecież już je widziałas!

Widziałam, pomyślała Zojka, i jestem zaskoczona, że widzę je kolejny raz!

– Miałaś je spalić! – Spojrzała z żalem w kierunku pieca, zupełnie jakby jego winą było, że babunia nie spaliła gazety, a wraz z nią niewydarzonego anonsu.

- Ciepło jest – odparła niewinnie staruszka.

Zojka potrząsnęła głową, szarpnęła drzwiczki i wydobyła kartonik z mlekiem skondensowanym. Zamykając lodówkę, raz jeszcze przyjrzała się ogłoszeniu. Obiektywnie musiała przyznać, że jest nawet ładne. W literce „R” ktoś umieścił zmyślne serduszko. Słodkie, zgrzytnęła zębami, doprawiając kawę mlekiem i siadając naprzeciwko babuni. Sięgnęła po bułkę. Oczy Burka przesunęły się po niej z wyrazem nadziei.

- Babuniu, po co ci to ogłoszenie?

- Cóż, nigdy nie wiadomo, co się człowiekowi przyda.

- Ja rozumiem, że notariusz... ale na cholerę ci agencja matrymonialna? – Młoda kobieta uniosła bułkę do ust i ugryzła pierwszy kęs. Staruszka wzruszyła ramionami.

- No, wiesz... Ksiądz proboszcz ogłosił z ambony. Trzeba się rozmnażać.

Zojka zakrztusiła się bułką i zaczęła kaszleć. Przez moment walczyła z kęsem pieczywa, aż w końcu udało jej się go wypluć. Wstrząśnięta spojrzała na babunię załzawionymi oczyma.

- Babuniu, ty zamierzasz się rozmnażać? – zapytała niespokojnie.

- No coś ty, zdurniała? Myślisz, że ja do setki zliczyć nie umiem?

- Nie, tylko... – Zawstydzona Zojka ponownie nadgryzła bułkę.

- Ale mogę rozmnażać ciebie – dokończyła zadowolona z siebie staruszka. Tym razem musiała solidnie uderzyć wnuczkę po łopatce, by złośliwy kawałek bułki zechciał opuścić jej ściśnięte gardło. Zojka spojrzała na kanapkę z niesmakiem i odłożyła ją na talerzyk. Otarła usta wierzchem dłoni. Straciła apetyt. Siedzący nieopodal Burek poruszył się niespokojnie i nieznacznie przysunął w kierunku jej stopy, szurając kudłatym zadkiem po kuchennej podłodze.

- Rozmnażać mnie? A co to ja jestem? Sadzonka pomidora? –

oburzyła się.

– No przecież, że tylko żartowałam! – Babunia wzruszyła niedbale ramionami. – Ale tak sobie pomyślałam: ty nie tylko praca i praca, a o życie osobiste też trzeba zadbać. Najwyraźniej masz tutaj jakieś deficyty. I trzeba ci pomóc...

– Deficyty? – Spłoszona Zojka zerknęła na siebie. Wydawało się jej, że wszystko ma na swoim miejscu. Pod niebieską bluzką z koronkowym kołnierzykiem rysował się całkiem zgrabny biust. Talia może nie należała do osy, ale to akurat dobrze, bo osy są strasznie złośliwymi owadami i lepiej nie mieć z nimi do czynienia. Nogi dość długie, blade co prawda, bo na co dzień najczęściej wskakiwała w długie spodnie i dopiero po powrocie z pracy wkładała ulubione szorty, a jak wiadomo, po siedemnastej już tak słońko nie grzeje...

– Tutaj masz deficyty. – Śmiała się babunia, klepiąc znacząco czoło. – Blokadę jakąś. Miałam nadzieję, że doczekam twoich dzieci, ale w ogóle się nie zanosz. Nie żebym dzieci lubiła, ale wszystkie sąsiadki już mają wnuki...

– Ty też masz – zauważyła trzeźwo Zojka. – Chciałam ci przypomnieć, że ja jestem twoją...

– I prawnuki też już mają.

– I przecież zawsze lubiłaś dzieci!

– A co to, na starość nie można zmienić poglądów?

Zdezorientowana Zojka patrzyła to na zadowoloną z siebie staruszkę, to na zawieszoną na drzwiczkach lodówki ogłoszenie. Czowała, że od tych wszystkich rewelacji zaczyna boleć ją głowa. Do tego była straszliwie głodna, a bała się wziąć do ust kęsa bułki, żeby babunia nie wyskoczyła z kolejnymi rewelacjami. Upiła więc tylko łyżeczek kawy i...

– Myślałam, że coś zaiskrzy między tobą a redaktorem Kordeckim... – mruzczała ni to do Zojki, ni to do siebie staruszka. Zojka pospiesznie przełknęła gorącą kawę, parząc sobie gardło. – Albo chociaż Chochołkiem...

Tego dla Zojki było już za wiele. Wstała z za stołu i sięgnęła po przewieszoną przez oparcie krzesła listonoszkę.

– Spóźnię się na pociąg!

– Masz jeszcze pół godziny! – powiedziała ze zdziwieniem babunia.

– O, z takim pociągiem to nigdy nic nie wiadomo. Tu masz, tam nie masz, a on sobie pojedzie w diabły i człowiek się do pracy spóźni – mamrotała, poprawiając przed lustrem w sieni zmierzwione włosy. Zajrzała do kuchni i posłała staruszce ostre spojrzenie. – I nie chcę słyszeć o żadnych agencjach, rozumiano? O rozmnażaniu też nie! Jeśli aż tak ci nudno, umów się do tego notariusza i zrób ferment w rodzinie. Siekierka jest w dawnej psiej budzie. Miłego dnia!

Zojka pomachała babuni palcami i wybiegła z domu, jakby ją coś goniło. Starsza pani zaśmiała się serdecznie, rozpierając się na drewnianym krześle i wypijając resztkę zimnej inki z mlekiem. Życzliwym okiem zerknęła na otaczające ją zwierzęta, po czym sięgnęła po niedojedzoną przez wnuczkę bułkę i sprawiedliwie podzieliła ją na dwie części. Filip zeskoczył z parapetu i po chwili spod stołu rozległo się zgodne mlaskanie. Babunia Łyczakowa oparła łokcie o blat i z zamyśleniem spoglądała na jasny kwadrat papieru wyraźnie odcinający się na srebrzystych drzwiczkach lodówki. Zwróciła się do futerkowych towarzyszy z chytrym uśmieszkiem:

– Żadnych agencji powiedziała. Ale tu jak byk napisano: biuro matrymonialne. O biurze nic nie mówiła, co nie?

Zojka Tuszyńska i Marcin Kordecki spotkali się przed południem w korytarzu Urzędu Miasta. Spojrzeli na siebie i równocześnie kiwnęli głowami. Redaktor na widok dziewczyny zawahał się nieznacznie i zerknął przelotnie, czy ta trzyma coś w ręku. Na szczęście był to tylko notatnik w kolorowej okładce,

więc odetchnął z ulgą i przysiadł na pobliskim krześle. Zojka, choć starała się tego nie robić, obrzuciła spojrzeniem miejsce, w zetknięciu z którym straciła ostatnio lody. Nieoczekiwanie została na tym przyłapana. Siwowłosa kobieta z burzą drobnych loków i twarzą pomarszczoną jak wyschnięte jabłuszko przybrała zgorszona minę, po czym zasłoniła twarz trzymanym czasopismem i zachichotała.

– No, no, kochaniutka, za moich czasów walory przyszłego męża oceniało się subtelniej... Poza tym w takich sztywnych portkach to nic nie poznasz. Zagnie się pod nie takim kątem i pomyślisz o... orłach, sokołach, a jak przyjdzie co do czego, wyleci wróbelek.

Zojka zrobiła się purpurowa i chciała czym prędzej wyjaśnić rumianej sąsiadce prawdziwy powód kontemplowania okolic rozporka redaktora Kordeckiego, ale w tej samej chwili rzeczony mężczyzna podniósł się z krzesła i ruszył w ich stronę, więc zamilkła. Staruszka odchrząknęła znacząco i błyskawicznie przeniosła pośladki na odleglejsze miejsce. Dziennikarz podziękował jej uśmiechem, po czym zajął zwolnione krzesło.

– Na konferencję prasową u burmistrza? – zagadnął.

– Właśnie – potwierdziła Tuszyńska. – Ty też?

– Tak, oczywiście. Jak tam w nowej pracy?

Zojka ze zdumieniem uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie rozmawiali ze sobą, odkąd podjęła pracę u Markowskiej. Trudno było w to uwierzyć, ale od wieczoru, gdy spotkali się na stacji kolejowej w Lipówce, a Kordecki napomknął, że jeśli Zojka zdecyduje się zostać u babci, może znajdzie dla niej jakieś zajęcie w „Kronice Wadowickiej”, minęło już kilka miesięcy! Oczywiście zaraz się pokłócili i rozstali w złości, a ona okropnie się stresowała, jak po takiej awanturze ma się do niego zgłosić w sprawie pracy. Najwyraźniej jednak tam na górze ktoś nad Zojką czuwał, bo niemal natychmiast pojawiła się Markowska ze swoim „Głosem”. Czy Kordecki próbuje ją

wypytać o konkurencję?

- Świetnie – powiedziała ostrożnie.
- Cieszę się. – Redaktor skinął głową.

I zamilkł.

Zojka niespokojnie poruszyła się na krzeselku. I już? Tylko tyle? Nie zamierzał pytać o nic więcej? Odkaszlnęła.

- Mam nadzieję, że radzicie sobie po odejściu Igi.
- Tak, jest w porządku.

- Wiem, że wspomniałam, że mogłabym u ciebie pracować, ale potem wynikła ta sprawa z „Głosem” i wszystko się poplątało. Mam nadzieję, że nie masz żalu?

- Absolutnie. To była luźna propozycja.
- Bo nie chciałam...

- Nie czuj się winna. Radzimy sobie bardzo dobrze. Iga pracowała do końca sierpnia, a teraz na jej miejsce przyszła Arleta.

- Arleta? – powtórzyła odruchowo Zojka.

Kordecki wydobył z kieszeni smartfona i nie patrząc na swoją towarzyszkę, kilkakrotnie przesunął palcem po jego wielkim ekranie. I zupełnie jakby zamachał jakąś unowocześnioną wersją czarodziejskiej różdżki, bo niemal natychmiast u wylotu korytarza pojawiła się atrakcyjna blondynka na niebotycznych obcasach. Na widok tych obcasów Zojka uniosła aż brwi. Z kolei gdy lustrowała krótką plisowaną spódniczkę, miała ochotę przeciągle zagwizdać. Jak coś wielkości chusteczki higienicznej jest w stanie zasłonić pupę?

Atrakcyjna Arleta przydreptała do miejsca, w którym siedzieli, i wsparła się na ramieniu Kordeckiego. Uśmiechnęła się przy tym do Zojki ni to znacząco, ni to z wyższością. Tuszyńska z miejsca poczuła do niej niechęć. I to wcale nie z powodu krótkiej spódniczki i obcasów, na których sama nigdy nie nauczyła się dobrze chodzić.

Kordecki wymamrotał nazwiska obu kobiet takim tonem,

jakby było to dla niego wielką torturą.

– Zojka, prawda? Bardzo dużo o tobie słyszałam! – blondynka zaszemrała srebrzystym głosem. Poklepywała przy tym Kordeckiego po ramieniu. Mężczyzna zerwał się z krzesła i wskazał jej swoje miejsce. Arleta zajęła je, dziękując mu słodkim uśmiechem i zakładając nogę na nogę. Zojka przewróciła oczyma, odwracając się w drugą stronę. Siedząca nieopodal staruszka mrugnęła do niej porozumiewawczo. Nie wiedzieć czemu, Tuszyńskiej dodało to wigoru. I tupetu. Odwróciła się w kierunku blondwłosej Arlety z szerokim uśmiechem.

– Naprawdę? Czyżby redaktor Kordecki tak miło wspominał naszą współpracę?

Arleta rozciągnęła starannie umalowane usta w uśmiechu kłowna, ale jej oczy pozostały zimne i nieprzyjazne. Natomiast redaktor Kordecki niespodziewanie zaniósł się suchym kaszlem i szybko odwrócił się do kobiet plecami, jakby nabrał chęci kontemplowania zawieszonych na ścianie tablic z ogłoszeniami.

– Och, nie wiem jak redaktor, ale dziennikarze pracujący w „Kronice Wadowickiej” do dzisiaj wspominają twoją osobliwą karierę – mruknęła właścicielka plisowanej spódniczki, zmieniając nogę i eksponując małego koliberka wytatuowanego nad kostką. Zojka skinęła głową.

– Jaki słodki tatuaż! To wróbel?

Arleta otworzyła szeroko niebieskie oczęta.

– Proszę?

– Bardzo ładny wróbelek.

– To nie jest żaden wróbelek! – Nogi blondynki wierzgnęły niecierpliwie i ustawiły się grzecznie jedna przy drugiej, skutecznie kryjąc rysunek na skórze. – To przecież koliber!

– Serio? – zdumiała się teatralnie Zojka. Udała, że pochyliła się w kierunku nóg towarzyszki, ta jednak pospiesznie je odsunęła. Tuszyńska posłała jej zbolące spojrzenie. – Z tej perspektywy

wygląda jak wróbel, daję słowo! I coś mu zwisa pod ogonem. Może kupa?

Arleta otworzyła usta, najwyraźniej zamierzając stanąć w obronie swojego modnego tatuażu, jednak w tej samej chwili Kordecki złapał ją za ramię i lekko pociągnął w kierunku pobliskich drzwi. Zojka odprowadziła odchodzących szerokim uśmiechem i z satysfakcją odnotowała fakt, że idąc, blondwłosa Arleta próbuje zerknąć pod różnym kątem na wytatuowanego na skórze ptaszka. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi z cichym stuknięciem, młoda kobieta wypuściła nagromadzone w płucach powietrze z głośnym „fuuuu”. Siedząca nieopodal staruszka zwróciła ku niej głowę, potrząsając loczkami i puszczając konfidencjonalnie oko.

– Dobra robota, kochaniutka, dobra robota!

Dobra robota zasługuje na nagrodę, pomyślał zadowolony z siebie Paweł Chochołek. Dla aspiranta wtorek okazał się bardzo pracowitym dniem, ale kiedy mężczyzna opuścił w końcu budynek komendy, czuł radosne podekscytowanie. Wszystko wskazywało na to, że nareszcie natrafił na sprawę, która przyniesie mu zaszczyty!

Śmierć Matyldy Gronkowskiej z domu Poręba pozornie nie powinna wzbudzać żadnych wątpliwości. Chociaż kobieta cieszyła się dobrym zdrowiem i bystrym umysłem, była w takim wieku, że w każdej chwili mogła otrzymać wezwanie od świętego Piotra. Jej zgon z pewnością nie zaniepokoiłby nikogo, gdyby nie pieniądze, a raczej ich brak. Gdy najbliżsi krewniacy pani Matyldy – z zachłannym synem z Ameryki na czele – przebrnęli w końcu przez zawiłości prawa spadkowego, okazało się, że majątek starszej pani wyparował. Pieniądze, które zapamiętała gromadziła na „czarną godzinę” – a było tego sporo, zapewniała poruszona córka – zniknęły. Krewni pani Matyldy byli święcie

przekonani, że ich matka padła ofiarą zwyrodnialca, który ją okradł, a następnie zamordował. Nawet jeśli nie własnymi rękoma, to przecież tak zuchwałą kradzież musiała przyplącić zdrowiem i życiem, prawda?

Chochołek skłaniał się raczej ku teorii, że starsza pani za plecami córki przekazała gotówkę synalkowi, do którego według zirytowanej kobiety miała niebywałą słabość. Ewentualnie schowała pieniądze w tylko sobie znanym miejscu, by rodzina nie położyła na nich łap. I najnormalniej w świecie umarła. Kiedy jednak pożegnał już rozczarowanych swoją postawą krewnych pani Gronkowskiej, natychmiast zaczął szukać informacji o podobnych sprawach. Zajęło mu to całe poniedziałkowe popołudnie, ale był ukontentowany, ponieważ natrafił na coś intrygującego.

Kilka miesięcy wcześniej do komendy zgłosiła się podenerwowana córka pana Kicińskiego. Pan Kiciński lubił sobie wypić, nie oszczędzał też na papierosach, a w porywach szczerości przyznawał się również do wypraw „na dziewczynki”. Według córki dziewczynki były wywrotowymi emerytkami, które naciągały tatusia na kawę i ciastka z bitą śmietaną w wadowickich kawiarniach, nie stanowiły jednak większego zagrożenia. Gdy jednak po śmierci starszego pana przystąpiono do porządkowania jego mieszkania na osiedlu Marcina Wadowity, odkryto, że zostało ono ogołocone z wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Zniknął nawet aparat fotograficzny, duma starszego pana, który w młodości zajmował się amatorską fotografią.

– Bizuteria mojej matki, telewizor, który kupiliśmy mu rok wcześniej na dziewięćdziesiąte urodziny. No i oczywiście pieniądze! A ojciec trzymał na koncie okrągłą sumkę! Wiem, bo otrzymałam do tego rachunku upoważnienie! – wyjawiała Chochołkowi córka starszego pana, kiedy do niej zadzwonił. – I nic się nie wyjaśniło! Tata sam wypłacił te pieniądze na kilka

tygodni przed śmiercią i najwyraźniej komuś przekazał! Jestem przekonana, że natrafił na naciągacza! Albo naciągaczkę!

Chochołek doszedł do podobnego wniosku. Najwyraźniej w okolicy grasował szubrawiec, który brał na cel emerytów i wykorzystywał ich słabość, aby zagarnąć oszczędności życia. Aspirant poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Obiecał sobie, że zrobi wszystko, by ująć sprawcę i zapobiec podobnym zdarzeniom w przyszłości. Tego dnia z rana osobiście pofatygował się do bloku, w którym przed śmiercią mieszkał starszy pan. I to właśnie rozmowa z sąsiadami nieżyjącego mężczyzny naprowadziła aspiranta na bardzo obiecujący trop. Jedna z sąsiadek przypomniała sobie, że tuż przed śmiercią starszy pan zaczął wyjątkowo o siebie dbać.

– Zawsze był z niego taki podstarzały casanova. Gdy się przechodziło obok niego, należało przyklejać pośladki do ściany, bo nieraz klepnał przypadkiem. Podobno ręce mu się tak same trzęsły! – Śmiała się. – A w ostatnich miesiącach życia zaszła w nim jakaś zmiana. Kupił garnitur i kapelusz słomkowy. Raz widziałam go w mieście z wielkim bukietem czerwonych róż. Mówił, że żenić się będzie, a gdy spytałam, skąd wyczarował taką, co by go zechciała, powiedział, że znalazł ludzi, którzy mu ją wyczarowali. Taki żartowniś.

Chochołek poczuł coś dziwnego. Zupełnie jakby rozpoznał twarz napotkanego na ulicy człowieka, ale nie potrafił powiedzieć, skąd go zna. Na myśl, że znajduje się na tropie kolejnej afery kryminalnej, uśmiechnął się szeroko. Tego dnia pracował z niespotykaną wręcz energią, wzbudzając zdumienie w swoim przełożonym, Adamie Bryczce. Przeglądał stare raporty, wypytywał kolegów o podejrzone oraz całkiem naturalne zgony starszych ludzi. Po kilku godzinach wszyscy mieli go serdecznie dość, ale nic sobie z tego nie robił. Zachowywał się jak pies tropiący, który właśnie wyczuł nęcącą zwierzynę.

Po południu z niechęcią oderwał się od przeglądanych papierów, wstał zza biurka i przeciągnął się mocno, aż chrupnęło mu w dole kręgosłupa. Potrzebował relaksu. I czegoś słodkiego. Ale przydałoby się zebrać jeszcze trochę informacji o podejrzanych zgonach...

Zaraz, zaraz, a dlaczego by tego nie połączyć?

Zadowolony z siebie Chochołek wskoczył za kierownicę kanarkowego forda ka i ruszył do Lipówki.

Powracająca z pracy Zojka rozmyślała, gdzie mogłaby zrobić sobie tatuaż. Rysunek musiałby być niewielki i oznaczać coś ważnego dla niej. Może pióro? Albo maszyna do pisania? Na myśl o staromodnym sprzęcie wytatuowanym na biodrze dziewczyna aż zachichotała. Śmiech poniósł się po wąwozie, płosząc brunatną wiewiórkę. Zojka zamachała listonoszką. Miała świetny humor.

– Muszę opowiedzieć o tym babuni! Będzie miała ubaw po pachy! – mruknęła do siebie.

Ale kiedy weszła na podwórko, zapomniała o wszystkich tatuażach tego świata. Na widok Pawła Chochołka rozpartego w krześle stojącym na ganku, z wyrazem leniwego zadowolenia na twarzy, aż uniosła brwi.

– Czy ja o czymś nie wiem? Jakies nowe zwłoki? Podejrzenia? Względem mnie? Nie? Więc pan aspirant tak z tęsknoty?

Pan aspirant na końcu języka miał, że owszem, z tęsknoty, ale za smakowitym, domowym ciastem babuni Łyczakowej. Uśmiechnął się jednak tylko półgębkiem i żalonym spojrzeniem omiół ostatnią porcję słodkiego wypieku. Taki ostatni kawałek ciasta był niezmiernie problematyczny, w ten sam sposób co ostatni cukierek czy orzeszek ziemny w miseczce. Pomimo popularnego porzekadła, jakoby zjadający ostatki był piękny i nie tylko, jakoś każdy się krygował.

Aspirant Chochołek również miewał podobne obiekcje, ale w zetknięciu z kawałkiem domowego ciasta szybko one wyparowały. Zamierzał właśnie sięgnąć po przysmak, gdy oczy Zojki rozbłyły jakimś dziwnym blaskiem i młoda kobieta pochyliła się nad talerzem, sprawnym ruchem odrywając całą kruszonkę wraz z kawałkiem dorodnej śliwki.

– Umieram z głodu! – zamruczała, napychając usta słodkim wypiekiem. Babunia, która właśnie pojawiła się na ganku z kubkiem herbaty, spojrzała na nią z dezaprobatą i fuknęła:

– Jedz jak człowiek! Przynajmniej przy obcych!

A najlepiej nie jedz i zostaw jedzenie innym, dopowiedział w myśli aspirant, który chętnie zagarnąłby całą blachę placka tylko dla siebie. Jakby na potwierdzenie tych myśli, z głębi jego brzucha dobiegło głośnie burczenie. Policjant złapał się za okolice żołądka i odchrząknął. Aby ukryć zakłopotanie, postanowił nawiązać do słów panny Tuszyńskiej.

– Zwłoki to może i by się znalazły – mruknął pod nosem.

– Naprawdę? – wyrwało się równocześnie obu kobietom.

Chochołek natychmiast zrozumiał swój błąd.

– Żadnych komentarzy! – zastrzegł prędko, uświadamiając sobie, że Zojka jest teraz przedstawicielką prasy i może stanowić dla niego zagrożenie. Dziennikarze lubili wchodzić stróżom prawa w paradę i w najmniej oczekiwanym momencie wywlekać na światło dzienne i łamy swoich tytułów najpikantniejsze szczegóły, najczęściej pozyskiwane poprzez niespodziewane wycieki. Co prawda Chochołek osobiście nie miał do czynienia z podobną sytuacją, ale spotkał się z nią wielokrotnie. Na ekranie telewizora najczęściej. A właściwie to tylko i wyłącznie.

– Jakich tam komentarzy? – Zojka wepchnęła do ust resztę ciasta i wdrapała się na drewnianą poręcz ganku. Rozsiadła się wygodnie, majtając lekko nogami. – Przecież ja tylko wyrażam uprzejme zainteresowanie. W celu podtrzymania rozmowy –

wyjaśniła niewinnie.

– A, chyba że tak...

– No to o co chodzi z tymi zwłokami? – zagaiła.

– Ale ja...

– Niech się władza nie kryguje. – Babunia z emocji aż dostała rumieńców. Przysiadła na brzegu ławki i wpatrywała się w aspiranta z wyczekiwaniem. – Nie można tak komuś zwłokami pomachać, a potem ani me, ani be!

– Mogę tylko powiedzieć, że rozpocząłem bardzo emocjonujące i niebezpieczne dochodzenie. – Zainteresowanie kobiet mile połechtало policyjne ego Chochołka i sprawiło, że zdecydował się uchylić rąbka tajemnicy, przy okazji nieco podkolorowując fakty. Sam przed sobą musiał przyznać, że przez to poczuł się ważniejszy i teraz zerkał w kierunku swoich słuchaczek, czy jego opowieść czyni na nich podobne wrażenie.

Starsza pani wyglądała na poruszoną, ale Zojka prychnęła lekceważąco.

– Pewnie chodzi o tego zaginionego gada w markecie budowlanym. Niech pan lepiej uważa, panie aspirancie, może to jakiś boa albo inny dusiciel? – kpiła.

Chochołkowi ton Zojki nie przypadł do gustu. Posłał jej kąśliwe spojrzenie i nerwowo zamachał rękoma.

– Może się pani śmiać, pani Zojko. Ciekawe, czy będzie tak zabawnie, jak pani babcię taki zwyrodnialec świśnie!

– Sam jesteś babcia – zachnęła się staruszka. – I kto ma mnie niby świsnąć?

– No nie wiem. – Chochołek na widok płomiennych rumieńców babuni pożałował raptownie wypowiedzianych słów. Tak naprawdę szperał po omacku i nie miał nawet pojęcia, czy tam gdzie trzeba. Wiedział jedynie, że chodzi o zgony osób w podeszłym wieku i jakieś zaginione pieniądze. W obu przypadkach niemałe. I tych właśnie pieniędzy uczepił się jak tonący próchniejącej deski. – Pewnie ten, co chce majątki

zachachmęcić. – Wzruszył ramionami z udawaną nonszalancją.

Babunia Łyczakowa niemal podskoczyła na ławce. Jej pomarszczoną twarz opromienił szeroki uśmiech.

– Jeśli chodzi o majątki, to ja mam kilku kandydatów. Daleko szukać nie musimy, wszystko zostanie w rodzinie. Spisać? – dopytywała zaaferowana.

Chochołek odchrząknął wyraźnie zakłopotany, a zarumieniona Zojka zeskoczyła z balustrady i złapała babunię za ramię.

– Babciu, może lepiej ciasta ukrój i wstaw wodę na herbatę?

Starsza pani posłała jej poirytowane spojrzenie.

– Sama idź, nogi masz młodsze...

– Racja, ale mam też pewne skłonności. Dobrze wiesz, czym kończy się moje krojenie ciasta.

– O, co fakt, to fakt. Lepiej zajmę się tym osobiście. Inaczej władza dostanie ciasto ze śliwkami i kruszonką bez kruszonki i śliwek. I jeszcze władzę przytka albo co gorzej: przydławi. I co? Kto nam znajdzie tego zwyrodnialca, który majątki grabi?

Mamrocząc pod nosem, babunia podreptała w kierunku wejścia do sieni. Zojka odprowadziła ją wzrokiem, kręcąc głową. Chochołek nie musi wiedzieć, jak specyficzna jest ich rodzina i że według babuni Łyczakowej jej członkowie od kilkunastu lat czyhają na babciną ziemię i majątek. Wystarczy, że cztery wsie żyją konfliktem Zofii i jej córek, w sprawę nie trzeba angażować jeszcze lokalnych stróżów prawa. A przynajmniej do czasu, aż babunia popracuje nad celnością swojej siekierki...

Doprawdy, pilnowanie babuni Łyczakowej było trudnym i absorbującym zadaniem. Zojka sapnęła, myśląc, że przynajmniej zapobiegła wpisaniu najbliższych krewnych na listę podejrzanych w nowym śledztwie Chochołka. Jeszcze tego przekłętogo ogłoszenia pozbyć się trzeba. Zanim babunia stwierdzi, że i ono można jakoś ciekawie wykorzystać w walce z nudą.

Z zamyślenia wyrwało ją ponowne pojawienie się starszej pani. Babcia wychyliła się z drzwi i celując sękatym palcem w policjanta, wyszeptała:

– Na wypadek, gdyby mnie jednak świsnął, to ja tę kartkę z nazwiskami wsunę pod ubranie do trumny...

• ROZDZIAŁ TRZECI •

Babunia Łyczakowa zaginęła w czwartek, 21 września.

Początkowo jej nieobecność nie tylko nie wzbudziła najmniejszych podejrzeń, ale nawet nie została zauważona.

Co prawda powracając z pracy Zojkę zaskoczył nieco widok zamkniętych drzwi domku, zza których dobiegało oburzone jazgotanie uwięzionego Burka, ale szybko przeszła nad tym do porządku dziennego. Sięgnęła do torebki po klucz, otworzyła drzwi, wypuściła psisko na podwórko i zajęła się przetrząsaniem stojących na kuchence garnków w poszukiwaniu czegoś smacznego. Chwilę później zasiadła przy kuchennym stole i przerzuciwszy leżące na blacie czasopisma i papiery, zaczęła pałaszować odgrzane pierogi. Zaspokoiwszy pierwszy głód, zerknęła na zegar i pomyślała, że babunia wyjątkowo długo zasiedziała się na popołudniowej kawie u Guzikowej. Pewnie oglądają *Wspaniałe stulecie* albo jedną z tureckich telenowel, które w ostatnim czasie pojawiły się w telewizji, obgadując przy tym grające w serialu aktorki i plotkując na temat sąsiadek z Lipówki.

Wrześniowe popołudnie było deszczowe i chłodne, więc siedząca za stołem Zojka szybko poczuła nieprzyjemne dreszcze. Zwinęła z parapetu stertę gazet, raz-dwa zakrzętnęła się koło kaflowego pieca i po chwili pod blachą buzował wesóły

ogień. Młoda kobieta przygotowała swój ulubiony kubek z wyszczerbionym brzegiem i szklankę w koszyczku dla babuni, a następnie podeszła do zalanego deszczem okna i wpatrzyła się w ścieżkę znikającą w wąwozie prowadzącym do Lipówki. Starszej pani nadal nie było, więc dziewczyna zaczęła się denerwować. Zerknęła przelotnie na Burka, który przykleił kudłaty bok do powoli rozgrzewających się kafli, i sięgnęła po komórkę. Matka odebrała po kilku sygnałach.

– Co się dzieje, córcia? – zapytała bez wstępów.

– Chodzi o babunię...

– Dała ci popalić – stwierdziła domyślnie matka.

Zojka usiłowała zaprotestować, ale Krysia Tuszyńska nie dopuściła jej do głosu. Głośno utyskiwała na dziwactwa własnej matki, kończąc zapewnieniem, że jeśli tylko Zojka chce, może nawet w tej chwili wrócić do rodzinnego domu. Skoro musi.

– Babcia potrzebuje opieki, ale rozumiem, że to ponad twoje siły. Do tej kobiety cierpliwości nie miałby nawet papież... – perorowała.

Zojka zgrzytnęła zębami.

– Więc nie ma jej u was? – zapytała.

– U nas? – zdumiała się matka. – Oszalałaś?

– No tak – bąknęła. – Wolałam się upewnić, zanim...

– Do ciotki nie musisz dzwonić – wtrąciła szybko Krystyna. – Przed chwilą od niej wróciłam i babci tam nie widziałam. Może poszła do kościoła? Lubi irytować proboszcza, chrząkając podczas kazania.

– O tej godzinie chyba nie ma mszy... – zawahała się Zojka, której przed ołtarz było troszkę nie po drodze, bo lubiła sobie w niedzielę poleniuchować.

– Masz rację. To pewnie na cmentarz. Zaświecić znicza dziadkowi Antosiowi...

Zojka zerknęła w okno i pomyślała, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wybrałby się na cmentarz w taką pogodę.

Z drugiej strony babunię trudno było nazwać osobą przewidywalną, więc diabli wiedzą, może lubi sobie w deszczu posiedzieć nad grobem? Pożegnała się z matką i podeszła do pogwizdującego na blasze czajnika, aby zalać herbatę. Szklanekę babuni zostawiła na tacy, a sama, objąwszy kubek zziębniętymi dłońmi, stanęła przy oknie i obserwowała ciemniejący krajobraz. Kilka minut później w wielkiej przeciwdeszczowej pelerynie, w za dużych o dwa numery gumowcach na bosych stopach, brodziła błotnistą drogą w kierunku wsi. Bez trudu trafiła do niedużego domku Guzikowej i mocno zastukała do drzwi.

Leokadia Guzik, zwana także Starą Leošką lub Pietrkową na pamiątkę niezującego od piętnastu lat męża, była tęgą niewiastą z siwiejącym koczkim i dużą brodawką na brodzie. Kiedy Zojka była małą dziewczynką, miała sen, w którym Guzikowa wcieliła się w Babę-Jagę i więziła ją w małym domku pod lasem. Od tamtej pory w towarzystwie przyjaciółki babuni zawsze czuła się nieswojo, zupełnie jakby starsza pani rzeczywiście chciała zamknąć ją w ciasnej komórce i tuczyć na smaczne kotlety. Teraz również zatrzymała się na ostatnim stopniu schodów i grzecznie zapytała, czy zastała babunię.

– Nie widziałam jej od rana. Po śniadaniu byliśmy w sklepie i na cmentarzu, a potem wróciła do domu. – Guzikowa świdrowała Zojkę przenikliwym spojrzeniem. Nagle wychyliła się w jej kierunku. Dziewczyna odruchowo cofnęła się, o mało nie tracąc równowagi w ogromnych gumowcach. – Uprawdzili ją? – wychrypiała starsza pani.

Zojka zaśmiała się nerwowo.

– No co też pani mówi. Kto miałby porwać naszą babcię?

– A bo to mało takich? – deliberowała Guzikowa. – W telewizji różne rzeczy pokazują, więc wiem. Kiedyś to takie machlojki

ukrywali, teraz czarno na białym wszystko widać. Seriale robią, paradokumentalne, i teraz każdy widzi, co się wyprawia na policji, w polityce i w służbie zdrowia. Wszędzie ten seks, narkotyki i korupcja. Narkotyków i korupcji jest najwięcej – dodała z żalem.

Zojka kiwnęła głową.

– Ale babunia to chyba nie ma nic wspólnego z korupcją i narkotykami. Z seksem też nie – dodała na wszelki wypadek, bo nagle przed oczyma stanęło jej wycięte z gazety ogłoszenie agencji matrymonialnej. Zojka poczuła, jak włoski na jej karku stają dęba. W co tym razem wpakowała się niesforna babunia?

– Nie, raczej nie – przyznała z pewnym rozczarowaniem w głosie Guzikowa. – Ale pewności nie masz. Teraz nikogo nie można być pewnym. Ksiądz, nauczyciel, własny wnuk – każdy ma swoje za uszami.

– Hmmm, mimo wszystko mam nadzieję...

– Słyszałaś o naszym sołtysie? – Staruszka chuchnęła na Zojkę aromatem jajeczniczy na cebulce.

– Nieee – mruknęła, cofając się o kolejny krok i grzęznąc po kostki w błocie.

– E tam, nie wierzę ci. Przecież ty też byłaś w to zamieszana. Prawda to, że on miał cały harem kochanek?

– Nie mam pojęcia – pisnęła przestraszona Zojka. – Widziałam tylko jedną. I jedną dwunastą drugiej.

– Jak to policzyłaś? – zdziwiła się sąsiadka.

– To nie ja. Na kolei robili obliczenia. – Zojka już okręcała się na pięcie, pewna, że wścibska przyjaciółka babuni nic więcej jej nie powie, a tylko niepotrzebnie zdenerwuje wzmiankami o niewiernym narzeczonemu Zosi. Sama nie potrafiła zrozumieć, dlaczego kuzynka tkwi w tym związku, skoro na światło dzienne wyszły romanse jej narzeczonego, Mikołaja, ale nie zamierzała roztrząsać tej kwestii z pierwszą plotkarą Lipówki. Mocniej naciągnęła na twarz kaptur wielkiej peleryny

i z niechęcią zerknęła w kierunku tonącego w mroku wzgórza. Niespodziewanie sąsiadka poklepała zmartwioną wnuczkę po plecach.

– Nie martw się, skoro jej nie uprowadzili, raz-dwa wróci!

Przygnębiona Zojka wróciła do domku na wzgórzu, przywitała się z obskakującym ją radośnie Burkiem, spróbowała pogłodzić futro Filipa i wstawiła szklanekę z koszyczkiem do kuchennej szafki. Następnie dorzuciła pod blachę grube polano i oparłszy się plecami o nagrzane kafelki, cieszyła się ciepłem płynącym z paleniska, myśląc, jak dobrze, że w domku babuni nadal stoi stary piec! Nic tak nie rozgrzewało w jesienne i zimowe wieczory jak widok strzelających płomieni. No, może poza ciepłym uśmiechem babuni i jej kąśliwym językiem. Zojka westchnęła żałośnie i poczłapała do łóżka, pragnąc, by ranek przyszedł jak najszybciej...

– Cześć mamó, dzwonię, bo... hmmmm, babuni nadal u was nie ma?

– Nie wróciła?

– No właśnie nie. Trochę się martwię.

– Niepotrzebnie, córcia. Babcia ma swoje nawyki. Pewnie pojechała do jakiejś przyjaciółeczki z młodych lat.

– Guzikowa też tak mówi...

– Więc posłuchaj Guzikowej. Stara Leośka zna twoją babcię najlepiej. Siedzą w jednej ławce w kościele.

– ...ale jakoś nie jestem przekonana. Babunia i takie wycieczki? Nie zostawiłaby przecież bez opieki Burka i kurczaków!

– Przecież wiedziała, że zostawia je z tobą! Nie martw się o babcię, dziecko. Złego diabli nie biorą...

- Ciocia? Tu Zojka.

- Uhm.

- Dzwonię, bo babunia się gdzieś zawieruszyła.

- Tutaj jej nie ma.

- Wiem, ale może przysłabym do was i podumalibyśmy, gdzie jej szukać?

- Och, Zojeczko, to bardzo dobry pomysł, ale dzisiaj nie mogę! Właśnie zabieram się do robienia przetworów z jabłek i parzę słoiki. Mam ręce pełne roboty.

- Ciociu, przecież to twoja matka!

- Słoiki też są moje. One przynajmniej nigdy nie poszczuły mnie psem. A babcią się nie przejmuj, jak polazła, to i przylezie.

- Zosia? Jesteś tam?

- Jestem. Zojka, tracisz czas. Niepotrzebnie do mnie dzwonisz.

- Ale...

- Wiem już o wszystkim i nic mnie to nie obchodzi!

- Zosiu, zrozum, to poważna sprawa!

- Może dla ciebie, bo lubisz robić z igły widły!

- A jeśli coś jej się stało?

- Sama jest sobie winna.

- Zośka, bo stracę cierpliwość i wytargam cię za te mysie kudły! Babunia ma siedemdziesiąt dwa lata! Nie pamiętasz już, jak wspaniale się nami opiekowała? Jak podsuwała ci po kryjomu czekoladę, gdy miałaś ospę? Albo jak podrobiła podpis twojej matki w dzienniczku, gdy dostałaś dwóję z polaka? Taka jesteś bezduszna? A ona może tam leży gdzieś i się wykrwawia z roztrzaskanej głowy! Dlaczego ryczysz? Nie rycz!

- Przestań mi wypominać mysie włosy! Zawsze kłułaś mnie w oczy tymi blond loczkami! Nawet babunia mówiła, że jesteś jak aniołek. Ładny mi aniołek, co rogami własną rodzinę

bodzie!

– Zośka...

– Babuni nic nie będzie, pewnie pojechała kupić nową siekierkę albo coś. A ty nie udawaj, że dzwonisz w sprawie babuni. Nie rozstanę się z Mikołajem z powodu tych bajeczek, które wymyśliłaś razem z Kordeckim i moim głupim bratem. I z policją na dodatek. Wstydz się!

– Zosia, Zosia... Jesteś tam? Zośka!

Zojka spojrzała na trzymanego w dłoni smartfona i zakłęła pod nosem. Odłożyła aparat na blat stołu i pomyślała, że dzwonienie do Janka i kolejnych sąsiadów mija się z celem. Nikt nie zamierzał jej wspierać w poszukiwaniu babuni Łyczakowej, nikt w ogóle nie przejął się tym, że staruszka zniknęła bez słowa. Dziewczyna zerknęła w kierunku kuchennego zegara i stwierdziła, że najwyższa pora zadzwonić do redakcji i zgłosić, że tego dnia nie zjawi się w pracy. Nie mogła wcielać się w rolę dziennikarki i opisywać wypadków drogowych i poślednich afer kryminalnych w powiecie wadowickim, gdy w jej własnym domu doszło do tak niepokojących i niewytłumaczalnych zdarzeń.

Zamieniła kilka słów z Markowską, zasłaniając się nagłym przeziębieniem i zapewniając, że przyjdzie do pracy, gdy tylko poczuje się lepiej, po czym rozłączyła się i spojrzała na siedzącego u swoich stóp Burka.

– Nie ma co odkładać tego na później. Idziemy do pokoju babuni. Czas zajrzeć pod ubranie do trumny!

Pokój babuni Łyczakowej znajdował się po drugiej stronie ciemnej sieni, na wprost wejścia do kuchni. Podobnie jak w innych pomieszczeniach domku na wzgórzu, także i tu

dominował specyficzny wystrój starych budynków, z ciężkimi, drewnianymi meblami i świętymi obrazkami na kolorowych ścianach. Jedynym nowoczesnym akcentem w sypialni był ogromny telewizor z płaskim ekranem, który swego czasu stał się kolejną kością niezgody pomiędzy Zofią Łyczak a jej córkami. Zaalarmowane przez obarczonego misją zakupienia nowoczesnego sprzętu Janka, kobiety przybyły na wzgórze i załamały ręce nad taką rozrzutnością. Po co babuni telewizor pięćdziesiąt cali, przecież pieniędzy na to szkoda!

– Chyba wam – burknęła niegrzecznie babunia, przepędzając córki z sypialni, gdzie wnuk montował właśnie technologiczne cacko. – Mnie nie szkoda!

Zojka uśmiechnęła się na widok stojącego w kącie telewizora i bez dalszej zwłoki zaczęła przetrząsać pokój. Co prawda doskonale wiedziała, że jeśli ma tutaj coś odnaleźć, to wyłącznie w szafie, i to w tym jednym, konkretnym zakamarku, w którym babunia gromadziła to, co uważała za ważne, lub to, co chciała ukryć. Sama przed sobą musiała jednak przyznać, że babcine ubranie do trumny wzbudza w niej jakiś irracjonalny strach i że odkłada w nieskończoność moment, kiedy będzie zmuszona pod nie sięgnąć. W końcu jednak zdenerwowana stanęła przed uchylonymi drzwiami szafy i spojrzała na niepozorne zawiniątko.

Swoją drogą warto by skontrolować, w czym też babunia wybiera się na własny pogrzeb, pomyślała, marszcząc brwi. Znając starszą panią, równie dobrze mogła być to elegancka garsonka, co suknia tancerki flamenco z ogromnymi falbanami. Tę delikatną misję postanowiła jednak odłożyć na inną okazję i powoli podniosła nieszczęsną kupkę ubrań, wsuwając pod nią dłoń i lekko poklepując półkę. Niemal natychmiast na podłogę sfrunął kawałek papieru. Zojka jeszcze raz dokładnie obmacała wnętrze szafy, ale nic więcej pod ubraniem do trumny nie było. Odłożyła je więc na miejsce, przyglądała, przyklepała,

i pochylała się nad podłogą, by sprawdzić, cóż to za papierzyska przechowuje staruszka. Czyżby była to sporządzona dla Chochołka lista?

– O cholera! – wykrzyknęła na widok charakterystycznego logo biura matrymonialnego. Była przekonana, że kawałek gazety nadal wisi sobie w najlepsze na drzwiczkach lodówki, a tymczasem babcia, nie wiedząc kiedy, schowała go w szafie!

Zojka podniosła wycinek i zmarszczyła brwi. Pamiętała, że był zgnieciony, a teraz wygładzono go, zupełnie jakby został wsunięty między strony grubej książki. Na domiar wszystkiego ktoś – babunia, bo któż inny! – zakreślił długopisem numer telefonu. A to świadczyło o jednym. Nie trzymała tego ogłoszenia ot tak, „bo może się jeszcze przydać”. Ona rzeczywiście zamierzała je wykorzystać!

Czy wykorzystała? – Zojka przygryzła nerwowo wargę.

Zerknęła na stojący przy łóżku budzik i zakłęta w duchu. O tej porze nie miała do Wadowic żadnego pociągu ani busa. Pozostało pójść na przystanek i mieć nadzieję, że jakiś kierowca się nad nią ulituje i zabierze do miasta. W ostateczności mogła pójść piechotą, ale do Wadowic dostać się musiała. Na myśl o babuni czuła niepokój. Cholera, miała się staruszką opiekować, a tu co?

Zwiała jej praktycznie sprzed nosa.

Biuro matrymonialne i nocna nieobecność?

To naprawdę nie wyglądało dobrze!

Redaktor Marcin Kordecki położył dłonie na kierownicy swojego nowego samochodu i uśmiechnął się pod nosem. Jego twarz natychmiast się rozpogodziła, zły nastrój prysnął niczym bańka mydlana. Kordecki poczuł, jak rozpiera go prawdziwa męska duma, całkiem uzasadniona zresztą.

Już dawno stracił nadzieję, że kiedykolwiek zda egzamin

upoważniający go do kierowania pojazdem innym niż wrotki, deskorolka czy ukochany rower! A on, chociaż darzył swój jednośląd ogromną sympatią, bardzo potrzebował auta. Jako dziennikarz musiał być mobilny i dyspozycyjny w różnych miejscach.

Osiem.

Właśnie tyle razy podchodził do egzaminu. Oczywiście praktycznego, bo teoretyczny miał już w malutkim palcu i właściwie to był zdania, że z powodzeniem mógłby zastąpić pracowników ośrodka szkolenia kierowców, gdyby czasem przyszło mu szukać nowego zajęcia. Niestety, śladem teoretycznej wiedzy redaktora nie szły zdolności praktyczne. A może po prostu towarzyszył mu chroniczny pech? Dość powiedzieć, że oblewano go regularnie i w sytuacjach – można rzec – absurdalnych.

Taki czwarty egzamin na przykład. Zatrzymał się właśnie przykładowie na pasach, by przepuścić pieszą, gdy nagle z niesionej przez nią siatki posypały się bułki. Jak na rycerskiego mężczyznę przystało, rzucił się zbierać toczące po jezdni pieczywo, a kiedy zziębnięty i zadowolony z siebie powrócił za kierownicę, czerwony ze złości egzaminator kazał zjechać na pobocze i się przesiąść. I tak mu się opłacała uprzejmość względem nieznanym staruszki!

Albo wtedy, gdy kazano mu skręcić w lewo, gdy skręcać wolno nie było, a on się kategorycznie sprzeciwił. Egzaminator posłał mu znaczące spojrzenie i zauważył, że chyba on wie lepiej. No chyba, pomyślał Kordecki, skręcając. I oblał.

Przy szóstym egzaminie towarzyszyła mu... egzaminatorka, którą najwyraźniej oczarował jego urok osobisty. Cały czas zwracała się do niego chrypliwym głosem, który w zamiśle miał brzmieć zmysłowo, ale Kordeckiemu przywodził na myśl warkot starej lodówki. Kazała mu jeździć po najciemniejszych zakamarkach miasta, jakby miała nadzieję, że pod wpływem

wszechobecnego mroku najdzie go ochota na Bóg wie co. W pewnym momencie złapała go za udo, a on wrzasnął, odruchowo skręcając kierownicą, i wtarabanił się w stojący przed blokiem trzepak. Nie dość, że skasował auto, to jeszcze nie zdał. Choć trzeba przyznać, że pani egzaminatorka oblewała go z wielkim żalem, a na koniec wciskała jeszcze malutką karteczkę, warcząc, znaczy szepcząc, o prywatnych jazdach doszkalających...

No a egzamin numer siedem? Na myśl o siódmym egzaminie oblał go zimny pot. Jechał sobie w najlepsze, zadowolony z przebiegu egzaminu i własnego opanowania. Siedzący obok egzaminator również wyglądał na zadowolonego, a przynajmniej dopóki nie zmogła go drzemka. Kordecki starał się jeździć spokojnie i unikać miejsc, w których mogłyby występować progi zwalniające. Podjeżdżał właśnie wolniutko do przejścia dla pieszych, aby przepisowo zatrzymać się i przepuścić przechodniów, kiedy nagle na pasach pojawiła się Zojka Tuszyńska, z którą poprzedniego wieczoru odbył nieprzyjemną rozmowę. Na widok rudego zwierzątka w jej ramionach zaklął szpetnie i chciał zahamować, ale pomylił pedały i z całym impetem ruszył do przodu. Przebudzony egzaminator usiłował złapać kierownicę, przerażeni ludzie umykali z przejścia z wrzaskiem, a Zojka na jego widok znacząco popukała się w czoło. Pewnie myślała, że celowo chciał ją rozjechać...

Kolejny raz oblano go z jej winy! Kiedy za ósmym razem siadał za kierownicą samochodu MORD, przed oczyma miał Zojkę Tuszyńską. Towarzyszyła mu przez cały egzamin, uśmiechając się kpiąco znad maski srebrzystej toyoty yaris. Kordecki mocno zacisnął zęby i przejechał zalecaną trasę ze stoickim spokojem oraz przekonaniem, że jeśli zaliczy w końcu ten cholerny egzamin, raz na zawsze uwolni się od tej wariatki. Do pracy będzie jeździł własnym samochodem i już nigdy nie spotka jej w pociągu! Zdał śpiewająco, a egzaminatorzy odetchnęli z ulgą.

Nikt nie chce zadzierać z prasą, a redaktor Kordecki był klientem wyjątkowo problematycznym. No bo co z takim zrobić? Oblewać bez końca? Napisze, że specjalnie to robią, by doić go z pieniędzy. Potraktować łaskawiej? Rozpęta aferę, że u nich byle pacan zdaje, albo – co gorsza – uzna, że oczekują finansowej gratyfikacji. Na szczęście spał pośladki i nareszcie zdał egzamin praktyczny, uwalniając ich od swego wątpliwego towarzystwa.

Redaktor Kordecki był równie ukontentowany. Za ledwie przed kilkoma dniami odebrał dokument, kupił używany samochód i z wielką radością z niego korzystał, ciesząc się, że w końcu nie jest uzależniony od rozkładu PKP. Tego deszczowego piątkowego poranka zadowolony z siebie zmierzał do pracy, słuchając radia i myśląc, jak dobrze dotrzeć do redakcji suchą stopą. Do redakcji, gdzie pracują sami kompetentni dziennikarze, w której nie ma żadnych morderczyń ani wariatek. Szczególnie wariatek.

Ta myśl wprawiła go w znakomity nastrój, który potęgowała jeszcze nadawana w radio piosenka. Kordecki pochylił się w kierunku odbiornika, by pogłodzić, i na ułamek sekundy oderwał wzrok od zalanej deszczem ulicy. Kiedy ponownie spojrzął na jezdnię, przerażony stwierdził, że przed maskę jego samochodu wtargnęła wymachująca rękami kobieta. Gwałtownie wcisnął hamulec i zamknął oczy.

Zojka poczuła, jak serce w jej piersi zamiera. Osłupiała wpatrywała się w siedzącego za kierownicą mężczyznę. Powoli opuściła ramiona, którymi jeszcze kilka sekund temu usiłowała przyciągnąć jego uwagę, kątem oka rejestrując majtającą przy łokciu listonoszkę. Widok torebki pozwolił jej złapać jako taką równowagę i ruszyła w kierunku samochodu. Chwilę później z wściekłością uderzyła nią o maskę samochodu. Kordecki

wyskoczył z auta jak z procy i zamachał rękami.

– Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery?!

– Kto ci dał prawo jazdy? No kto?! – odpowiedziała pytaniem. Widząc jego minę, przezornie zarzuciła torebkę na ramię i schroniła się po drugiej stronie wozu. Redaktor prychnął jak rozwścieczony byk.

– A kto tobie dał prawo do wychodzenia z domu? Stanowisz zagrożenie dla otoczenia!

– Ja? – ryknęła, uderzając pięścią w dach. – To ty już drugi raz usiłujesz mnie przejechać! To ty jesteś zagrożeniem! Dla mnie!

Kordecki otworzył usta, by rzucić kolejną ripostę, ale zaraz je zamknął, westchnął głęboko i jedynie uderzył zaciśniętą pięścią w mokry dach w geście bezsilności. Zojka posłała mu krzywe spojrzenie. Doprawdy, ten dzień nie mógł być bardziej beznadziejny. Babunia nie wróciła, deszcz lał z nieba strumieniami, drogi zamieniały się w błotniste potoki, a busa ani widu, ani słychu. Na domiar wszystkiego posiadała gdzieś parasolkę, więc wybierając się do Wadowic, musiała włożyć wielką pelerynę i gumowce babuni. Co prawda te ostatnie zasłoniła szerokimi spodniami, ale niewiele to pomogło. W bezkształtnej pelerynie, spodniach z obszernymi nogawkami i ubłoconych kaloszach wyglądała jak strach na wróble!

Po półgodzinie beznadziejnego oczekiwania na pojazd komunikacji zbiorowej postanowiła złapać okazję. Niecierpliwie wyciągała poczerwieniały z zimna kciuk w kierunku Wadowic, sygnalizując kierowcom przejeżdżających samochodów, że chętnie podzieli z nimi trudy podróży w strugach deszczu. Nie wiedzieć jednak, czy to przez nastroje pogorszone nieustającymi opadami, czy z winy niewyjściowego stroju w kolorze nadgniętego ziemniaka, żaden kierowca nie uchylił przed nią gościnnie drzwiczek swego wozu. A jeden to nawet tak gwałtownie przyspieszył, że wtarabanił się w dziurę przy przystanku i zalał

niedoszlą autostopowiczkę od stóp do głów strugami brudnej wody. Zojka obrzuciła go soczystymi epitetami, z których większość kończyła się na „-yn”, przetarła rękawem peleryny zabrudzoną twarz i dostrzegła jasne światła kolejnego samochodu. Ty mi nie uciekniesz, warknęła pod nosem i rzuciła się przed maskę nadjeżdżającego auta, wymachując gwałtownie ramionami. Pojazd był na tyle daleko, że kierowca musiał ją dostrzec! Musiał, ale z jakiegoś powodu nie dostrzegął i jechał wprost na nią...

Teraz oczywiście wiedziała już dlaczego! Nie pierwszy raz Marcin Kordecki, redaktor zakichany „Kroniki Wadowickiej”, usiłował ją rozjechać. Doskonale pamiętała tamten poranek, kiedy z zaskoczeniem, ale i ogromną radością zlokalizowała na swojej kołdrze Filipa! Natychmiast złapała zdeorientowane kocisko w ramiona i pognęła do Wadowic do weterynarza. Właśnie zmierzała do sklepu zoologicznego, aby kupić wygodny transporter, gdy jakiś wariat wjechał na przejście dla pieszych, które sekundę wcześniej przemierzyła. Kiedy przestraszona obejrzała się za siebie, zobaczyła pobladłego Kordeckiego rzucającego w jej kierunku nienawistne spojrzenia. I o co to wszystko? Tylko i wyłącznie dlatego, że rudy kocur wybrał jej towarzystwo? Najwyraźniej zna się na ludziach...

A teraz? Znowu! Za co mści się tym razem? Za zabrudzone spodnie? A taki opanowany i kulturalny wydawał się w Urzędzie Miasta, w towarzystwie tej swojej Arlety! Przy ludziach udaje człowieka, a normalnie to bez kija nie podchodzi! Na wspomnienie blondwłosej właścicielki krótkiej spódniczki Zojka nie wiedzieć dlaczego wpadła w furję.

– Proszę mnie zawieźć do Wadowic! – wrzasnęła.

– Jeszcze czego! – prychnął Kordecki, ocierając mokrą twarz. – Nie wpuszczę do swojego samochodu pierwszej lepszej awanturnicy! Poza tym kultura wymaga użycia słowa proszę...

– Przecież powiedziałam: proszę mnie zawieźć!

– ...w trochę innej intonacji. Twój roszczeniowy ton mi się za cholere nie podoba!

– Mnie twoja cholera też się nie podoba. Ty też mi się nie podobasz. Twój samochód też mi się nie podoba.

– Teraz przeholowałaś! Co ci się nie podoba w moim samochodzie? – zachnął się redaktor.

Zojka obrzuciła pojazd szybkim spojrzeniem. Tak naprawdę to był całkiem przyjemny. Ciemnoczerwony, o ładnej zaokrąglonej linii. Z miejsca, w którym stała, nie rozpoznawała marki, ale ogólnie rzecz biorąc, autko sprawiało przyjemne wrażenie. Ale tego Kordeckiemu powiedzieć nie mogła...

– Jest mokry – oświadczyła więc, wzruszając ramionami.

– No toś mnie zaskoczyła. Mokry jest! My też jesteśmy mokrzy! – krzyczał Kordecki. – A wiesz dlaczego? Bo zamiast wsiadać jak cywilizowany człowiek, wrzeszczysz na mnie niczym przekupka na targu!

Jak na komendę szarpnęli za klamki u drzwiczek i wskoczyli na siedzenia. Wnętrze samochodu było przyjemnie ciepłe. Kordecki zreflektował się najwyraźniej, do czego doprowadziły rzucone w gniewie słowa, bo wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. A ona przybrała niewinną minę, szybko zapięła pas bezpieczeństwa, by nie mógł jej tak łatwo wyrzucić, starannie ułożyła na kolanach małą torebkę, a na koniec splotła na niej zaczerwienione z zimna dłonie. Z burej peleryny spływały krople wody, mocząc siedzenie. Redaktor obrzucił szybkim spojrzeniem ten nietypowy strój i otworzył usta, by uraczyć nachalną pasażerkę jakimś soczystym komentarzem, ale na widok jej morderczego wzroku zrezygnował. Zacisnął tylko mocno zęby i szarpnął za klamrę od pasa, która jak na złość nie chciała z nim współpracować.

– Gdzie cię wysadzić? – mruknął, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Wszystko jedno, byle w Wadowicach.

- No to jedziemy. Swoją drogą, ładnie ci w tym kolorze. -
Uśmiechnął się złośliwie.

Zojka prychnęła.

- ...

- Co tam mamroczesz?

- Nie mamroczę. Modlę się do świętego Krzysztofa. Mam nadzieję, że wie, jakiego matoła ma pod opieką...

• ROZDZIAŁ CZWARTY •

Wnętrze biura matrymonialnego „Do Zakochania Jeden Rok” urzechało dyskretną elegancją. Zojka, która spodziewała się raczej różowych tapet, białego dywanu z długim włosiem i pluszowych kanap obitych materiałem z błyszczącymi cekinami, poczuła się niepewnie. Przybyła tutaj, aby bez przebierania w środkach wyciągnąć z pracowników biura wszelkie informacje o zaginionej babuni oraz porządnie obsztorcować ich za bałamucenie starszej pani. Zamierzała być bezwzględna i wyrachowana, a bycie bezwzględnym i wyrachowanym wydawało się łatwiejsze w zetknięciu z kiczowatym wystrojem rodem z buduaru paryskiej kurtyzany. Zojka pokręciła głową zniechęcona. Jak zrobić karczemną awanturę w miejscu, które wyglądem przypomina salę muzealną? Na sam widok chciało jej się szeptać. Widział kto kiedy awanturnika, który szepcze?

O tym, że być może staruszka wróciła już do domu i nieświadoma zamieszania, jakie wywołała swoim zniknięciem, pije rozgrzewającą herbatę z cytryną, nawet nie pomyślała. Nie zdradziła również celu swojej podróży Kordeckiemu. Poprosiła, żeby wysadził ją w centrum miasteczka, i udawała, że nie widzi, jak mężczyzna zgrzyta ze złości zębami. Teraz zdecydowanym krokiem zbliżyła się do eleganckiego kontuaru i zapowiedziała,

że chciałyby zobaczyć się z kimś decyzyjnym.

– Decyzyjnym? – Siedząca za ladą kobieta zmierzyła podejrzliwym wzrokiem jej osobliwy strój i zmarszczyła nos. – Czy pani jest...?

– Z prasy – weszła jej w słowo Zojka. Nie lubiła używać tego argumentu, ale teraz z zaciekawieniem obserwowała, jak twarz recepcjonistki rozjaśnia szeroki, przymilny uśmiech.

– Oczywiście! Sekunda, momencik! Proszę spocząć na kanapie i poczęstować się babeczkami. Szefowa za chwilę panią przyjmie. Właśnie prowadzi bardzo ważne spotkanie, ale zaraz... – Gorączkowała się, łapiąc za słuchawkę stojącego na ladzie telefonu i zwinnym ruchem wciskając kombinację przycisków. – Może kawy? Albo herbaty? Lampkę szampana?

Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w rozsuwanych drzwiach za kontuarem. Zojka wzruszyła ramionami, zrzuciła z siebie burą pelerynę, odwiesiła ją na stojący w pobliżu wieszak i przysiadła na brzegu kanapy. Stopy w kaloszach starała się wcisnąć pod blat szklanego stolika, na którym stała patera pełna muffinek. Każda z nich była pokryta zielonkawym kremem i posypana kolorowymi cukierkami w kształcie serduszek. Na ich widok żołądek Zojki zareagował donośnym burczeniem, więc z lekkim wahaniem sięgnęła po babeczkę. Krem zalatywał ludwikiem, a serduszka okazały się kwaskowate, ale dzielnie spałaszowała ciasteczko do końca i przyjęła z rąk rozszczebiotanej recepcjonistki mikroskopijną filiżankę czarnej kawy. Zojka ze smutkiem spojrzała na malutkie naczynko i westchnęła. Dlaczego za eleganckie uznaje się podanie czegoś o gabarytach dobrze wyrośniętego komara? Ona marzyła o porządnym kubku gorącej kawy z mlekiem, a dostała kropelkę! Właśnie osuszała ją do końca, gdy otworzyły się drzwi po lewej stronie, a w ich progu pojawiły się dwie kobiety w średnim wieku.

Jedna z nich przyjrzała się Zojce z ciekawością, a druga

z nieskrywaną niechęcią. Tuszyńskiej wydała się ona znajoma. Podniosła się z kanapy, dyskretnie ocierając lepkie od babeczki palce w nogawki dżinsów.

– Ta pani jest z prasy... – wtrąciła recepcjonistka.

Szefowa agencji uśmiechnęła się do Zojki zachęcająco i wskazała drzwi gabinetu.

– Zapraszam, zapraszam. A panią zajmę się osobiście, pani Wando! – zapewniła gorąco drugą kobietę, która właśnie sięgała po eleganckie palto z futrzanym kołnierzem, starając się przy tym ani jednym palcem nie dotknąć peleryny Zojki. Jej uszmiłkowane usta wykrzywiły się z niesmakiem, a oczy błysnęły zimno. Dziennikarka pokryła się potem. Uświadomiła sobie, skąd zna tę elegancką kobietę. To ta żoźa prokuratorka! Niewiadomska!

Zojka czmychnęła do gustownie urządzonego pokoiku i zajęła miejsce w wygodnym fotelu. Nie przestawała myśleć o szefowej prokuratury, która dziwnym trafem właśnie opuściła gabinet właścicielki agencji. Co tutaj robiła? Zojka nie wierzyła w przypadki! Za obecnością Wandy Niewiadomskiej musiało się coś kryć. Jaką sprawę prowadziła? Czyżby interesowała się działalnością biura matrymonialnego? Młoda kobieta przywołała mgliste wspomnienie słów Chochołka, który napomknął o podejrzanych zgonach, pospiesznie dodała dwa do dwóch i aż sapnęła z przejęcia.

Podejrzane zgony.

Zagrabione majątki.

Chochołek w komendzie.

Niewiadomska w agencji matrymonialnej.

A do tego wszystkiego zaginiona babunia Łyczakowa!

Na czoło Zojki wystąpiły lodowate kropelki potu. Spojrzała groźnie na podchodzącą do biurka kobietę i wycodziła przez zaciśnięte zęby:

– Gdzie jest babunia, do jasnej cholery?

– To pani nie jest z prasy? – wykrztusiła właścicielka agencji, zajmując fotel za biurkiem.

– Jestem, a jakże! Reprezentuję „Głos Wadowic”. – Zojka kiwnęła głową. – I nie zawaham się go użyć, aby obsmarować was aż po dziesiątą stronę – dodała, przybierając groźną minę i starając się cedzić słowa przez zęby. Wydawało się jej, że w ten sposób brzmi naprawdę bezwzględnie. – Pytam więc jeszcze raz: gdzie jest babunia?

Dobrze powiedziane: wydawało jej się! Siedząca naprzeciwko kobieta nie wyglądała na przestraszoną.

– Jaka babunia, przepraszam? – zapytała stropiona.

– Babunia Łyczakowa. Zofia Łyczak. Siedemdziesiąt dwa lata, siwy warkocz. Mogła przyjść w kowbojskim kapeluszu i z siekierką.

– A to pani się pomyliła. Do psychiatry to po schodkach i na lewo...

– Zapewniam panią, że w niczym się nie pomyliłam. – Zojka poczuła, jak skacze jej ciśnienie. Najwyraźniej ta malutka filiżanka kawy skrywała więcej kofeiny, niż mogło się wydawać, biorąc pod uwagę jej pojemność. – Babunia Łyczakowa jest waszą klientką. Dzwoniła do agencji i umawiała się na spotkanie – improwizowała, bo wcale nie miała pewności, czy staruszka rzeczywiście wykorzystała numer, który zakreśliła długopisem. Znała jednak babunię na tyle, by wiedzieć, że to więcej niż prawdopodobne. Babunia niczego nie robiła bez powodu, nieważne czy rozchodziło się o wdrapanie na dach, wizytę u notariusza czy wycięcie skrawka papieru z gazety. Wszystko miało swój cel. Właśnie dlatego ogłoszenie agencji matrymonialnej tak niepokoiło Zojkę...

– Może zaczniemy od początku – zaproponowała jej rozmówczyni. – Nazywam się Barbara Norkowska, jestem

właścicielką biura matrymonialnego „Do Zakochania Jeden Rok”. Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Zojka Tuszyńska, jestem wnuczką Zofii Łyczak.

– Która jest klientką naszej agencji – dopowiedziała kobieta. Zojka skinęła głową. – Proszę poczekać parę sekund...

Barbara Norkowska przysunęła do siebie stojącego na blacie laptopa, uniosła jego pokrywę i kilka razy zabębniła palcami w klawisze. Zojka wykorzystała ten moment, aby przyjrzeć się jej dyskretnie. Właścicielka agencji miała jasne, kręcone włosy i mocny makijaż, którym dość nieudolnie usiłowała pokryć nie pierwsze oznaki starzenia. Zbliżała się do pięćdziesiątki, ale natapirowana burza loków i gruba warstwa pudru i różu na policzkach sprawiały, że wyglądała starzej.

– Wszystko się zgadza. – Norkowska pokiwała głową. – Pani Łyczak zgłosiła się do nas i została naszą klientką.

– Wiedziałam! Po prostu wiedziałam, że nie bez powodu wycięła to cholerne ogłoszenie! – Młoda kobieta z wrażenia aż trzasnęła dłonią o trzymaną na kolanach listonoszkę. Właścicielka agencji podskoczyła na fotelu. Tuszyńska nachyliła się w jej stronę.

– Potrzebne mi informacje o tym żigolo.

– Ale jakim żigolo, przepraszam?

– No jak to: jakim? Tym, który zbałamucił mi babunię. Pani wie, że ona na noc do domu nie wróciła? Staruszka taka?

Barbara Norkowska machnęła dłonią z lekkim prychnięciem.

– A co to staruszkom nic się już od życia nie należy? – próbowała zażartować.

Zojka puściła to mimo uszu.

– Ona ma siedemdziesiąt dwa lata! – wykrzyknęła oburzona. – Potrzebuje snu! Pani z nią nie mieszka, to nie wie! Ale ona gdy się nie wyśpi, to potem cały dzień chodzi jak na spidzie i rzuca czym popadnie. Pół biedy jak tylko przekleństwami. Raz to

inkasent od prądu chochelką dostał. A na organistę chlusnęła wodą z kiszzonej kapusty. Żeby chociaż trafiła, a prawie wszystko na sień poszło. Pani wie, jak trudno wywietrzyć taki zapach?

– Wyobrażam sobie – mruknęła Norkowska.

– Więc proszę mnie zrozumieć. Przecież ja się o babunię martwię. To nie może być tak, że ona sobie randkuje i do domu na noc nie wraca. Bez uprzedzenia nawet.

– Ja panią rozumiem, ale nie jestem w stanie pani pomóc. Pani babcia jest osobą w wieku ehem, ehem, dojrzałym. Decyduje za siebie i zgłosiła się do nas, aby...

– Ja wiem, po co babunia się do was zgłosiła! – gorączkowała się Zojka. – Czy do pani nie dociera, że ona zaginęła? Za-gi-nę-ła! Może leży gdzieś i skrzeczy swoim starczym, suchym głosem o ratunek, a jakiś zwyrodnialec łaskocze ją po stopach?

Wizja skrzeczącej, a na dodatek łaskotanej babuni najwyraźniej wstrząsnęła Norkowską, ponieważ gwałtownie pobladła i potrząsnęła burzą pudlowatych loków.

– Nie jest powiedziane, że za jej zaginięciem stoi umówione przez nas spotkanie. A ja nie mogę udzielić pani żadnych informacji. Obowiązuje nas tajemnica zawodowa. Zupełnie jak księdza lub lekarza. Bo my jesteśmy takimi lekarzami, rozumie pani, lekarzami od serca. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Pomagamy osamotnionym duszom znaleźć swoją drugą połówkę.

Zojka zamyśliła się na krótką chwilę. Musiał istnieć jakiś sposób, by namierzyć babunię Łyczakową. Nagle twarz młodej kobiety rozjaśnił triumfalny uśmiech.

– Proszę mnie umówić z drugą połówką babuni Łyczakowej!

– Ale jak to?

– Najlepiej od razu, bo moja dusza czuje się bardzo osamotniona.

– To niemożliwe...

– A jednak. Najpewniej przez tę pogodę. W deszczowe dni zawsze jestem jakaś niewyraźna.

– Nie rozumie mnie pani, nie mogę umówić żadnego spotkania, bo nie jest pani naszą klientką.

– W takim razie chcę zostać waszą klientką. Znajdźcie dla mnie drugą połówkę jabłka, pomarańczy, kuli ziemskiej czy co tam jeszcze macie w ofercie. Wy będziecie szukać połówek, a ja babuni. Umowa stoi?

– Nie jestem przekonana... – Właścicielka agencji wyglądała na przestraszona.

– Ale ja jestem. – Zadowolona z siebie Zojka sięgnęła po jeden z leżących na biurku formularzy. – Mogę pożyczyć długopis?

W siedzibie „Kroniki Wadowickiej” przy ulicy Barskiej doszło w godzinach przedpołudniowych do niecodziennego spotkania. Zaskoczeni dziennikarze podnosili głowy znad swoich stanowisk pracy, by przez uchylone drzwi zerknąć na mężczyznę zmierzającego do gabinetu szefa. Wymieniali zaniepokojone spojrzenia, jakimi na ogół wita się inspektora sanepidu czy kontrolę skarbową, przeczuwając nadciągające kłopoty. Tylko niebieskie oczy należące do kobiety siedzącej przy stoliku pod oknem błysnęły nieskrywaną złością. Podejrzewała ona, że pojawienie się zmoczonego deszczem mężczyzny wiąże się nie tylko z kłopotami, ale z prawdziwą katastrofą. Znała nawet jej imię.

Na widok wchodzącego mężczyzny redaktor Marcin Kordecki uniósł się zza biurka i uczynił ręką gest zapraszający do zajęcia stojącego nieopodal fotela. Kiedy gość usiadł już na wskazanym miejscu, dziennikarz zerknął w kierunku szczelnie zamkniętych drzwi i uśmiechnął się krzywo.

– Jest pan sam, aspirancie? Nie szykuje pan dla mnie żadnych... niespodzianek?

– Co pan ma na myśli? – zdziwił się Chochołek.

– Bo kiedy pan zadzwonił i powiedział, że to delikatna i tajna misja, pomyślałem... Nie, nieważne. Z czym pan przychodzi?

Aspirant Paweł Chochołek odetchnął głęboko i przybrał minę, która świadczyła o tym, że wolałby być w każdym innym miejscu na świecie, tylko nie w gabinecie szefa „Kroniki Wadowickiej”, którego ponownie zamierzał poprosić o pomoc. Po spektakularnym zatrzymaniu Klaudii Szczypczyk odezwały się prześmiewcze głosy, jakoby wadowickiej policji w ujęciu morderczyni musiała pomagać lokalna prasa. Choć od dramatycznych wydarzeń upłynęło kilka miesięcy, komendant Adam Bryczka nie przestawał ciosać kołków na głowie biednego aspiranta, wypominając udział „Kroniki Wadowickiej” i inicjatywę Chochołka, w wyniku której Zojka Tuszyńska trafiła do redakcji gazety w charakterze przynęty. Dziwnym trafem pozwolił mu jednak przyjrzeć się tej nowej sprawie, ale już napomykał, żeby podwładny skrupulatnie zgromadził materiał dowodowy. W przeciwnym razie szefowa prokuratury zje go na śniadanie i popije kawą ze śmietanką!

Na myśl o Wandzie Niewiadomskiej aspirant Paweł Chochołek wyraźnie się ożywił. Odchrząknął i spojrzał dziennikarzowi prosto w oczy.

– Nie będę owijał w bawełnę, redaktorze. Potrzebuję pańskiej pomocy.

– Nie przyjmuję do pracy wariatek – zastrzegł szybko Kordecki.

Chochołek machnął ręką lekceważąco.

– Ale to wcale nie o to chodzi. Prowadzę bardzo zagadkowe śledztwo – wyjaśnił. A ponieważ Kordecki przyglądał mu się z niedowierzaniem, dodał poważnym tonem: – Wyjątkowo zagmatwane. Związane ze śmiercią kobiety i mężczyzny w podeszłym wieku.

Kordecki, który na wieść, że nie chodzi o żadne przetasowania

kadrowe w redakcji, wyraźnie odetchnął z ulgą, wykazał uprzejme zainteresowanie. Nadal jednak przyglądał się aspirantowi z powątpiewającym uśmiechem, co policjanta doprowadzało do białej gorączki. Zamachał niecierpliwie rękoma.

– Pewnie, że nie jest to makabryczna zbrodnia, jak było w przypadku Edyty Lizak. To nie Sandomierz, żeby nam w każdy czwartek trup z kapelusza wyskakiwał. Potencjalne ofiary dożyły dość, ehem, zaawansowanego wieku i zdecydowały się opuścić ziemski padół w sposób potencjalnie naturalny – objaśniał, gwałtownie gestykułując.

– W takim razie co z nich za ofiary? – prychnął Kordecki.

Chochołek zmierzwił żółtą strzechę nad czołem.

– No tego właśnie pragnę się dowiedzieć. Z pana pomocą – powiedział.

– Z moją? Chyba nie chce mnie pan wystawiać na przynętę jak pewne osoby?

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło! Potrzebuję pana w nieco innym charakterze. W pierwszej fazie dochodzenia zostało ustalone, że przed śmiercią obie potencjalne ofiary wypłaciły z rachunków bankowych duże kwoty. Wszystko, można rzec. Zniknęły także zgromadzone w domu kosztowności.

Kordecki zmarszczył brwi.

– Rabunek?

Chochołek zawahał się. Zastanawiał się, jak wiele może zdradzić redaktorowi, i doszedł do wniosku, że jeśli chce, by ten mu pomógł, musi powiedzieć wszystko. Z samego rana odwiedził najbliższą sąsiadkę Matyldy Gronkowskiej z domu Poręba i dowiedział się interesujących rzeczy. Tuż przed śmiercią starsza pani się zakochała!

– Nic na to nie wskazuje, ale... – aspirant uniósł palec wskazujący z ważną miną – ...w obydwóch przypadkach

powtarza się pewien schemat. Starsza, samotna, znudzona osoba, wypłata oszczędności i nagłe zainteresowanie sprawami... ehem, ehem, miłosnymi.

– Miłosnymi – powtórzył głucho dziennikarz.

– Tak. Wie pan, czerwone róże, randki, elegancki garnitur, zwiewna sukienka, ślub... – Chochołek coraz mocniej gestykulował.

Purpurowy na twarzy Kordecki wycodził przez zęby:

– Wiem, na czym polegają sprawy miłosne, aspirancie.

– A to bardzo dobrze! – Policjant wyraźnie się ucieszył. Zgromiony spojrzeniem redaktora, czym prędzej wrócił do tematu. – Więc, jak już mówiłem, sprawy miłosne. I to nie takie zwykłe, normalne, ale...

– Nienormalne? – podsunął usłużnie Kordecki.

– Ale z udziałem biura matrymonialnego! – obwieścił triumfująco Chochołek.

– Tego tu, naszego? – zapytał ze zdumieniem Kordecki. Nagle parsknął śmiechem, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Że też ludzie wierzą w te bujdy. Że w takim miejscu znajdą swoją drugą połowę i w ogóle...

Chochołek, który nie tylko wierzył w drugie połowy wszelkiej maści, z drugą połową meczu na czele, ale także z lokalną agencją matrymonialną wiązał bliżej nieokreślone plany, przełknął nerwowo ślinę. Łatwo mówić takiemu Kordeckiemu, który jest chodzącym skrzyżowaniem francuskiego aktora z członkiem meksykańskiego kartelu narkotykowego. A on? Chochołek? Listę swoich podbojów miłosnych mógł zapisać na odwrocie otrzymanego w sklepie paragonu, i to takiego ledwie za bułkę grahamkę i paczkę zapalek!

– No, skoro pan nie wierzy, to nawet lepiej. Zachowa pan obiektywizm – wymruczał.

– Zawsze zachowuję obiektywizm – oświadczył dumnym tonem redaktor. – Ale nie rozumiem, co to ma do rzeczy?

– To, że chciałbym, aby przyjrzał się pan działalności naszej lokalnej agencji matrymonialnej. Co prawda otworzyli się niedawno, ale z tego, co udało mi się ustalić, wcześniej działali w sąsiednim mieście.

– Phi, i to jest ta cała tajna misja? – Kordecki spojrzał na aspiranta z politowaniem. – Zrobiłbym to i bez pańskiej inicjatywy. To nowość w naszym mieście i czuję się zobowiązany jako dziennikarz...

Chochołek przerwał mu bezceremonialnie:

– Nie, nie. Nie zrozumiał mnie pan, redaktorze. Nie chodzi o materiał prasowy. Chcę, by poznał pan działalność agencji od środka. Jako jej klient.

Jeszcze nigdy Zojka nie wracała do domu biegiem. Tego deszczowego piątkowego popołudnia gnała, jakby gonił ją sam wiatr. Powodowana niepokojem o babunię, przeplatającym się z nadzieją, że staruszka siedzi sobie w najlepszej w przytulnej kuchni i grzeje plecy o ciepłe kafle pieca, przebrnęła przez tonący w błocie wąż i wpadła na schodki ganku z głośnym tupotem. Nerwowo nacisnęła klamkę, a przekonawszy się, że domek zamknięty jest na cztery spusty, zakląła siarczyście i bez sił opadła na stojące pod ścianą krzesło.

Ocknęła się dopiero, gdy do jej uszu dotarło uporczywe drapanie. Sięgnęła do torebki, wydobyła klucz i otworzyła drzwi. Burek dobiegł do jej nóg z radosnym piskiem stęsknionego psa, któremu swoją nieobecnością wyrządzono potworną krzywdę. Głaskała więc kudłate futerko, przyjmowała podsuwaną łapę i powtarzała bez końca, że pies jest ostatnią szują i kanalią, która rozbiła cukierniczkę, rozchlapała wodę z wiaderka i wywlekła z kubelka na śmieci pudełko po śmietanie. Burek był zachwycony. Od rana nikt nie poświęcał mu najmniejszej uwagi, bo tego zdrajcy Filipa zaliczyć w poczet

bliskich nie sposób. A przecież kiedy w domu nie ma człowieka, pies się nudzi...

Zojka pozbierała pozostałości cukierniczki, wytarła pochłapaną podłogę i na powrót wyrzuciła do śmieci rozpracowany na sto kawałeczków kubek po śmietanie. Następnie nalała świeżej wody i sypnęła do miski psią chrupką. Dopiero po wykonaniu tych czynności ruszyła na obchód domu, ale poza błotnistymi śladami znaczącymi trasę przejścia kocura między uchylonym oknem a centralną częścią pierzyny na łóżku babuni Łyczakowej, nie znalazła niczego interesującego. Zawróciła do kuchni i sięgnęła po ulubiony kubek z motylkiem. Zapalała właśnie płomień pod palnikiem, gdy rozległo się stukanie.

Na ganku stała zziajana Guzikowa. Na jej widok Zojka odruchowo cofnęła się do sieni, co starsza pani natychmiast wykorzystała, gramoląc się do środka.

– Znalazła się? – wychrypiąta. – Wróciła, znaczy?

– Nie. – Zojka potrząsnęła głową ze smutkiem.

Guzikowa bezceremonialnie wpychała się dalej, zmuszając ją do wycofania się w kierunku kuchni. Zojka poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa pełźnie jej nieprzyjemny dreszczyk. Starsza pani przepchnęła się do stołu, zajęła miejsce na krzeselku z głośnym stęknieniem, a Tuszyńska obserwowała ją zaniepokojona. W oczach sąsiadki było coś dziwnego. Coś, co młodej kobiecie natychmiast skojarzyło się z błyskiem szaleństwa opisywanym w niektórych powieściach.

– Ja sobie to wszystko przemyślałam – wysapała Leokadia Guzik.

– Tak? – zapytała ostrożnie Zojka.

– I my ją musimy odnaleźć!

– My?

– No a kto? Policja może? Na nich to akurat liczyć nie można!

– Ja właśnie... – Zojka, która przy gorącej herbacie planowała

zadzwońić do Chochołka i powiadomić go na okoliczność zaginięcia babuni Łyczakowej, wykonała bliżej nieokreślony ruch ręką.

Guzikowa kiwnęła aprobowująco głową w kierunku stojącego samotnie kubka.

– Masz rację, mnie też zrób.

– Iiiii...

– Inkę, inkę. W moim wieku lepiej nie przesadzać z kofeiną.

– ...

– Co tam mamrocześ?

– Mówię, że wydaje się pani poruszona.

– To chyba normalne. Przecie mam swoje nawyki, a wiele z nich wiąże się z twoją babcią. Poranne zakupy w delikatesach, wizyta na cmentarzu, popołudniowa kawa połączona z obserwowaniem ogródka Michniakowej – wymieniała Guzikowa. – Wiesz, że w tym roku w ogóle nie sadzili ziemniaków?

– To naprawdę wstrząsające – zakpiła Zojka.

Sąsiadka wydawała się nie wyczuwać ironii.

– Właśnie! Ciekawe, co będą jeść!

– Nie wiem, co będą jeść, ale wiem, przez kogo dostaną niestrawności...

– To dziwne, że nie wróciła. – Starsza pani przejęła z rąk Zojki kubek kawy z mlekiem i szybkim ruchem przysunęła sobie postawioną na stole torebkę z cukrem. Zmarszczyła brwi. – Nie macie cukierniczki?

– Mieliśmy. – Młoda kobieta pośląła znaczące spojrzenie w kierunku rozciągniętego na podłodze Burka.

– To naprawdę dziwne – powtórzyła sąsiadka, a Zojka przewróciła oczyma. Nie była pewna, czy chodzi o brak babuni czy gustownego pojemnika na cukier. Staruszka siorbnęła kawę. – Sprawdziłaś studnię?

Zojka, która właśnie unosiła do ust kubek z herbatą, drgnęła

zaskoczona i oblała się gorącym napojem. Dotknęła palcem poparzonej wargi, syknęła i posłała w stronę rozpartej za stołem kobiety karcące spojrzenie. Ta nie dała się zbić z tropu i wzruszyła ramionami.

– No co? Trzeba przecie znać realne wiejskie zagrożenia! Może poszła do lasu i siekierka jej się omsknęła. Może spadła ze skarpy na łeb na szyję do strumienia i leży tam podtopiona, może wpadła do...

Zojka gwałtownie odstawiła kubek. Spojrzała na sąsiadkę ze złością.

– Stop! – zaprotestowała stanowczo. – Skąd te ponure prorocstwa? Przecież sama pani stwierdziła, że mam się nie przejmować, bo na pewno wróci raz-dwa!

– No, mówiłam – przytaknęła sąsiadka. – Ale chyba się ze mną zgodzisz, że sytuacja się zmieniła? Ja bym tę studnię sprawdziła...

– Jak? – W głosie Zojki pojawił się ton desperacji. – Jak mam to zrobić?

– Mnie się pytasz? – sapnęła z oburzenia sąsiadka. – To ty skończyłaś studia! Jesteś dziennikarką, a dziennikarze przecie wszystko wiedzą najlepiej!

Zojka zgrzytnęła zębami.

– Już wiem, dlaczego nie potraficie z babunią bez siebie żyć! – mruknęła cichutko. – Jesteście kropka w kropkę identyczne!

Dwie godziny.

Tyle czasu zajęło Zojce pozbycie się z domku na wzgórzu skorej do pomocy sąsiadki. Wypiwszy kubek słodkiej inki, Guzikowa rozparła się na krześle, splotła spracowane dłonie na brzuchu i zaczęła snuć fantazyjne teorie spiskowe związane z zagadkowym zniknięciem babuni. Każdą potwierdzała poważnym skinieniem głowy, a oniemiała z wrażenia Zojka

pomyślała, że dzięki kwiecistej przemowie staruszki zyskała pełen obraz repertuaru telewizyjnego, z jakim ta obcuje na co dzień.

Tak – deliberowała starsza pani – całkiem możliwe, że Zośka spadła ze skarpy, utopiła się w studni albo w Kleczance, ale równie dobrze mogło to być klasyczne porwanie. A ona doskonale wiedziała, na czyje zlecenie. Według Leokadii Guzik za zniknięciem babuni Łyczakowej musiał stać rząd, ewentualnie mafia paliwowa (sąsiadka wydawała się nie mieć pojęcia, czym jest mafia paliwowa, ale teorię z nią związaną wypowiedziała z nabożnym podziwem), ewentualnie jeszcze uchodźcy. Nie wiadomo którzy, nie wiadomo skąd, ale prawdopodobnie byli za to odpowiedzialni. Ostatnia teoria wskazywała na kartel narkotykowy z Meksyku i według Zojki była związana z pewną telenowelą nadawaną swego czasu na jednym z kanałów Cyfrowego Polsatu...

Co prawda na ironiczne pytanie Zojki, co wspólnego babunia Łyczakowa może mieć z meksykańskimi handlarzami kokainą, sąsiadka nie potrafiła odpowiedzieć, ale za to zainteresowała się, czy porywacze przysłali już list z żądaniem okupu.

– Eee, nie wiem – zawahała się Zojka, która do tej pory opcji porwania babuni i otrzymania listu w ogóle nie brała pod uwagę. Sąsiadka wyglądała na oburzoną.

– Ale jak to: nie wiesz! Przecie to podstawa! Porywacze zawsze przysyłają list, a w nim swoje postumenty.

– Postulaty – odruchowo poprawiła Tuszyńska.

Staruszka nie zwróciła na nią uwagi i kontynuowała, żwawo gestykulując:

– Ewentualnie od razu jakąś część ciała przysyłają, żeby pokazać, że mają poważne zamiary. Palec albo coś...

– Albo coś. – Zojka głośno przełknęła ślinę. – Nic nie znalazłam, naprawdę. I szczerze mówiąc, to mam nadzieję, że mi żadnej części babuni nie prześlą. Po tamtej aferze mam

odciętych kończyn powyżej uszu. Chcę odzyskać babcię w całości i w pełni władz umysłowych. Przynajmniej według jej własnych standardów.

– No, ja też mam nadzieję, że obejdzie się bez ćwiartowania – szybko zaznaczyła sąsiadka, podnosząc się zza stołu.

Zojka pożegnała ją z ulgą. Potrzebowała ciszy i spokoju, by przemyśleć dalsze kroki, a gadulstwo Guzikowej kiepsko wpływało na jej zdolność koncentracji. No i te teorie, narkotyki, benzyna, rząd, opozycja... Wszystko zakrawało na niezłą telenowelę! Młoda kobieta zamknęła za sąsiadką drzwi i wróciła do kuchni. Zamyślane spojrzenie utkwiała w leżącej na stole komórce i przygryzła wargę. Zadzwoić do Chochołka czy wybrać się na komendę? W końcu zdecydowała, że załatwi sprawę osobiście. Jeśli stanie z policjantem oko w oko, będzie mu trudniej ją zbyć i wyśmiać jej obawy związane z nieobecnością starszej pani.

Chwilę później, oparta plecami o ciepły piec, z laptopem na kolanach i Burkiem przyklejonym zadkiem do prawego uda, logowała się do skrzynki mailowej.

– No i proszę! Jest! – zawołała z entuzjazmem, klikając w załączony link. Biuro matrymonialne „Do Zakochania Jeden Rok” przygotowało dla niej ofertę.

Całe życie sądziła, że połówki muszą być dwie, ale wpatrując się w galerię kolorowych fotografii, stwierdziła, że to wcale nie takie pewne. Według przesłanego załącznika Zojka miała co najmniej dziesięć połówek, do wyboru do koloru, a to i tak wyłącznie w asortymencie tej jednej agencji matrymonialnej. Kto wie, ile tych drugich połówek kryje się w świecie?

Z zainteresowaniem pochyliła się nad ekranem komputera. Andrzej. No proszę, imię, można rzec, prezydenckie. Właściciel też niczego sobie. Lat czterdzieści. Z haczykiem. Haczyk także

na nosie, oczy brązowe, ze złotymi refleksami. Andrzej lubi czytać, śpiewa w chórze i uwielbia knedelki swojej mamusi. Zojką wstrząsnął dreszcz. Też lubiła knedelki i książki, i właśnie w książce kiedyś wyczytała, żeby trzymać się z daleka od mężczyzn używających słowa „mamusia”. Andrzej odpada, z refleksami czy bez.

Kamil. Ładne imię, pan troszkę mniej. Najwyraźniej nikt go nie uświadomił, że istnieje coś takiego jak żyłotka, i to w wersji unowocześnionej. Jak tu się umawiać z kimś, przy kim trudno stwierdzić, czy stoi do nas przodem czy tyłem?

Mikołaj. O nie, nie, nie! Mikołaja Zojka tolerowała w wersji świątecznej, i tylko pod warunkiem, że miał co najmniej trzysta lat. Mikołaj niech się buja. Na biegunie.

Krystian. Skóra koloru dobrze uprażonego orzeszka, muskulatura odbita od żeliwnego grzejnika. Liczne zainteresowania, z kolekcjonowaniem opakowań po białku serwatkowym na czele. Zojka kolekcjonowała kiedyś figurki z kinder-niespodzianek, więc prawie była w stanie go zrozumieć. Prawie. Tylko te orzeszki, obawiała się, że występują u chłopaka nie tylko na skórze...

Ryszard wyglądał obiecująco. Mina rektora uczelni wyższej, krótko przystrzyżone ciemne włosy, elegancka błękitna koszula i odpowiedni wiek. Wymagań nie miał wielkich, choć dobrze by było, gdyby przyszła żona rozumiała, jak ważne jest codzienne uczestnictwo w mszy świętej. Bądź co bądź zostanie przybraną matką czworga dzieci, które on samotnie wychowuje po odejściu pierwszej żony. Rany boskie, wrzasnęło coś w głębi Zojki, zmuszając ją do zatrzaśnięcia klapy laptopa. Zaraz jednak uniosła ją z powrotem i wróciła do przeglądania anonsów. Następnie przeanalizowała je jeszcze raz. Który z zaprezentowanych mężczyzn wzbudziłby zainteresowanie babuni?

To oczywiste: żaden!

Każdego pogoniłaby siekierką. Ewentualnie widłami.

To ślepy trop, myślała rozżalona. Ale i tak nie mam innego, więc powęszyc nie zaszkodzi. Babunia skontaktowała się z agencją, a zaraz potem zaginęła. To nie może być przypadek! Zojka odstawiła kubek, sięgnęła po pelerynę i gumowce. Kolejne dwie godziny przetrząsała z latarką okoliczne zarośla, zaglądała do wolnostojących studni i wędrowała brzegiem wezbranego strumienia. Po babuni nie znalazła nawet sztyła od siekierki.

• ROZDZIAŁ PIĄTY •

Sobotni poranek Zojka rozpoczęła od kubka mocnej kawy i newslettera agencji „Do Zakochania Jeden Rok”. Przeglądając kolejne oferty matrymonialne i otwierając coraz szerzej oczy z niedowierzania, zastanawiała się, kto stworzył algorytm, który parował ją z tymi wszystkimi mężczyznami. I dlaczego ten algorytm jest tak złośliwy, że właśnie jej – kobiecie bądź co bądź normalnej – podsyła wyłącznie oferty samców, których w najłagodniejszy sposób można było określić słowem: „osobliwy”.

Zamknęła zdjęcie Fabiana „o kociej sylwetce i sile wikinga”, po czym przesunęła kursor w dół strony. Zniechęcona zamierzała zamknąć zakładkę i zająć się czymś pożytecznym, kiedy jej uwagę przykuł barwny banerek. „Weź udział w naszym wieczorku i umów się na randkę w ciemno. Nie będziesz zawiedziony(-a)”. Zojka poczuła, jak jej serce przyspiesza. To coś dla niej! Jedyna okazja, by spotkać wszystkich klientów agencji w jednym miejscu i porządnie im się przyjrzeć. Randka z kocim Fabianem, religijnym Ryszardem czy Krystianem chowanym na biały serwatkowy byłaby niewielką zapłatą za tę możliwość.

Nie miała czasu do stracenia. Pospiesznie zalogowała się na stronie agencji, wprowadziła dane we wskazanym formularzu

i uiściła opłatę w wysokości 200 zł za bilet wstępu na wieczorek organizowany w jednej z wadowickich restauracji. Jak dowiedziała się z wiadomości zwrotnej, menu przewidywało krem brokułowy z prażonymi migdałami, carpaccio z łososia i tort z bezą malinowo-cytrynową oraz wino białe i czerwone do wyboru. Kawę, herbatę i wodę można było dokupić we własnym zakresie. Co za luksus, sarknęła Zojka, zgrzytając zębami.

Mimo to z niecierpliwością oczekiwała, że system wypluje z siebie kolejną wiadomość i przedstawi jej dobranego na ten wieczór towarzysza. Po dziesięciu minutach musiała się poddać. Najwyraźniej randka w ciemno miała być randką w ciemno, a jedyną wskazówką, jaką Zojka otrzymała, była informacja, że obowiązują stroje wieczorowe. No, skoro to wieczorek, to chyba jasne, że nie poranne, sarknęła ponownie.

Podeksycytowana czekającą ją misją, gwizdnęła na Burka i złapała wiaderko z ziarnem dla kur. Drób był ostatnim hodowlanym zrywem babuni Łyczakowej. Trzymała nioski, pomstując, że sklepowe jajka śmierdzą i smakują jak kupa. Zojka nie wnikała czyja, ale swojskie jajka przyjmowała na talerzu z radością. Ciasto z domowych jaj było żółciutkie i puszyste, a jajecznicą na szynce po prostu przepyszna! A babunia? Cóż, jajka lubiła, ale wnuczka podejrzewała, że największą radość sprawiło starszej pani to, że postawiła na swoim i sprzeciwiła się córkom, które najchętniej widziałyby ją w miękkim fotelu, z robótką i różańcem w ręku.

Zojka nakarmiła kurczaki, obeszała razem z Burkiem mokre od deszczu podwórko, wygłaskała miauczącego Filipa i kolejny raz pomyślała, jak ciche i opuszczone jest gospodarstwo na wzgórzu, kiedy nie ma w nim babuni. Westchnęła żałośnie, spojrzała na kuchenny zegar i sięgnęła po listonoszkę. Najwyższa pora nadać sprawie urzędowy bieg: Zojka nie wierzyła w skuteczność polskiej policji, ale i tak nie było innej alternatywy. Miała nadzieję, że przez wzgląd na znajomość

Chochołek potraktuje sprawę babuni priorytetowo i podejmie odpowiednie kroki.

Ona, Zojka, zamierzała podjąć własne i w tym celu musiała kupić ładną wieczorową sukienkę.

Sukienka była szmaragdowozielona, miała króciutkie rękawki i delikatne marszczenia na biuście. Zojka z miejsca ją pokochała. Cenę trochę mniej: na widok metki wciągnęła powietrze z takim świstem, że przechodzący ulicą terier gwałtownie podniósł łepkę i spojrzał wyczekująco w kierunku wejścia do butik. Ponaglany przez opiekunkę, oznaczył teren i znikł w kolejnej uliczce, a Zojka westchnęła nad zawartością swojego konta i jeszcze raz okręciła się przed lustrem. Trudno. Kupi tę sukienkę. Raz się szuka tropu zaginionej babuni na wieczorku organizowanym przez biuro matrymonialne!

Sprzedawczyni taksowała Zojkę wzrokiem pająka, który właśnie stworzył imponującą pajęczynę i lada chwila omota ją tłuściutką muchę.

– Spuszczę z ceny dziesięć procent. – Kusła z uśmiechem. – Jeśli weźmie pani szal i torebkę do kompletu, to nawet i piętnaście...

Zojka obrzuciła podsuwane dodatki podejrzliwym spojrzeniem i westchnęła głęboko. Podała kobiecie kawałek plastiku z logo banku.

– Proszę spakować i nie mówić mi, ile płacę – wyjęczała. Wróciła do przymierzalni, by zdjąć z siebie elegancką kreację, a potem podsunęła ją zadowolonej z siebie sprzedawczyni. Z gradową miną przyjęła prostą, szarą torebkę z papieru, która kryła jej nowe nabytki, i obiecała sobie, że przez najbliższe tygodnie nie będzie logować się na stronie banku.

Po zakupach pognęła na Lwowską i nieśmiało zapytała o Pawła Chochołka. Aspirant, który tego dnia miał wolne, ale zjawił się w pracy, żeby w spokoju przeanalizować zgromadzony materiał dowodowy, na jej widok najpierw wznosił oczy do nieba, a potem z cierpiętniczą miną wskazał stojące przed biurkiem krzesło. Kiedy już się rozsiadła, zapytał surowym tonem:

– Co pani tu robi?

– Przyszłam w sprawie tego zwyrodnialca... – bąknęła.

Chochołek pokręcił głową zde gustowany.

– Pani Zojko, proszę zostawić Kordeckiego w spokoju. To naprawdę porządny człowiek.

– Śmiem wątpić. Ale ja nie w sprawie tego, tylko tamtego.

– A którego? – Zazgrzytał zębami.

– Tego, co to miał babunię świsnąć – wyjaśniła drżącym głosem. – Chciałam panu dać znać, że chyba mu się udało.

– Co to ma być? – oburzył się Chochołek. – Pani Zojko, to wcale nie jest śmieszne. Co za jaja, za przeproszeniem, sobie pani robi?!

– Sama chciałabym wiedzieć. – Dziewczyna westchnęła. – Babunię wcięło przedwczoraj i od tej pory ani widu, ani słychu. Wszyscy mnie tu uspokajają, że jak poszła, to i przyjdzie. A przecież to jest starsza pani i różne rzeczy mogły się wydarzyć. Guzikowa, sąsiadka znaczy, podtopieniem mnie straszy, ale w to akurat nie uwierzę. Gdyby babunia podtopiła się w okolicy, to Burek na pewno by ją znalazł, a on spokojnie kuper przy piecu grzeje. Obawiam się jednak, że zaszły inne okoliczności... – zawiesiła głos.

– Jakie? – zapytał podejrzliwie Chochołek.

– No nie wiem. Zna pan babunię, rozdarta jest, z siekierką wyskakuje na ludzi. Mogła wyskoczyć raz za dużo i w niewłaściwym kierunku. Zadrzeć z niewłaściwymi osobnikami.

– Jakimi osobnikami? – zainteresował się nagle stróż prawa.

– Nie wiem, z mafii może...? – zasugerowała ostrożnie Zojka.

Chochołek parsknął śmiechem. Szybko jednak spoważniał. Przez chwilę przyglądał się Zojce z namysłem, szarpiąc żółtą grzywkę, a następnie zapytał niewinnym tonem:

– A nie kontaktowała się z nią czasem jakaś agencja?

Zojka drgnęła. A więc jednak! Słusznie podejrzewała, że w tym wszystkim rozchodzi się o agencję! Była na tropie. Ale Chochołek nie musiał o tym wiedzieć.

– Jaka agencja? – odpowiedziała równie niewinnym pytaniem.

– Przypominam, że babunia ma już siedemdziesiąt dwa lata, agencje towarzyskie to nie ten adres...

– Nigdy nic nie wiadomo – mruknął aspirant, a głośno dodał:

– Cóż, uważam, że są przesłanki, by przyjąć oficjalne zawiadomienie. Do cztery osiem jeszcze kilka godzin brakuje, ale postaram się nadać sprawie pilny bieg. Przez wzgląd na drożdżowy, znaczy podeszły wiek pani Zofii.

– Ale jeśli pan ją namierzy, niech w żadnym razie nie wspomina o tym podeszłym wieku. Chyba że czupryna panu niemiła – przestrzegła lojalnie Zojka.

Chochołek skinął głową. Sięgnął do szuflady po jakieś formularze, pstryknął długopisem i spojrzał wyczekująco na Tuszyńską: niech mu wszystko dokładnie opowie, kiedy, co i dlaczego. Zojka odpowiadała na pytania najlepiej, jak umiała, oczywiście sprytnie pomijając wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z agencją i ogłoszeniem wyciętym z gazety. Mimo to aspirant pokręcił głową niezadowolony.

– Niewiele tego – burknął.

– Policja to naprawdę ma wysokie wymagania – prychnęła Zojka. – Nie dość, że sprawę zgłosić i pracy dostarczyć, to jeszcze rozwiązanie podać na talerzu. Udekorowane zieloną pietruszką i plasterkiem cytryny.

– Nie lubię pietruszki. Ani zielonej, ani żadnej innej. – Policjant wpatrywał się w rozłożony na blacie formularz

z ponurą miną. – Niech będzie, zgłoszenie przyjęte, sprawa w toku. Zaraz nadam komunikat i zlecę poszukiwania w terenie. Nie wygląda to wesoło – stwierdził.

– Też tak myślę – przyznała dziewczyna. – A w rodzinie wszyscy bagatelizują, żeby nie powiedzieć dosadniej. Owszem, babunia ma swoje dziwactwa i jest troszkę, hmmm, niesubordynowana, ale coś mi mówi, że za jej zniknięciem kryje się coś poważniejszego.

– I przeszukała pani zabudowania gospodarcze, zagajnik, ogród i...

– Wszystko przeszukałam, łącznie z piwnicą w domu własnych rodziców. Posunęłam się nawet do włamania i przetrząsnęłam stodołę wujostwa. No niech pan nie robi takiej zgorszonej miny. Niby rodzinie powinno się ufać, ale babunia tyle razy im za skórę zaszła, że wolałam sprawdzić, czy nie zatrzasnęli jej w składziku...

– A w domu... – Chochołek potarł nerwowo czoło pod snopkowatą czupryną – ...niczego nie brakuje?

– To znaczy czego? – Zojka posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

– Nie wiem. Miksera, srebrnych łyżeczek albo ulubionych koralu starszej pani?

Zojka stropiła się. Że też nie przyszło jej do głowy, by sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu! To przecież podstawa! Na komodzie w pokoju babuni stała drewniana szkatułka z wyżłobionym napisem: „Zakopane”. Staruszka dostała ją od wnuczek po jednej z klasowych wycieczek na Podhale i z dumą chowała tam swoje skarby. Na co dzień nie nosiła biżuterii, nawet cienka, złota obrączka małżeńska spoczywała w wyściełanym pudełku z ciupagą. Jednak jak to ona – lubiła od czasu do czasu założyć coś ekstrawaganckiego, a wtedy owijała szyję kilkoma sznurami barwnych koralu, wkładała do tego dzinsową koszulę, chustę w kwiecisty wzorek i kapelusz z wywiniętym rondem. Tak wystrojona szła na

zakupy lub na przechadzkę po wsi. Najczęściej wtedy, gdy wiedziała, że po drodze może spotkać córki...

Widząc wahanie Zojki, Chochołek niespokojnie poruszył się na krześle.

– Zagięły kosztowności? – dopytywał.

– Babunia nie posiada cennej biżuterii – mruknęła Zojka. – Pewnie zgromadziła jakieś oszczędności, ale nie mam pojęcia gdzie i ile.

– Na pewno w banku. Można to sprawdzić?

Młoda kobieta spojrzała na policjanta z politowaniem.

– Czy babunia wygląda panu na kogoś, kto ufa bankom? Prędeż zakopała w ogródku albo wsunęła do mysiej dziury, niż oddała na przechowanie hienom. Bankowcy są z końcówką „-cy”, rozumie pan.

– No właśnie nie bardzo – stropił się Chochołek.

– Babunia wyznaje zasadę, że ci, co się na „-cy” kończą, to ci sami, co się na „-cy” zaczynają – wyjaśniła Zojka. – Wyjątek robi dla hydraulika i elektryka, mówi, że to są akurat pożyteczne zawody. A tak to szkoda gadać. – Machnęła ręką i zaraz zaczęła wyliczać na palcach: – Politycy, urzędnicy, bankowcy, rzeźnicy i medycy. Według babuni to wszystko są cygany.

– Policjanci kończą się na „-ci” – ucieszył się Chochołek.

– No, na pana miejscu bym się tak nie cieszyła. Na temat „-ci” babunia ma osobną teorię i gwarantuję, że te cztery litery nie przypadną panu do gustu – parsknęła Zojka.

– Nieważne. – Twarz Chochołka pokryła się buraczkowym rumieńcem, a on sam sięgnął po leżący na biurku notes i zaczął pospiesznie wertować jego strony. Zojka cierpliwie czekała, aż skończy i wróci do tematu zaginięcia babuni, ale policjant wrzucił notes do szuflady, uniósł się zza biurka i wyciągnął w jej kierunku rękę.

– Proszę być dobrej myśli, pani Zojko. Zrobimy, co w naszej

mocy, by odnaleźć babcię Łyczakową. Zamieścimy informację o jej zaginięciu w lokalnych serwisach internetowych i zlecimy prace w terenie. Sprawdzimy raz jeszcze rzekę, zagajnik. Pani wie, że mamy wysyp grzybów? Może zabłądziła w lesie? Może gdzieś leży ze zwichniętą kostką i czeka na pomoc?

Zojka pokiwała głową bez przekonania.

– Widać, że wcale pan babuni nie zna, aspirancie – stwierdziła, po czym głęboko westchnęła. – Pana teoria to się kupy nie trzyma, jak zwykł mawiać nasz wspólny znajomy. Już bardziej mnie przekonuje wizja Guzikowej z mafią paliwową i przemytem kokainy...

– Z czym, przepraszam? – Chocholek zdębiał.

Ale Zojka zniknęła już za drzwiami i potrząsając ze zniechęceniem głową, ruszyła do wyjścia.

• ROZDZIAŁ SZÓSTY •

Tuż przed dwudziestą na parking przed restauracją wjechały dwa samochody. Mężczyźni, którzy z nich wysiedli, z niechęcią spojrzeli w deszczowe niebo i jak na komendę sięgnęli po duże, czarne parasole. Obydwaj mieli na sobie garnitury, sztywno wyprasowane koszule i ciemne krawaty. Obydwaj wyglansowali wyjściowe buty i zaklęli siarczyście, kiedy ich podeszwy zetknęły się z rozciapanym błotem. Parking przed restauracją tonął w półmroku, a mężczyźni zaparkowali w dwóch przeciwległych jego rogach, więc kiedy spotkali się przy niewysokich schodkach prowadzących do lokalu, przystanęli zaskoczeni swoim widokiem.

– Dobry wieczór, aspirancie – przerwał niezręczne milczenie redaktor Marcin Kordecki i uśmiechnął się półgębkiem.

Drugi mężczyzna wyglądał, jakby wraz z kropelkami zimnej, nieprzyjemnej mżawki połknął oślizgłą ropuchę.

– Dobry, dobry – mruknął.

– Pan aspirant pewnie na kolację?

– Właśnie tak.

– No chyba że na wieczorek? – Kordecki uśmiechnął się szerzej.

– Oczywiście, że nie! A pan? – Irytacja Chochołka rosła.

– A skąd! – Dziennikarz zaśmiał się krótko. – Przecież panu

tłumaczyłem, że to nie dla mnie.

Chochołek skinął głową, składając parasol i strzepując z niego nagromadzoną wodę. Po tym, jak zjawił się w siedzibie „Kroniki Wadowickiej” i przedstawił Kordeckiemu swój plan, ten najnormalniej w świecie go wyśmiał. O nie, miał dość pomysłów aspiranta, nie zamierzał wcielać się w rolę klienta biura matrymonialnego i rozgryzać profilu jego działalności od środka. Wystarczy już, że przy ostatniej sprawie ofiarował etat w swojej redakcji jako przykrywkę dla najnieznośniejszej kobiety, jaką zdarzyło mu się poznać. Czy aspirant wie, jak trudno było z nią wytrzymać pod jednym dachem? Nie? To może następnym razem pan aspirant przyodzieje ją w mundur i posadzi przy biurku obok! Ha, ha, ha, właśnie! Może ona zainteresuje się propozycją policjanta, taka awanturnica na pewno będzie zachwycona kolejną barwną przygodą i występowaniem incognito w roli poszukującej miłości! On, Kordecki, jest na to za stary i zbyt poważny. Owszem, napisze reportaż na temat nowości na lokalnym biznesowym rynku, ale zrobi to rzetelnie i na pewno nie będzie bawił się w detektywa od siedmiu boleści.

Przy tak postawionej sprawie Chochołkowi nie pozostało nic innego, jak pożegnać wzburzonego szefa „Kroniki Wadowickiej”, wrócić do domu i jeszcze raz przemyśleć swój plan. Rozsiadł się za kuchennym stołem, przysunął sobie zeszyt w kratkę – ten sam, w którym kilka miesięcy wcześniej sporządzał notatki dotyczące sprawy znalezionej dłoni – i pudełko ciastek w czekoladzie. Przy szóstym ciasteczku podjął męską decyzję i natychmiast poczuł radosne podekscytowanie. Nie potrzebuję Kordeckiego, oświadczył ćwierkającemu w klatce kanarkowi Kleofasowi. – Pańcio nie potsiebuje nikogo, lozumieś, mój ty słodki, kochany, śliczny? Chcieś zialenko, chcieś? Słonecznika czy dyniusię? Maś, dziobaj sobie, dziobaj!

Następnego dnia aspirant Paweł Chochołek oddał do pralni

swój jedyny garnitur, na miejscowym bazarku kupił trzy nowe koszule – w tym jedną w kolorze ognistego oranżu – i umówił się na wizytę w salonie urody, aby wyrównać snopkowatą czuprynę. Na miejscu dał się namówić jeszcze na profesjonalny manikiur, nie skorzystał za to z oferty nowych lamp, które „nadadzą jego różowej skórze apetycznego odcienia mlecznej czekoladki”. Odcień odcieniem, ale nie zamierzał za życia zamykać się w błyskającym na niebiesko sarkofagu i smażyć na skwarki, nawet jeśli nagroda miała przybrać postać karnacji ratownika ze *Słonecznego patrolu!* Tak przygotowany udał się na spotkanie z Barbarą Norkowską i oficjalnie został klientem biura matrymonialnego „Do Zakochania Jeden Rok”. Zamierzał dyskretnie przyrzeć się działalności agencji i ustalić, czy mogła mieć jakikolwiek związek z prowadzoną właśnie sprawą. A jeśli przy okazji kogoś pozna? Chyba nie ma w tym nic zdrożnego?

– Tak, mówił pan, co myśli o takich usługach. – Uśmiechnął się teraz cierpko do Kordeckiego. Redaktor przestępował z nogi na nogę pod czaszą czarnego parasola. Policjant z rozbawieniem zauważył, że Kordecki się rumieni! – A teraz spotykamy się właśnie tutaj, ciekawe...

– Co w tym dziwnego? – Kordecki wzruszył ramionami. – To bardzo popularna restauracja, jest sobotni wieczór, idealna pora na kolację w mieście! Za tym nie musi się kryć nic ciekawego. To naturalne, że spotykamy się w restauracji, w której serwuje się smaczne jedzenie. Prawda?

– Tak, ja również słyszałem, że podają tu bardzo dobre jedzenie – powiedział szybko policjant. – Wchodzi pan, redaktorze?

Kordecki zawahał się nieznacznie.

– Nie, czekam na kogoś. A pan?

– Ja? No ja też czekam właśnie. Ale nie musi pan moknąć, może pan poczekać w środku, deszcz teraz tak zacina.

– Rzeczywiście, pogoda pod psem. Ale wolę zaczekać na

zewnątrz, tak będzie lepiej. Pan jednak może wejść, aspirancie, proszę się nie krępować! Złożył pan parasol, nie chciałbym, by pana zmoczyło...

Chochołek zaniósł się suchym kaszlem i pokręcił głową.

– Nie jestem z cukru. Zaczekam przy wejściu. Deszcz zaraz minie.

– Tak, ja też tak myślę. Więc mówi pan, że porzucił ten pomysł z biurem matrymonialnym.

– Oczywiście. Jestem tutaj... całkowicie prywatnie. Jem kolację, jak już mówiłem.

– Świetnie. I zamówił pan stół, oczywiście.

– Oczywiście. – Chochołek skinął głową.

– Bo jeśli nie, to jest ostatnia chwila, by tego dopilnować. Proszę podejść do hostessy przy wejściu. Potem może być z tym problem. Proszę powołać się na mnie, często tu bywam.

– Wszystko w porządku – zapewnił aspirant, czując, jak pod marynarką robi mu się gorąco. Czy ten cholerny gryzipiórek w końcu sobie pójdzie? Że też musiał przyjechać na kolację właśnie do lokalu, gdzie agencja urządzała wieczorek z randką w ciemno. Chochołek nie mógł się doczekać swojej randki w ciemno, ale nie zamierzał jej witać pod obstrzałem kpiących spojrzeń Kordeckiego. Zgrzytnął zębami.

W tej samej chwili przy wejściu pojawił się elegancko ubrany kelner. Zmierzył badawczym wzrokiem moknących przed schodami mężczyzn i uczynił gest zapraszający do restauracji.

– Panowie na wieczorek? Zapraszam do środka, impreza rozpocznie się lada moment!

Chochołek sapnął. Kordecki odkaszlnął i złożył trzymany nad głową parasol.

– Przyjechaliśmy na kolację. Pan aspirant może wejść, ale ja muszę zacząć na...

– Przykro mi – przerwał mu kelner. – Restauracja została wynajęta na prywatną imprezę. Jeśli panowie nie przyjechali na

wieczorek, będę zmuszony...

Redaktor i aspirant zerknęli na siebie lekko zmieszani. Chochołek poczuł, jak jego twarz nabiera zupełnie nowego odcienia; niestety bliżej mu było do pomidora niż mlecznej czekoladki. Kordecki posłał mu rozbawione spojrzenie.

– To rzeczywiście dziwny traf, że spotykamy się w sobotni wieczór właśnie tutaj, w miejscu, gdzie wieczorek urządza podejrzewana przez pana agencja matrymonialna...

– Hmm... – tylko tyle był w stanie wydusić z siebie Chochołek.

– Jeszcze nam tylko brakuje... – ciągnął kpiącym tonem dziennikarz.

– Niech szlag trafi te buty! – rozległo się zza jego pleców.

Chochołek dostrzegł niewysoką postać w lśniącej zielonej sukience, która poślizgnąwszy się na wilgotnym kamieniu, usiłowała odzyskać równowagę u stóp schodów. Kordecki zaśmiał się drwiąco.

– O wilku mowa.

– O Boże. – Zojka zmierzyła stojących przy wejściu mężczyzn na wpół rozbawionym, na wpół przerażonym wzrokiem. – Dorabiacie sobie, stojąc na bramce? Pana aspiranta to jeszcze rozumiem, ale ty mi za cholerę nie pasujesz. – Posłała Kordeckiemu wymowne spojrzenie.

Redaktor prychnął lekceważąco.

– Co tutaj robisz? – zapytał.

Zojka spłoszyła się.

– Podają tu podobno dobre jedzenie. Przyjechałam sobie na kolację...

– Tak, my też. – Kordecki zerknął na Chochołka, Chochołek na Kordeckiego i obaj zaśmiali się znacząco.

Zojce się ten śmieszek nie spodobał. Uniosła dumnie głowę,

poprawiła na ramieniu szal i weszła na schody. Kelner już zmierzał w jej kierunku; niesione przez niego koperty kłuły po oczach śnieżną bielą. W tej kopercie kryje się moja randka w ciemno, pomyślała podekscytowana dziewczyna, całkowicie zapominając, że umówiła się na spotkanie tylko po to, by przyrzeć się agencji matrymonialnej i natrafić na ślad zaginionej babuni Łyczakowej.

Przyjęła kopertę, podziękowała uprzejmie i nie oglądając się na swoich towarzyszy, ruszyła w kierunku sali restauracyjnej. Za jej plecami rozgorzała gorąca dyskusja: najwyraźniej aspirant i redaktor nadal nie zamierzali przed sobą przyznać, w jakim celu stawili się w sobotni wieczór w najpopularniejszym lokalu w mieście. Zojka rozejrzała się po wnętrzu. Stoliki zostały rozstawione w dyskretnej odległości od siebie, na każdym znajdowały się wyłącznie dwa nakrycia i niewielki flakonik z czerwoną różą. Z pewnością jest prawdziwa, pomyślała ni stąd, ni zowąd, w takich lokalach nie podaje się frytek, nie stosuje dekoracji ze sztucznych kwiatów i świec z Biedronki.

Przy niektórych stolikach siedziały już pojedyncze osoby. Na widok wchodzącej Zojki kobiety spuściły oczy, z kolei mężczyźni wyraźnie się ożywili. Dziewczyna poczuła niepokój. Który to Fabian, a który Krystian? W pomieszczeniu panował półmrok rozpraszany jedynie przez subtelne kinkiety i świece na kontuarze baru, więc nie była w stanie ocenić kolorytu obecnych przedstawicieli płci brzydkiej. Zauważyła za to, że każdy flakonik jest oznaczony numerem, więc pośpiesznie rozerwała podaną przez kelnera kopertę – kredowy papier i czarny atrament plus znaczek z serduszkiem, jakże by inaczej! – i odszukała stolik oznaczony siódemką. Siedem, szczęśliwa liczba, uznawana za magiczną!, ucieszyła się, zajmując krzeselko wyściełane czerwonym welurem. Partnera Zojki jeszcze nie było, więc złożyła dłonie na podołku i utkwiała wzrok

w wejściu. Na widok znajomych poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Chochołek i Kordecki jak na komendę rozdarli swoje koperty i wydobyli kartkę z przyznanym numerkiem. Obydwaj zerknęli w kierunku stolika oznaczonego siódmką.

– Niech to szlag! – powtórzyła Zojka.

Przechodzący obok kelner pochylił się nad nią, sprawnie balansując tacą z lampkami szampana.

– Słucham? – zapytał uprzejmie.

Zojka jedynie pokręciła głową, zdesperowana złapała szampanówkę i jednym haustem opróżniła ją z buzującego bąbelkami trunku. A potem zwróciła się do osłupiałego mężczyzny i zapytała:

– Macie tu wyjście ewakuacyjne?

Redaktor Kordecki podniósł wzrok znad sztywnego kartonika i napotkał spanikowane spojrzenie Zojki. Jej przerażenie wprawiło go w podły nastrój. Pokręcił głową zniesmaczony i po raz kolejny zadał sobie pytanie, po jaką cholere w ogóle się w to bawi. Powinien posłuchać głosu rozsądku i trzymać się pierwotnego planu. Kiedy Chochołek przedstawił mu swój pomysł, natychmiast odmówił. Nie miał zamiaru mieszać się w kolejne niekonwencjonalne śledztwo aspiranta. Gdy tamten wyszedł, zadowolony z siebie Kordecki wrócił do pracy. Ale z każdą kolejną minutą jego myśli błądziły dalej od tworzonego tekstu i przybliżały się do agencji matrymonialnej, której wizytówkę policjant pozostawił na jego biurku. W końcu zaklął siarczyście, złapał nieduży prostokącik i wrzucił go do szuflady, a następnie zatrzasnął ją z hukiem i przekręcił w zamku klucz. Wrócił do pisania, pogwizdując pod nosem i myśląc, że właściwie to mógłby skończyć wcześniej i...

Z niedowierzaniem wpatrywał się w migający kursor i na zdanie, które właśnie napisał.

Do zakochania jeden rok.

No ki diabeł?

Wściekły Kordecki przekręcił klucz, szarpnął szufladę, aż wypadło z niej milion kartek, karteluszków i ulotek, a potem złapał w dwa palce sztywny kartonik i sięgnął po telefon. Owszem, wyszedł z pracy wcześniej, ale do domu dotarł wyjątkowo późno. A tego wieczoru przyodział garnitur i buty cisnące w mały palec lewej stopy, by spotkać się z dobraną dla siebie randką w ciemno.

Na myśl, że mogłaby nią być Zojka Tuszyńska, poczuł zimne dreszcze. Nie, nie, wariatkom mówimy stanowcze nie i trzymamy się od nich z daleka. Kiedyś miał co do niej jakieś złudzenia, ale je stracił. Zojka już dawno udowodniła, że gdzie ona, tam i kłopoty, więc jej udział w wieczorku randkowym zupełnie mu się nie podobał. Podobnie jak pojawienie się Chochołka, który pierwotnie twierdził, że nie, nie może, jak by to wyglądało, a teraz zadowolony z siebie podskakuje niczym kogucik i strzela oczami po sali w poszukiwaniu swojego szczęśliwego numerka.

Kordecki ponownie spuścił wzrok na trzymaną kartkę i odczytał numer. Dwanaście. Nie siedem, dzięki ci Boże za to. Nie zniósłby towarzystwa tej awanturnicy, poza tym wypełniając ankietę zgłaszającą, na pewno zaznaczył, jakiej kobiety poszukuje. A jakiej nie. Nie żeby wiązał z sobotnim spotkaniem jakieś plany, ale strzeżonego i tak dalej. Kątem oka zarejestrował Chochołka, który sprężystym krokiem ruszył w kierunku stołu zajmowanego przez Tuszyńską, i zaśmiał się w duchu. Sam skierował się w stronę stolika w rogu, na którym stał wazonik oznaczony dwunastką, i uśmiechnął się szeroko. Jego wybranka była już na miejscu i właśnie schylała się po coś do leżącej na podłodze torby. Kordecki uśmiechnął się szeroko i skłonił szarmancko.

- Dobry wie... - zaczął, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Kobieta, która na dźwięk głosu redaktora podniosła głowę, była w wieku jego babki! Albo nawet prababki! Wyglądała dziwnie znajomo, ale przegląd wszystkich sąsiadek i znajomych staruszek nie naprowadził go na to, kim też może być. Uśmiechnęła się do niego słodziutko uszminkowanymi na liliowo ustami i potrząsnęła burzą pudlowatych loczków. Redaktor przełknął ślinę i skłonił się ponownie. Zauważył, że z należącej do kobiety torby wystają dwa ostre druty.

– ...czór! – zaskrzeczał.

Kobieta natychmiast podsunęła mu dłoń przyobleczoną w koronkową rękawiczkę, która pachniała różanymi perfumami i czymś jeszcze. Dziennikarski instynkt podpowiadał mu, że to naftalina. Mimo to dzielnie przytknął do niej suche wargi, a następnie bez sił opadł na swoje krzesło.

– Ładnusi jesteś! – zapiszczało z drugiej strony wazonika. – Nie myślałam, że trafi mi się taki ładny towarzysz!

– Tak, dziękuję. – Kordecki, którego ładnusiim ostatni raz określono, gdy miał dwa lata i nosił dyndającą między nogami pieluchę, pokrył się buraczkowym rumieńcem. Zawsze mogło być gorzej, pomyślał, dyskretnie oglądając się w kierunku stolika numer siedem. Przecież mogłem trafić na tę wariatkę! Ale jeśli liczył na to, że jego wzrok napotka chmurną Zojkę i rozczarowanego aspiranta, srodze się zawiódł. Tuszyńska i Chochołek nachyleni ku sobie gorąco o czymś dyskutowali, zaśmiewając się serdecznie.

A może to wszystko ukartowali?

I teraz śmieją się z niego?

Podenerwowany uniósł się zza stołu i mamrocząc pod nosem przeprosiny, wyszedł na korytarz. Kelnerzy roznosili już przystawki, a właścicielka agencji matrymonialnej szykowała się do uroczystej przemowy i otwarcia wieczorku randkowego. Właśnie poprawiała dekolt przy obcisłej czarnej sukience, gdy Kordecki delikatnie złapał ją za łokieć.

– Możemy porozmawiać?
– Ach, pan redaktor! – Jej oczy błysnęły. – Mamy ostatnio dziwne szczęście do prasy!
– Wyobrażam sobie. Chciałbym pomówić o randce.
– Naszej? – przeraziła się właścicielka.
– Nie, nie, skąd. Chodzi o moją dzisiejszą randkę. W ciemno. Wydaje mi się, że zaszła pomyłka – wydukał.
– Naprawdę? Nie wydaje mi się, nasz system jest bardzo skrupulatny.

– Ale mnie umówił ze staruszką! – zawołał z rozpaczą Kordecki.

Norkowska westchnęła.

– Dobrze, zaraz wszystko sprawdzę. Może rzeczywiście zaszła jakaś pomyłka. – Sięgnęła po leżącego na pobliskim stoliku laptopa i szybko zalogowała się do systemu. – Dwanaście? Wszystko wydaje się być w porządku!

– Ale to niemożliwe! – wykrztusił Kordecki. – Jakim sposobem wasz system połączył mnie z tą... damą?

– Hmmm, w oparciu o pana preferencje. Mam tutaj wszystko czarno na białym. Proszę zerknąć.

– Nic nie widzę.

– Tutaj, w tabelce. Podał pan trzy główne cechy i według nich system wytypował dla pana towarzyszkę.

– Co to za cechy? – zapytał Kordecki, który ze zdenerwowania nie potrafił sobie przypomnieć, co też takiego podawał podczas spotkania z Norkowską.

– Pana kandydatka miała być, cytuję: dojrzała, odcytana i nie wariatka. Nie wiem, co panem kierowało, ale system zastosował się do podanych zaleceń. Pani Gryz-Potocka jest w pełni władz umysłowych – dodała szybko, widząc furię w jego oczach.

Kordecki zaklął pod nosem i zawrócił do sali. Po drodze zmierzył nieprzychylnym wzrokiem stolik numer siedem, gdzie właśnie pochłaniano zupę. Przysiadł na krześle przy

przydzielonym stole, wbijając wzrok w sztywny biały obrus. Podniósł łyżkę i zawahał się z nią nad parującym talerzem. Siedząca naprzeciwko staruszka zachichotała zalotnie.

– To co, piękniśiu? Będiesz jadł tę przecieraną papkę dla bezzębnych czy od razu ruszamy w tany?

Łyżka z brzękiem wpadła do naczynia, rozchlapując zielony krem z brokułów, a Kordecki złapał za obleczoną koronką dłoń i oszołomiony pozwolił poprowadzić się na parkiet.

Zojka zerknęła przelotnie w kierunku stolika oznaczonego dwunastką i zakrztusiła się kremem brokułowym. Redaktor Kordecki z miną kogoś, komu w czasie jazdy na rowerze wpadła w zęby wyjątkowo dorodna mucha, wkraczał właśnie na parkiet. Towarzysząca mu leciwa dama puściła w kierunku Tuszyńskiej oczko, kręcąc równocześnie wdzięcznego pirueta. Zojka od razu ją rozpoznała. Była to kobieta, którą spotkała w Urzędzie Miasta, zanim sprowadziła wytatuowanego kolibra Arlety do rangi ofajdanego wróbelka. Dyskretnie uniosła kciuk, pokazując starszej pani, że świetnie radzi sobie na parkiecie. Tego samego nie dało się niestety powiedzieć o Kordeckim. Biedak był sztywny, jakby kij połknął!

Zojka pochyliła się nad talerzem i niezbyt elegancko zarechotała. Kropelki zielonej zupy wylądowały na stylowych lnianych serwetkach. Chochołek podniósł wzrok znad dania, w którym niemrawo grzebał widelcem.

– Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie carpaccio – mruknął. Jego mina mówiła, że ten wieczór według wyobrażeń aspiranta również miał przebiec zupełnie inaczej. – Myślałem, że to coś z kuchni karpackiej!

– Nie znam kuchni karpackiej, ale zupa jest całkiem znośna. Choć kolor mógłby być bardziej apetyczny – stwierdziła, odsuwając naczynie z zielonkawą papką.

– Dobra, skończmy te ceregiele z zupkami-dupkami. Co pani tutaj robi, pani Zojko?

– A pan? Czy to ma coś wspólnego z dochodzeniem? Podejrzewa pan agencję, prawda?

– Ja zapytałem pierwszy.

Zojka westchnęła i oparła się wygodnie o krzesło. Przez chwilę bawiła się lnianą serwetką, składając ją w harmonijkę i rozkładając. W końcu położyła ją na kolanach. Materiał wyglądał teraz, jakby przed momentem wyjęła go z pyska Burka. Młoda kobieta posłała policjantowi przepraszający uśmiezek.

– No to już się lepiej przyznam. Okłamałam pana.

– Żeby to raz – zachnął się stróż prawa. – A w czym konkretnie, przepraszam?

Zojka zawahała się. Jak opisać dziwaczne zachowanie babuni Łyczakowej?

– Babunia interesowała się sprawami matrymonialnymi – oświadczyła w końcu uroczyście.

– Wszyscy się interesujemy. Chyba.

– Tak, ale ona interesowała się sprawami matrymonialnymi w tej konkretnej agencji. Pytał pan o agencję, więc wywnioskowałam... No, nieważne, co wywnioskowałam. Ważne, że babunia zgłosiła się do tych całych od zakochania w jeden rok, została nawet ich klientką, a teraz zniknęła.

– I uważa pani, że to jest powiązane?

– A pan nie? Babunie nie znikają sobie ot tak! – Zojka pstryknęła palcami. – Przynajmniej nasza. Ona nie jest pierwsza naiwna, co ją można wziąć sposobem na wnuczka. Zgłosił się do niej raz taki jeden, że niby kolega i że go Janek przysłał. Tak go przemaglowała, że musiał podać wszystkie oceny od pierwszej klasy szkoły podstawowej i przypomnieć sobie, jaki sweterek nosiła pani z zerówki! Wyszedł mokry jak mysz, a przyszedł tylko po pompkę do roweru!

– Pani Zofia jest niezwykła, to fakt – zgodził się aspirant, wspominając ciasto drożdżowe z kruszonką, szarlotkę z pianką i herbatę pitą w domku na wzgórzu. Z kropelką nalewki z czarnego bzu. Albo pięcioma kropelkami. Na lepszą odporność.

– Niezwykła? – prychnęła obrażona Zojka. – Babunia jest przecholera i inaczej się tego określić nie da.

Zerknęła przelotnie w kierunku Kordeckiego, który właśnie przyklęknął sztywno na jedno kolano i trzymając swoją towarzyszkę za paluszek, obracał ją wokół siebie z wyrazem oszołomienia na twarzy, a następnie poklepała aspiranta ponagłajaco po ręce.

– Pana kolej. Niech pan opowiada!

– Co mam opowiadać? – Policjant udawał, że nie wie, o co chodzi.

– Co pan tutaj robi? A może jest pan na tym wieczoru prywatnie i szuka pan żony? – dopytywała ze znaczącym uśmiechem. Twarz Chochołka pokryła się buraczkowym rumieńcem. Zojka zauważyła, że aspirant ucieka oczami, a jego snopkowata grzywka wyraźnie zwilgotniała.

– Też coś! – oburzył się.

– Kogo panu podesłali? Ja miałam kociego Fabiana i religijnego Ryszarda. A może to był Robert? – Zaśmiała się.

Chochołek westchnął, pokręcił głową z dezaprobatą, ale mimowolnie jego wargi wykrzywiły się w lekkim uśmiechu.

– Ciepłą Grażynkę, bibliotekarkę Klarę i specjalistkę od ciasta piernikowego Moniczkę.

– Mogło być gorzej.

– Zdecydowanie – zgodził się Chochołek. Nagle posłał Zojce przenikliwe spojrzenie. – A skąd pomysł, że podzielę się z panią szczegółami śledztwa i własnymi ustaleniami?

– Och, aspirancie. – Zojka uśmiechnęła się słodko. – Przecież niejedno śledztwo już razem przeżyliśmy.

– Przeżyliśmy dokładnie jedno – uściślił policjant.

– Ale rozczłonkowane, więc liczy się po wielokroć!

– Niech będzie! – Machnął niecierpliwie ręką. – Może mi się pani przyda? – zastanawiał się na głos. – Bo tak naprawdę to ja nic nie wiem. I żadnych dowodów nie mam, a przecież każdy w tym mieście wie, że ja jestem mundurowy. Każdy przy mnie wody w usta nabierze i tyle się dowiem. Pani to co innego. Niepozorna, delikatna, samotna. I z prasy. Przy prasie to ludzie zęby tylko szczerzą, bo się chcą na pierwszą stronę załapać. Myślałem, że mi Kordecki pomoże, ale... – Machnął ręką z rezygnacją, zaraz jednak podjął przerwana tyradę. – Fakty wyglądają tak: zmarły dwie starsze osoby, a przed śmiercią przegwizdały gdzieś oszczędności całego życia. Teraz rodziny nam żyć nie dają i trzeba powęszyć...

– Ale zmarły, bo zmarły, czy... – Zojka przesunęła palcem po gardle z charakterystycznym świśnięciem.

– Zmarły, bo zmarły. Przyszła ich pora. Takie jest to życie, człowiek zaczyna się nim cieszyć, doceniać, może się nawet zakochuje, a tu koniec... – W głosie aspiranta zabrzmiała sentymentalna nuta, a oczy zaszyły delikatną mgłą. Zojka bezceremonialnie uszczypnęła go w grzbiet dłoni. Policjant syknął i spojrzał na nią z wyrzutem. – To bolało!

– Miało boleć. Do rzeczy.

– Jest pani gorsza niż Bryczka!

– Mogę być gorsza nawet od ciągnika siodłowego, ale chcę się dowiedzieć, co pan tutaj robi.

– Więc jak już wspomniałem, znikły oszczędności, kosztowności, w jednym wypadku nawet trzy kury przepadły, ale tu bardziej podejrzewam sąsiadów. I w obydwóch przypadkach ten sam schemat: starsze, samotne osoby i poszukiwanie miłości za pośrednictwem biura matrymonialnego.

– Ale tego naszego? Przecież dopiero co powstało! – zdziwiła

się Zojka.

Aspirant uśmiechnął się pod nosem.

– Owszem, dopiero co powstało. Ale wcześniej działało w sąsiednim mieście. A ktoś, kto korzystał z usług tamtego, mógł zjawić się i tutaj, prawda?

– Tak! – wykrzyknęła podekscytowana. – Żeby poszerzyć zakres poszukiwań potencjalnej ofiary!

– Dokładnie – zgodził się aspirant, krzywiąc się boleśnie. – Ale czy możemy zachować to dla siebie?

Zojka płochliwie rozejrzała się wokoło. Zasapany Kordecki prowadził swoją towarzyszkę w kierunku krzesła. Przy innych stolikach powoli kończono posiłek. Kelnerzy kręcili się po sali, zbierając opróżnione naczynia i roznosząc trunki w kieliszkach na wysokich nóżkach. Zojka poczuła, że zaschło jej w ustach. Na moment zapomniała, po co naprawdę tutaj przyszła. Spojrzała na aspiranta przenikliwie.

– Niech mi pan powie jak na spowiedzi. Uważa pan, że babunia jest w niebezpieczeństwie?

– Nie mam pojęcia. – Stróż prawa bezradnie wzruszył ramionami. – Przypadek pani Zofii nie pasuje do profilu sprawy, którą prowadzę. Do tej pory staruszkowie nie znikali, znikają tylko pieniądze i inne dobra.

– Ale z babunią nie taka prosta sprawa. Mogła być oporna. Mogła przejrzeć nieczne zamiary szubrawca...

– Szubrawców.

– Słucham?

– Okradziono mężczyznę i kobietę. Jeśli rzeczywiście nasze przestępstwo opiera się na uwiedzeniu i wyłudzeniu, musimy zakładać, że sprawców jest co najmniej dwóch i są odmiennej płci.

– Pan to ma łeb! – Tuszyńska spojrzała na aspiranta z uznaniem, a ten odruchowo pociągnął się za grzywkę. – Od początku podejrzewałam, że ta cała agencja jest szemrana i że

się nią interesujecie. A już kiedy spotkałam panią prokurator...

– Zojka znacząco zawiesiła głos.

W Chochołka jakby piorun strzelił.

– Jaka prokurator? Po co prokurator? Gdzie? Tutaj?

– Tak, spotkałam ją w siedzibie agencji, gdy poszłam tam, aby ich postraszyć...

– To niedopuszczalne!

– Zgadza się, ale jak inaczej miałam wyciągnąć informacje na temat babuni? Poza tym i tak mi nic nie powiedzieli, więc co to za zastraszanie, które nie działa?

– Nie o tym mówię! – Chochołek spojrział na Zojkę karcąco. – Ta kobieta znowu mnie prześladowuje! Pała żądzą zemsty! Chodzi za mną krok w krok i czyha na najmniejsze potknięcie. – Nagle uświadomił sobie, że prawdopodobnie Niewiadomska trafiła do biura Norkowskiej przed nim, i pobladł. – Chodzi za mną nawet tam, gdzie ja jeszcze nie zdążyłem pójść. Może założyła mi podsłuch? Albo jakiegoś czipa? – Aspirant poklepał kieszenie marynarki, a następnie zaczął nerwowo obmacywać okolice szyi.

Zojka przyjrzała się mężczyźnie podejrzliwie. Potem równie podejrzliwym wzrokiem zmierzyła rozciapane carpaccio.

– Niech pan już tego nie je, aspirancie, bo ta karpacka kuchnia panu nie służy – zakpiła. – Poza tym nie możemy rzucać się w oczy, prawda? Posłuchajmy, co ciekawego powie nam pani Norkowska. Mam wrażenie, że dotyczy to moich ośmiu drugich połówek! – Wskazała właścicielkę agencji, która właśnie występowała na środek sali z błyszczącym mikrofonem w dłoni.

– Połówki zawsze są dwie, nie zna pani podstawowych reguł matematyki? – Chochołek wydobył z kieszeni marynarki wielką chusteczkę i ocierał nią wilgotną szyję.

Zojka zaśmiała się pod nosem.

– Gdy chodzi o miłość, reguły nie obowiązują. Nawet

matematyczne.

Tego wieczoru Barbara Norkowska jeszcze mocniej natapirowała jasne loki, a warstwa rózu podkreślająca jej policzki była tak gruba i jaskrawa, że Zojka nie potrafiła się zdecydować, kogo bardziej przypomina właścicielka agencji: cyrkowego kłowna czy dobrodusznego świętego Mikołaja. Skłaniała się ku tej pierwszej opcji i wcale nie chodziło o brak worka z prezentami. Bo tych kobiecie akurat nie brakowało, o czym z szerokim uśmiechem powiadomiła zgromadzonych w restauracji gości.

– Miłość, moi państwo! – wykrzyknęła tonem nawiedzonego kaznodziei. – Dzisiaj w darze przynosimy wam miłość! Korzystajcie z niej bez ograniczeń.

– Zapachniało orgią – mruknęła pod nosem Zojka, a Chochołek, który właśnie podziwiał rubinową barwę przyniesionego wina i przymierzał się do pierwszego łyčka, drgnął nerwowo. Wino chlusnęło na jego koszulę, a aspirant zaklął siarczyście. Zojka rzuciła okiem na plamę i wzruszyła ramionami. – Zapnie pan marynarkę i nic nie będzie widać.

Ponownie skupiła się na wystąpieniu oklaskiwanej Norkowskiej. Właścicielka właśnie przedstawiała swoich współpracowników. Na środek wystąpił wysoki, żylasty mężczyzna z wąskim wąsikiem pod nosem. Czarne dżinsy gładko opinały jego pośladki, a biała koszula została niedbale rozpięta na piersi i ukazywała co najmniej trzy ciemne, kręcone włosy.

– Właśnie tak wyobrażałam sobie żigolo próbującego uwieść babunię Łyczakową – mruknęła znów w kierunku policjanta.

Chochołek na wszelki wypadek odstawił kieliszek na stolik i spoglądał na nią karcąco.

– Przy pani to się nawet zrelaksować nie da. O picciu wina już

nawet nie wspominając.

– A pan się tu przybył relaksować, czy śledztwo prowadzić? – oburzyła się Tuszyńska. – Poza tym przyjechał pan samochodem, a jako stróż prawa powinien dawać dobry przykład. W ogóle to – przypomniała sobie nagle i szarpnęła sięgającego po kieliszek aspiranta za rękaw – czy pan wie, że Kordecki prowadzi samochód? Powinien pan sprawdzić, czy legalnie!

– Legalnie! Zdał egzamin za ósmym razem.

– Ale każe mu pan dmuchnąć?

– Nic mu nie każę! – oburzył się Chocholek. Posłał Zojce karcące spojrzenie i potrząsnął głową z dezaprobatą. – Zaczynam rozumieć, dlaczego odpędza się od pani jak od upierdliwej muchy.

– Ciii! – skarciła go Zojka. – Chcę posłuchać, o czym gada ten lowelas!

Obrażony Chocholek sięgnął po kieliszek z winem i bez dalszych ceregieli opróżnił go jednym haustem, a Zojka rzuciła jedno krótkie kontrolne spojrzenie w kierunku stolika numer dwanaście i skupiła uwagę na Norkowskiej i towarzyszącym jej mężczyźnie.

– Witold Rzepka, mój wspólnik i przyjaciel – entuzjasmowała się właścicielka agencji. – Razem prowadzimy biuro matrymonialne „Do Zakochania Jeden Rok” i pomagamy waszym sercom...

– Odnaleźć drugą połówkę – mruknęła Zojka pod nosem.

– ...odnaleźć drugą połówkę – podsumowała Barbara Norkowska z dobrotliwym uśmiechem, dla lepszego efektu krzyżując upierścienione dłonie na wysokości głębokiego dekoltu.

Rzepka odsłonił garnitur lśniących zębów w szerokim uśmiechu i skłonił się teatralnie przed zebranymi. Zojka dyskretnie rozejrzała się po sali i z rozbawieniem przekonała

się, że wiele kobiet wpatruje się w mężczyznę rozanielonym wzrokiem. Skrzyżowanie Zorro z Casanovą. Taki to mógłby zbałamucić kobietę bez najmniejszych problemów, pomyślała. Nie babunię Łyczakową, bo ona natychmiast poznałaby się na tych sztucznie wybielonych zębach i wąsiku przerywanym pęsetką, kazałaby zapiąć niedbale rozchełstaną koszulę i zapytałaby, czy mu się w tych rurkach klejnoty nie zapociły. Ale inne? Zojka sięgnęła do maciupieńkiej torebeczki i wydobyla smartfona, po czym uruchomiła notatnik i zapisała nazwisko współnika Norkowskiej.

Tymczasem Barbara skinęła na stojącą nieco z boku blondynkę i radośnie zaklaskała w dłonie. Zojka natychmiast rozpoznała antypatyczną recepcjonistkę, która na dźwięk słowa „prasa” stała się bardziej służalcza niż angielski kamerdyner. Blondynka została przedstawiona jako Kornelia Wojas, specjalistka od wszystkiego. To Kornelia dba o przyjazną atmosferę w naszym biurze, przynosi nam łakocie z cukierni i parzy najlepszą kawę pod słońcem, zachwalała walory swojej pracownicy Norkowska. Zojka, która przypomniała sobie naparstek, którym została poczęstowana, posłała Kornelii wymowne spojrzenie. To naprawdę musiała być najlepsza kawa pod słońcem, skoro tak na niej oszczędzacie, sarknęła w myślach.

– Wierzymy, że z naszą pomocą odnajdziecie miłość! – piała Norkowska, a Witold i Kornelia potakiwali jej z szerokimi uśmiechami przyklejonymi do ust, jakby ich głowy zostały uwiązane na jednym sznurku. – Będziemy was w tym wspierać! Dzisiejsza kolacja jest pierwszą z całego cyklu imprez, na których możecie spotkać swoją...

– Drugą połówkę! – prychnęła Zojka.

– ...drugą połówkę – perorowała rozpromieniona Barbara.

Zojka pomyślała, że jeszcze raz usłyszy słowo „połówka”, a pójdzie do monopolowego na rogu i kupi sobie coś

mocniejszego. I na pewno nie będzie to połówka!

– Parafrazując słynną powieść: jedzcie, pijcie i kochajcie się! – wykrzyknęła właścicielka agencji, wyrzucając w górę ramiona.

Zojka przewróciła oczyma.

– Słowo daję: orgia! Szkoda, że nie ma tu babuni, miałyby niezły ubaw – mruknęła, kręcąc głową. Nagle na ramieniu poczuła mocny uścisk. Przestraszona obejrzała się za siebie i napotkała wściekłe spojrzenie Kordeckiego. Jego mina nie wróżyła niczego dobrego, więc zerknęła na aspiranta, szukając u niego pomocy, ale wyraźnie spięty Chochołek rozglądał się po sali i ani myślał poświęcić uwagi swej towarzyszce. A Kordecki przybliżył usta do jej ucha i wysyczał:

– Dość tej zabawy, chcę wiedzieć, o co tu chodzi, do cholery!

• ROZDZIAŁ SIÓDMY •

Zojka zagwizdała na Burka i wczepiając się palcami w obślizgłe zarośla, zaczęła iść w dół zbocza. Ścieżkę pokrywały opadłe liście, część z nich przyjemnie szeleściła pod butami, inne były wilgotne i wydzielały charakterystyczny zapaszek. Aromat jesieni, pomyślała dziewczyna i w tej samej chwili jej stopa obuta w sportowego adidasa straciła oparcie. Resztę drogi Zojka pokonała na czterech literach i kiedy w końcu się zatrzymała, przeklinała na czym świat stoi. Tajemnicze zniknięcie babuni, pomysł pokonania skarpy na skróty, kalosze pozostawione na zabłoconych schodkach ganku, stłuczoną pupę, podrapane plecy i radośnie merdającego ogonem psa, który pokonał zbocze tylko sobie znanym sposobem i teraz szczerzył nad nią obślinione zębiska przekonany, że to świetna zabawa.

Ale najbardziej soczyste przekleństwa panna Tuszyńska zarezerwowała dla mężczyzny, który poprzedniego wieczoru zjawił się przy stoliku w restauracji i stanowczym tonem zażądał od niej wyjaśnień. Mężczyzny, z którym – choć miała ogromną chęć posłać go do stu diabłów – wyszła na korytarz i z którym podzieliła się sensacjami związanymi z zaginięciem babuni Łyczakowej. I przed którym – gdy inne pary ruszyły w tany przy energetycznych dźwiękach *Despacito* – wyplakała

swoje obawy związane z nieobecnością staruszki.

Kordecki spojrzał na nią wstrząśnięty.

– Zaginęła i dopiero teraz mi to mówisz?

– Właściwie mogłam powiedzieć ci wcześniej. Na przykład gdy próbowałeś mnie rozjechać na przystanku. Albo później, gdy wgapiałeś się z głupawym uśmiechem w moje kalosze – ironizowała, chlipiąc w chusteczkę higieniczną.

– Za to ty trwonilaś energię na walenie torebką w maskę mojego samochodu! – oburzył się. Nagle spojrzał na nią podejrzliwie. – Janek nic nie wspomniał, że wasza babcia zaginęła.

– Bo wszyscy mają to tam, gdzie słońce nie zagląda! – ryczała.

A potem opowiedziała mu wszystko. O reakcji najbliższych, teoriach Guzikowej. I wycinku z gazety, jedynym śladzie, nikłym bo nikłym, ale prowadzącym właśnie do agencji, którą na oku miał nie tylko Chochołek, ale nawet prokuratorka. Kordecki westchnął, potem zaklął, następnie podarował Zojce własną chusteczkę, którą ta natychmiast obsmarkała, a na koniec zaoferował, że spotka się z nią nazajutrz, by pomóc w poszukiwaniach. Na sugestię, że tym zajmuje się policja, zaśmiał się i oświadczył, że widział już ludzi Chochołka przy pracy i nie mógł uznać tego za budujący widok. Byli w lesie i wcale nie chodziło mu o lokalizację. Poza tym czy ona, Zojka, zamierza siedzieć na czterech literach i popijać herbatkę z cytryną, gdy staruszka...?

Zojka oczywiście nie zamierzała. Wstała bladym świtem, wypita gorącą kawę, spojrzała z niechęcią na oblepione grudkami błota gumowce i wygrzebała z szafki na obuwie znoszone adidas. A potem wyruszyła na spotkanie z Kordeckim.

Zasapana przedarła się przez kłujące zarośla i weszła na ścieżkę prowadzącą w kierunku lasu. Po drodze minęła studnię z drewnianą budką, więc na wszelki wypadek ostrożnie

przechyliła się nad kamienną cembrowiną i cichutko zawołała babunię. Naturalnie zdawała sobie sprawę, że gdyby starsza pani wpadła do studni, wołanie jej miałyby się z celem. Po prostu nie potrafiła się powstrzymać. Tęskniła za babunią jak cholera!

Zachwycony poranną przechadzką Burek obwąchiwał każdy krzaczek i kamień pojawiający się przy drodze, ale widząc czerwony samochód zaparkowany pod lasem, szczerzył wesoło i puścił się truchtem w stronę krążącego wokół niego mężczyzny. Kiedy Zojka doczłapała na miejsce, trwały radosne powitania, a kurtkę i spodnie redaktora Kordeckiego znaczyły charakterystyczne błotniste ślady.

Mężczyzna opędzał się od psa, który za punkt honoru powziął dotknięcie językiem jego nosa. W końcu uradowany nadejściem opiekunki Burek zapomniał o swojej ofierze, a redaktor z nieco skwaszoną miną zajął się czyszczeniem garderoby. Niezłe początki, prychnęła w duchu Zojka. Gdy Kordecki łypnął na nią groźnie, wyjęła z kieszeni jego własną chusteczkę. Po powrocie do domu wyprała ją, wysuszyła na piecu i wyprasowała, a teraz podała mu i mruknęła:

– No już się tak nie oburzaj, to tylko błoto!

Kordecki spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie przeszkadzają mi psie łapy! – wycedził, pocierając błotniste ślady.

– A co?

– Spóźniłaś się pół godziny!

Zojka była przekonana, że zjawiała się za wcześnie, ale nie chciała się kłócić. Zagryzła zęby i ruszyła w kierunku lasu. Kordecki zwinął zabrudzoną chusteczkę w kulkę, cisnął ją na przednie siedzenie i trzasnął drzwiczkami samochodu z takim impetem, że z pobliskich zarośli do lotu poderwał się spłoszony bażant. Burek natychmiast to wykorzystał i rzucił się w pogoń za ptakiem, a Zojka pokręciła głową zniesmaczona.

- W lesie trzeba zachować ciszę!
- Trudno zachować ciszę, gdy ktoś podnosi nam ciśnienie! – odburknął Kordecki.
- Że niby ja tobie?
- Nie no, skądże...
- Wyciągnąłeś mnie do lasu, żeby się kłócić?
- Wyciągnąłem cię do lasu, żeby pokazać miejsca, w których twoja babcia zbiera grzyby. Ale może wykorzystam okazję i skrucę ci kark. Już raz mnie wzięłaś za mordercę, co mi szkodzi?

Zojka zatrzymała się w pół kroku.

- Skąd ty niby wiesz, gdzie babunia zbiera grzyby?!
- Pokazała mi...
- Gó...zik prawda. Nikomu nie pokazała. – Nawet ulubionej wnuczce, dopowiedziała w duchu, zgrzytając z irytacji zębami.
- A właśnie, że pokazała! Mnie! – Kordecki zauważył, jakie wrażenie jego słowa uczyniły na Zojce, i zaśmiał się triumfalnie. Chociaż raz mógł jej utrzyć nosa!

- Ale dlaczego?

Zojka kręciła głową z niedowierzaniem, nie mogąc uwierzyć, że babunia Łyczakowa podzieliła się swoimi sekretami z obcym – bądź co bądź – człowiekiem. Faktycznie, Kordecki jest przyjacielem Janka i można powiedzieć – jej byłym szefem, ale to niczego nie tłumaczyło! Starsza pani skrzętnie strzegła tajemnicy związanej z miejscami, w które chodziła na grzybobranie. A trzeba przyznać, że musiały to być wyjątkowe zakamarki lasu, bo z tych wypraw babunia zawsze wracała z koszykiem pełnym dorodnych prawdziwków i z szerokim, triumfalnym uśmiechem na ustach. Jakby tego było mało, w charakterystyczny dla siebie sposób kpiła z innych członków rodziny, gdy prezentowali swoje mizerne łupy. Doszło do tego, że upokorzony ojciec – babunia nazwała znalezionej przez niego kozaczka pyrtkiem dla krasnala – posunął się do

śledzenia starszej pani. Ale nie z babunią Łyczakową takie numery! Raz-dwa spostrzegła, że jest obserwowana, i nic nie dając po sobie poznać, wyprowadziła biednego ojca aż pod Jaroszowicką Górę. Wrócił przemoczony do suchej nitki, czerwony ze złości i zasapany, pomstując na charakter i energię co poniektórych starych bab. Od tej pory żaden las nie był w stanie pomieścić Kazia Tuszyńskiego i babuni Łyczakowej!

Babunia uwielbiała spacerować wśród drzew i zbierać dary lasu. Najpierw jagody, maliny, ostrężnice, które potem przerabiała na sok i nalewkę, a jesienią grzyby i orzechy laskowe. Gdy starsza pani zniknęła, Zojka natychmiast pomyślała, by szukać tam, gdzie babunia chadzała na grzybobranie. Problem w tym, że nikt nie wiedział, gdzie znajduje się to miejsce. No, prawie nikt...

Zojka obrzuciła Kordeckiego wściekłym spojrzeniem.

– Dlaczego właśnie tobie to pokazała? – dopytywała.

– Nie mam pojęcia. – Redaktor uśmiechnął się półgębkiem. A kiedy zdenerwowana Zojka prychnęła na niego jak rozzłoszczona kotka i ruszyła przodem, demonstrując swoje niezadowolenie, pokręcił głową. Tak naprawdę wiedział, ale nie zamierzał dzielić się tym z panną Tuszyńską, co to to nie! Jeszcze mu życie miłe!

Przywołał w pamięci mgliste wspomnienie spotkania ze staruszką. Babunia Łyczakowa z wielkim wiklinowym koszem przydybała go na leśnej polanie, a widząc mizerne efekty jego zbieractwa, zachichotała pod nosem i zaproponowała wspólne grzybobranie. Przystał na to ochoczo, choć nie wiedział, czym zasłużył na takie wyróżnienie. Uświadomiła mu to sama starowinka, uśmiechając się szelmowsko i napomykając, że dobrze by było, gdyby ktoś z rodziny przejął po niej tradycję zbierania najlepszych prawdziwków. Na jego rozbawioną minę i uwagę, że przecież nie są rodziną, babunia zachichotała i zaznaczyła, że jeszcze nie.

Jak się okazuje, jego wiedza może się na coś przydać. Pokaże Zojce, gdzie w deszczowe poranki babunia Łyczakowa poluje na lśniące kapelusze grzybowych królów. Ale nie powie jej, w jakich okolicznościach zdobył tę wiedzę. To i tak irracjonalne.

No i życie mu miłe!

Ale jednego nie mógł sobie odmówić...

– Niezła pupa! – rzucił za nią i z rozbawieniem obserwował, jak wściekła obskubuje z grudek błota siedzenie granatowych dżinsów.

Słońce leniwie przesączało się pomiędzy pniami modrzewi, padając na poszycie ze zbrązowiałych igieł poprzetykane nielicznymi kępkami zielonej trawy. Zojka schyliła się odruchowo i zerwała borowika z imponującym kapeluszem. Ostatnie tygodnie były wyjątkowo łaskawe dla grzybiarzy, a urodzaj nie ominął także lasów wokół Kleczy, Barwałdu i Lipówki, więc nierzadko wychodzili oni spomiędzy drzew z koszami pełnymi dorodnych prawdziwków. Również na wadowickim placu targowym, wśród doniczek z wrzosami i dyni we wszelakich odmianach, pojawiły się leśne skarby. No dobra, pomyślała Zojka, obracając w dłoniach znalezionego borowika, grzyby są, ale co z babunią?

Obeszli już wszystkie miejsca, w których staruszka lubiła zbierać grzyby. Po pokonaniu głębokiego parowu, którego dnem przepływał szemrzący strumyk, zasapana Tuszyńska musiała przyznać, że babunia ma krzepę. Zmęczona przywarła plecami do szorstkiego pnia buka i wolno zjechała w dół, klapiąc tyłkiem o szeleszczące liśćmi poszycie. Natychmiast poczuła nieprzyjemną wilgoć, ale po szaleńczej jeździe ze skarpy i uwagach Kordeckiego było jej już wszystko jedno, jak wyglądają tylne partie jej ciała.

Rzeczony Kordecki przykucnął tuż obok i niezdarnie klepnął

ją po ramieniu.

– Przykro mi, że się nie znalazła.

Zojka pokręciła głową zniechęcona.

– Cholera, naprawdę liczyłam, że gdzieś tu leży, wyklinając na zwichniętą kostkę...

– Co teraz?

– Nie mam pojęcia. Chyba trzeba skupić się na agencji. Zaczęło się od tego cholernego ogłoszenia. Albo nie... Najpierw to powiedziała, że jej się nudzi. Potrzebowała wrażeń.

– Dlaczego tak zainteresowało ją to ogłoszenie? – dopytywał redaktor.

Zojka poczuła, że jej twarz pokrywa rumieniec. Przecież nie mogła powiedzieć Kordeckiemu, że znudzona babunia doszła do wniosku, iż mogłaby skorzystać z usług agencji matrymonialnej, by znaleźć męża dla wnuczki. Jeszcze, nie daj Boże, powieli opinię staruszki i pomyśli sobie, że ona, Zojka, jest niezdolna, by zająć się tym na własną rękę!

– Babunia zainteresowała się działalnością agencji matrymonialnej – powiedziała więc tylko, a widząc jego pełną niedowierzania minę, dodała szybko: – A ponieważ aspirant nastraszył mnie wcześniej jakimiś zgonami, oszustami i kradzieżami, to wolałam się sama przyjrzeć tej całej Norkowskiej.

– Ale to się kupy nie trzyma! – wykrzyknął Kordecki, kręcąc głową. – I co niby miało się stać z twoją babcią? Myślisz, że trzymają ją w piwnicy i torturują, by wyznała, za którym świętym obrazkiem ukryła ostatnią rentę?

Zojka spojrzała na niego z takim przerażeniem w oczach, że pospiesznie zamachał rękoma i zaczął zapewniać, że tylko żartuje. Zaraz jednak popatrzył na nią groźnie i zapytał, czy udział w wieczorku randkowym, na dodatek z Chochołkiem u boku, to część jakiegoś większego planu, który kolejny raz sprowadzi jej na głowę kłopoty. Lub mordercę.

– Bo wy – podkreślił zamaszystym ruchem ręki duet Tuszyńskiej i policjanta – to się lubujecie w jakichś dziwnych inscenizacjach, podchodach i tajemniczych akcjach. A ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Raz się dałem namówić i nic dobrego z tego nie wynikło...

Zojka spojrzała na niego jak na wariata.

– Po pierwsze: wcale nie wiedziałam, że aspirant też tam będzie, moja akcja została zaplanowana indywidualnie! – wyjaśniła z dumą. – A po drugie: przecież nikt cię nie prosi, żebyś się mieszał!

– I bardzo dobrze, bo...

– I wcale mnie nie interesuje, co robisz na wieczorku randkowym i z jakimi kobietami zamierzasz się umawiać. Chciałabym tylko zauważyć, że to nie stawia cię w najlepszym świetle – powiedziała ze słodkim uśmiechem.

Kordecki spojrzał na nią osłupiały.

– Co masz na myśli, do cholery?

– Nic. – Potrząsnęła głową z niewinną miną. – Ale według teorii aspiranta sprawca uwodzi starsze panie i ograbia je z majątków. Przypominam, że raz udało ci się uciec przed podejrzeniami, tym razem możesz nie mieć tyle szczęścia i ktoś może cię uznać za winnego oszustwa. Albo nawet morderstwa.

– Morderstwa! – Kordecki poderwał się na nogi i zaczął krążyć wokół Zoiki jak rozjuszony byk. – Oczywiście, dlaczego nie? Morderstwo brzmi świetnie! Mam nawet upatrzoną jedną ofiarę, ale wyobraź sobie, że staruszki nie zgadzają się z moim modus operandi.

– Chyba murder operandi – prychnęła w odpowiedzi. A widząc, że Kordecki gwałtownie odwraca się do niej plecami i rusza w tylko sobie znanym kierunku, cmoknęła z dezaprobatą. – Strasznie nerwowy jesteś. Za dużo kawy?

Zaraz jednak zaniepokoiła się nie na żarty i pożałowała, że wdała się z redaktorem w słowną utarczkę. Chciała mu dopiec,

bo ubodło ją, że właśnie jemu babunia wyjawiała, gdzie chadza na grzybobranie, a jej nie zająknęła się na ten temat ani słóweczkiem. Choć nieraz próbowała ją podejść i wejść w posiadanie tajemnej wiedzy staruszki! Teraz Kordecki zniknął między drzewami, a ona nie ma pojęcia, w którą stronę się ruszyć! A żeby tego było mało, ten zdrajca Burek lata gdzieś między drzewami, płosząc bażanty, i nawet nie pomyśli, że ona tu została z duszą na ramieniu i świadomością, że w okolicy widziano dziki!

O rany, a jeśli pies spotka dzika?

A jeśli dzik spotkał babunię?

Podenerwowana Zojka skoczyła na równe nogi i biegiem rzuciła się za Kordeckim. Przy każdym ruchu wilgotny materiał spodni nieprzyjemnie ocierał się o jej skórę, ale machnęła na to ręką. Niespokojnie rozglądała się na boki, z przerażeniem uświadamiając sobie, że redaktor znikł już między drzewami, a ona może chodzić w kółko nawet tydzień i nie znaleźć drogi do domu. Nigdy nie miała zbyt dobrej orientacji w terenie, choć wychowała się na zabawach w lesie i nad rzeką, a do tego była typową powsinogą. Ciekawe, po jakim czasie rodzina zorientuje się, że jej nie ma? I czy w ogóle jakoś zareaguje, czy podobnie jak w przypadku babuni machnie ręką i powie: „Zojka? Polazła, to i wróci”? Czy kiedy ukażą się pierwsze komunikaty o jej zaginięciu, Kordecki naprowadzi ich na miejsce, gdzie w tak perfidny sposób ją porzucił? Czy w lesie znajdą jej bielejące kości? Czy dziki w ogóle zostawiają kości, czy...

– No idziesz czy nie? – zagniewany głos dziennikarza wyrwał ją z ponurych rozważań.

Z ulgą zauważyła, że czeka na nią na pobliskiej drodze. Obok niego leżał zziajany pies.

– Myślałam, że sobie poszedłeś – mruknęła oskarżycielsko.

– Nie zabrałaś telefonu.

– I dlatego po mnie wróciłeś? – Spojrzała na niego z kpina. –

O ty, wspaniałomyślny...

– Nie o to chodzi. – Uśmiechnął się pod nosem, cokolwiek złośliwie. – Dzwonił Janek. Rodzina cię szuka.

– Och! – Otworzyła szeroko oczy. – O co chodzi?

– W internecie ukazał się materiał o zaginięciu babuni Łyczakowej.

– No w końcu! – Zojka poczuła ulgę. Z tego wszystkiego odechciało jej się kłócić z Kordeckim. Może nawet wybaczy mu, że poznał sekretne grzybowe miejsca babuni! Z szerokim uśmiechem spojrzała na idącego obok mężczyznę. – Nareszcie poszli po rozum do głowy. Teraz wszystko będzie już dobrze, pomogą mi w poszukiwaniach i raz-dwa...

Kordecki parsknął śmiechem i pokręcił głową nad jej naiwnością.

– Nie liczyłbym na to. Na razie planują spalić cię na stosie.

W domku na wzgórzu odbyła się burzliwa narada wojenna. Funkcję dowódców przejęli rodzice, podżegaczami konfliktu było wujostwo, natomiast Zojce, która po powrocie z lasu zdążyła tylko zmienić przemoczone ubranie na ciepły dres, przypadła funkcja jeńca. Bez prawa do łaski, pomyślała z przekąsem. Dobrze, że nie widziała miny, jaką na widok mokrych, zabrudzonych i pokrytych liśćmi tylnych partii jej ciała zrobiła matka. I morderczego spojrzenia, którym redaktora Kordeckiego w tej samej chwili obrzucił ojciec.

Ledwie wróciła do kuchni i sięgnęła po czajnik, by zagotować wodę na gorącą herbatę, usłyszała:

– No jak ty mogłaś? Co sobie wyobrażałaś?

Trzymając wciąż pusty czajnik, odwróciła się powoli i obrzuciła zgromadzonych pełnym niedowierzania spojrzeniem. Rodzina zajęła cztery krzesła za stołem, przyjmując zwarty front. Front składający się z pałających oburzeniem twarzy,

skrzywionych ust i gniewnych spojrzeń. Dla rozbawionego Kordeckiego przy stole zabrakło już miejsca, oparł się więc plecami o parapet okna i udawał, że podziwia własne paznokcie. Obok jego stóp przysiadł oburzony Filip, którego kilka minut wcześniej ciotka Halina zrzuciła ze stołka ze słowami, że dom to nie miejsce dla kota. Zojka z trudem powstrzymała się przed okazaniem, co sądzi o tak niesprawiedliwym traktowaniu ulubieńca. Teraz odstawiła czajnik na zimną płytę pieca i podparła się wojowniczo pod boki. Kordecki uniósł brwi ze znaczącym uśmiechem. Idź do diabła, pomyślała.

– Co to znaczy: jak mogłaś? – zapytała.

– Dlaczego nie dałaś nam znać, co zamierzasz? – irytował się wuj.

Zojce z wrażenia opadła szczeka.

– Przecież wydzwaniałam do was już od czwartku, że babunię wciągnę! – przypomniała.

– Ale do internetu? Na policję? Pewnie jeszcze w gazecie napiszesz? Taki wstyd! – jęczała ciotka.

– Więc to tak? – Zojka z emocji dostała rumieńców i nawet tupnęła nogą. Stopa była wsunięta w puchatego papucia, który przy mocniejszych stąpaniach wydawał z siebie dziwny, pierdzący odgłos. Kordecki zaśmiał się bezgłośnie, co jeszcze mocniej wzburzyło dziewczynę. Wycelowowała oskarżycielsko palcem w zgromadzonych za stołem krewniaków. – To dla was ważniejsze jest to, że wstyd, a zaginięcie babuni macie w...

– Wyrażaj się! – Ojciec podniósł ostrzegawczo dłoń.

– No ja mam nadzieję, że się wyrażam dosadnie. W dupie macie! – wycedziła z satysfakcją Zojka, obserwując, jak twarz matki czerwienieje, a ciotki blednie. – I tyle w temacie!

– Jak ci nie wstyd...

– To wam powinno być wstyd! – orzekła. – My tu z panem redaktorem po lasach latamy, Chochołek akcje matry...

poszukiwawcze organizuje, babunia może kona w męczarniach straszliwych, bo szubrawcowi nie chce wyjawic, gdzie ukryła resztki mizernej renciny, zwierzęta z tęsknoty głodują... – Rzuciła okiem w kierunku miski, gdzie Burek z głośnym mlaskaniem nadrabiał stracone w lesie kalorie. – ...no, prawie głodują, bo coś jeść przecież muszą, prawda? A wy co? Z pretensjami dziwacznymi wyskakujecie? Jak to sobie wyobrażacie niby? Że będę siedziała na tyłku i czekała, aż ktoś zadzwoni, że babunię ze Skawy wyłowili?

Matka nakreśliła na piersi znak krzyża.

– Babunia ma... – zaczęła.

Zojka przerwała jej bezceremonialnie.

– Tak, wiem. Ma swoje dziwactwa. A jednym z nich jest notoryczne oskarżanie was o polowanie na ziemię i majątek. Rozumiem, że nieraz zalazła wam za skórę, ale czy naprawdę nic dla was nie znaczy? Czy nie widzicie, że potrzebuje pomocy?

– Widzimy. – Ojciec skinął głową. – Właśnie dlatego tutaj się wprowadziłaś. Miałaś jej pilnować.

Zojka przewróciła oczami. Teraz znowu zaczną wałkować temat, jak to ona nie potrafi upilnować staruszki. Kiedy ostatnio słyszała ten tekst? Czy to było wtedy, gdy babunia Łyczakowa podbiła oko sąsiadce twierdzącej, że wnuczka jest wariatką i morderczynią? A może później, gdy podstawiła na cmentarzu nogę Michniakowej, ponieważ ta ośmieliła się powiedzieć, że powinna dziadkowi Łyczakowi postawić porządny pomnik z granitu, a nie takie byle co? A może w ten dzień, gdy starowina zamknęła w chlewiku świadków Jehowy? Tak, najprawdopodobniej to było wtedy...

Wspomnienie pary w średnim wieku miotającej się po pełnym zakurzonych rupieci schowku i rzucającej zupełnie nieświęte pogrożki było tak sugestywne, że Zojka parsknęła śmiechem. Aby zakamufłować rozbawienie, odkaszlęła i przybrała poważną minę.

– Pilnować babuni to ja miałam w maju, gdy zabierała się do podejrzanych interesów z sołtysem. Twoim przyszłym zięciem, swoją drogą. – Ciut złośliwy uśmieszek młodej kobiety sprawił, że ciotka pobladła jeszcze bardziej. – Od tamtej pory po prostu tutaj mieszkam. Babunia nie wymaga całodziennego opieki ani nadzoru kuratorskiego. Jeszcze. – Co do tego ostatniego nie była wcale taka pewna, ale nawet nie mrugnęła okiem.

– Ośmielę się twierdzić inaczej, skoro zwała – mruknęła do matki ciotka Halina.

Krystyna kiwnęła głową. Uśmiechnęła się do córki leciutko.

– Córcia, wiem, że jesteś związana z babcią i że mocno ją idealizujesz. Ale babunia nie ma aureoli nad głową.

– Prędeż co innego – dorzucił ojciec, zerkając porozumiewawczo na wuja.

Matka spiorunowała go wzrokiem i ponownie zwróciła się ku córce:

– To nie pierwszy raz, kiedy babunia znika bez słowa...

– Jasne! – Zojka spojrzała z niedowierzaniem na Krystynę. Matka pokiwała głową na znak, że mówi prawdę.

– Za pierwszym razem zareagowaliśmy tak samo jak ty. I co się okazało? Że siedzi w mieszkanku swojej przyjaciółeczki, popija nalewkę wiśniową, ciupie w karty jak zawodowy hazardzista i kurzy ręcznie skręcone papierosy. O ile to w ogóle były papierosy! – Przeżegnała się ponownie. Zojka mimowolnie parsknęła śmiechem. – Policja mało nas tam nie zlinczowała, że zawracamy im głowy, a starsza pani, jak sama powiedziała, przyjechała na prywatkę. Prywatkę, rozumiesz? A prywatka to prywatna sprawa, ona jest dorosła i nic nam do tego! Tylko wstydu się najedliśmy, przed dzielnicowym i całą wsią! Drugi raz na to nie pójdziemy!

Zojka nieśmiało zerknęła w kierunku Kordeckiego. Już sama nie wiedziała, co myśleć. Może reszta rodziny miała rację, nie przejmując się nieobecnością staruszki, a ona przesadzała? Co

sądzi na ten temat redaktor? Mężczyzna wzruszył ramionami. Nie znał aż tak dobrze babuni Łyczakowej, spotkał ją zaledwie kilka razy. Była specyficzna i charakterna, tyle zdążył zauważyć. Od swojego przyjaciela Janka nieraz słyszał o dziwactwach staruszki, ale osobiście uważał, że rodzina Tuszyńskich demonizuje właścicielkę domku na wzgórzu. Że niby ona z siekierką, na ludzi? Albo z psem groźnym? Spojrzał na Burka wylizującego futerko i uśmiechnął się w duchu. Bury kundel wyglądał niewinnie jak baranek, przynajmniej w tej chwili.

Zojka biła się z myślami. Z jednej strony rozumiała rodziców, którym babunia dała do wiwatu, ale coś tu nie grało. Przecież ja mam adres tej przyjaciółki, uświadomiła sobie, nic nie stoi na przeszkodzie, by to sprawdzić i w razie czego sprowadzić niesforną hazardzistkę do domu!

– Musisz wstrzymać akcję poszukiwawczą! – zasugerował tymczasem wuj. Matka i ciotka jak na komendę pokiwały głowami. – Zanim to się rozniesie i narobi nam większej szkody!

– Jakiej szkody?

– Choćby takiej, że ludzie będą na nas dziwnie patrzeć. Babunia nieraz sugerowała, że chcemy zagarnąć majątek, a ją samą zamknąć w psychiatryku – rzuciła ciotka.

– A nie chcecie? – zakpiła Zojka.

– Oczywiście, że nie! Wyprała ci mózg? – zdenerwowała się Halina. Zojka uniosła znacząco brwi. – Jeszcze kto pomyśli, że naprawdę to zrobiliśmy. Albo trzymamy ją w zamknięciu. Z ludźmi to nic nie wiadomo, zawsze na cudze patrzą... Już mam wrażenie, że ktoś nam szperał po stodole, a przecież nawet się nie rozniosło, że jej nie ma...

Kordecki zaniósł się suchym kaszlem. Zebrani spojrzeli na niego z wyrzutem, więc szybko wtrącił, patrząc wprost na swoją byłą pracownicę:

– Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyśli, że

mieliście z tym coś wspólnego!

Zojka spiekła raka i w duchu obiecała, że kiedy zostanie z nim sam na sam, inaczej pogadają. Na razie miała na głowie co innego. Ponownie chwyciła stojący na blasze czajnik i podeszła do zlewu, by napełnić naczynie wodą.

– A jeśli spotka ją coś złego? Może jej coś grozi?

– Jeśli coś jej grozi, to wyłącznie nadciśnienie i marskość wątroby. Na własne życzenie, bo nie słucha, nie oszczędza się i nie dba o siebie. Wróci, ani się obejrzy – perorowała ciotka.

Zojka postawiła czajnik na palniku kuchenki gazowej i zaczęła rozglądać się za zapałkami. Kiedy pod naczyniem zamigotał wreszcie płomień, sięgnęła do kredensu po ulubiony kubek z motylkiem. Po chwili wahania dołożyła do niego drugi. Siedzącym za stołem poczęstunku nie zaproponowała.

– W porządku. Porozmawiam z Chochołkiem i przedstawię mu wasze argumenty. Być może wygrają z moimi – stwierdziła.

Zebrani odetchnęli z ulgą i jakby tylko na to czekali, wstali zza stołu. Przechodząc obok córki, Krystyna delikatnie ścisnęła ją za ramię i uśmiechnęła się ciepło.

– Przyjdiesz na obiad? Będą zraziki w sosie grzybowym.

– Zobaczę – odparła wymijająco dziewczyna. – Mam coś do zrobienia, ale postaram się wpaść.

Wraz z odejściem Tuszyńskich w kuchni zapadła cisza, przerywana jedynie szumem dobiegającym z gotującego wodę czajnika. Kiedy naczynie zagwizdało na znak, że wrzątek jest gotowy do użycia, Zojka zakręciła kurek, złapała rączkę przez kuchenną rękawicę i przygotowała dwie mocne herbaty. Swoją hojnie doprawiła cukrem i wyciśniętą cytryną, a drugą podsunęła Kordeckiemu z niewinnym uśmiechem.

Redaktor podniósł kubek do ust i ostrożnie upił malutki łycalek. Udawał, że nie widzi szczerzącego zęby szympana i napisu „Przystojniak miesiąca” zdobiącego naczynie, które mu podała.

• ROZDZIAŁ ÓSMY •

W poniedziałkowy poranek niewyspana i zmizerniała Zojka doszła do wniosku, że pora pojawić się w pracy i zmierzyć z codziennymi obowiązkami. Skłoniło ją do tego jedenaście nieodebranych połączeń od Markowskiej i przekonanie, że siedząc za biurkiem „Głosu Wadowic”, będzie w stanie w sprawie zaginionej babuni Łyczakowej wskórać dużo więcej. Już niejednokrotnie przekonała się, że legitymacja prasowa, którą otrzymała wraz z redakcyjnym aparatem fotograficznym i zacienionym stanowiskiem w kącie, otwiera przed nią wiele drzwi niczym tajemnicze zakłęcie.

– Dobrze, że jesteś! – Na widok Zojki szefowa niemal podskoczyła pod sufit z radości. – Mamy tyyyyle pracy! Podtopiony supermarket, zerwany most, do którego nie przyznaje się żadna gmina, i... – zaczęła wymieniać. – Co się stało? – urwała, widząc minę dziewczyny.

– Słyszała pani o zaginionej staruszce? – wymamrotała Zojka, opadając na krzesło. Markowska wolno skinęła głową. – To moja babcia.

– Ta babcia? – Szefowa „Głosu Wadowic” uniosła z niedowierzaniem brwi. Kilkumiesięczna praca z Zojką i opowieści snute przez dziewczynę wystarczyły, by wyrobić sobie zdanie o babuni Łyczakowej. Nie dalej jak kilka dni temu

rozmawiały o tym, że Zofii się nudzi. Marcie Markowskiej nie mieściło się w głowie, że dziarska staruszka mogła tak po prostu zniknąć bez śladu. – W takim razie co ty tu w ogóle robisz? Przepraszam, że tak to ujmę, ale... popieprzyło cię?

Zojka machnęła ręką i sięgnęła pod biurko, aby włączyć komputer.

– Kota już dostaję od siedzenia w domu! – Pokręciła głową. – Ile razy można wyglądać przez okno, czy czasem nie idzie od wsi? Ile razy można schodzić do piwnicy, by sprawdzić, czy na pewno nie zleciała ze schodów i nie leży ze skrzyconym karkiem w jakimś ciemnym kącie? – mruknęła ponuro, a wstrząśnięta Markowska aż przysiadła. – Ile razy można sprawdzać skrzynkę pocztową z nadzieją, że jakiś zwyrodnialec zażąda okupu w postaci tuzina wiejskich jaj?

– Macie wiejskie jaja i nic nie mówisz? – ożywiła się szefowa, ale widząc karcące spojrzenie Zojki, szybko przybrała skruszoną minę. – Przepraszam, przepraszam, mów dalej. Do tematu jaj powrócimy w inny dzień.

– Ale w jaki dzień? – jęknęła żałośnie Zojka. – Jeśli babunia się nie znajdzie... – zadrżała.

– Będzie po ptokach – słusznie zauważyła szefowa. – Więc po jajach też.

– Chyba ją porwano... – wyszeptała zdławionym głosem dziewczyna.

Na krótką chwilę zapadła cisza przerywana jedynie odgłosami ulicy dopływającymi zza uchylonego okna i brzęczeniem muchy gdzieś pod sufitem. Markowska stała nad Zojką z bezradnie opuszczonymi rękami i niepewną miną. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby dodać. Zaproponować Zojce wolne? No, ale sama powiedziała, że nie chce siedzieć w domu i myśleć! Zlecić temat? No, ale jak to tak: gonić do roboty, gdy dziewczynę dopadło nieszczęście? W końcu doszła do wniosku, że najlepiej będzie pocieszyć, i tak też zrobiła.

– Ale na pewno się znajdzie! – rzuciła pogodnie. – No, jak mogłaby się nie znaleźć? Twoja babunia? Oczywiście, że się znajdzie! Sama mówiłaś, że jest przecholera, więc żaden porywacz długo z nią nie wytrzyma! A teraz odpocznij sobie! Posiedź, pograj w pasjansa... Czy teraz grywa się w pasjansa, czy to było na starych komputerach? To może w gry online na Facebooku? No po prostu rób to, na co masz ochotę! – zaproponowała i z energią zaczęła zbierać po całym pomieszczeniu kubki. – A ja ci herbatki zaparzę, chcesz?

Zojka chciała, ale i tak ze zdumieniem powitała trzy pełne naczynia, które po kilku minutach postawiła przed nią szefowa. Markowska z emocji aż poczerwieniała.

– Jakoś więcej mi się zrobiło. – Zaśmiała się zawstydzona. – Ale przynajmniej wystarczy ci na dłużej i nie będziesz musiała wstawać, no nie? A ja biegnę za tematem! Opiszę aferę z mostem, do którego... – mamrotała pod nosem, zarzucając na siebie skórkowy płaszcz i sięgając po parasol.

Zojka odprowadziła wzrokiem szefową do drzwi, a kiedy te zamknęły się za nią z głuchym łoskotem, stanowczo odsunęła kubki z parującą herbatą i sięgnęła po listonoszkę. Skoro ma robić to, na co ma ochotę, ruszy śladem babuni. Odwiedzi jej przyjaciółkę i sprawdzi, czy starsza pani nie zatęskniła za hazardem.

Przyjaciółka babuni Łyczakowej nazywała się Rozalia Woźniak i wraz z mężem mieszkała w bloku na osiedlu XX-lecia, o krok od wadowickiej biblioteki. Zojka była tu tylko raz, kiedy staruszka zleciła jej dostarczenie swojskich wędlin, nie zastała jednak wtenczas gospodarzy, którzy akurat wyjechali z wizytą do córki. W oczekiwaniu na parzącą herbatę Rozalię, Zojka z zaciekawieniem rozglądała się po przepelnionym bibelotami pokoju. Podziwiała kolekcję porcelanowych słoników

i szydełkowe serwetki na półkach, ale jej wzrok co rusz wędrował w kierunku ustawionego w centralnej części pokoju stołu. Nic na to nie mogła poradzić, ale za każdym razem, gdy patrzyła na masywny mebel, wyobrażała sobie siedzącą za nim babunię, z kartami w jednej dłoni i kieliszkiem aromatycznej nalewki w drugiej.

Na szczęście jej rozmyślania przerwało nadejście gospodyni. Zojka zerwała się z kanapy i przejęła z rąk starszej pani metalową tacę z maleńkimi filiżankami, dzbankiem herbaty, cukierniczką i kryształową paterą z drobnymi ciastkami. Pani Rozalia usiadła na wyściełanym krześle i przysunęła sobie jedną z filiżanek. Jej głowa delikatnie trzęsła się na boki, ale spojrzenie piwnych oczu było bystre.

– Zatem twoi rodzice sądzą, że Zosia zamelinowała się u mnie, by swobodnie pograć w karty? – zapytała.

Zojka skinęła głową.

– Mniej więcej.

– Mam wrażenie, że córki i zięciowie Zosi demonizują te nasze małe imprezki! A cóż złego może być w spotkaniu kilku przyjaciółek przy kropelce alkoholu? – Rozalia mrugnęła do swojego gościa konspiracyjnie i sięgnęła po jedną z wypolerowanych na glanc srebrnych łyżeczek.

Zojka rozłożyła ręce.

– Nie mam pojęcia! Ja tam byłabym przeschczęśliwa, gdybym zastała babunię w pani mieszkaniu! Choćby leżała sponiewierana pod stołem i przegrała w karty cały majątek z Burkiem na czele!

– Och, tak ostro to nigdy nie pogrywałyśmy! – Starsza pani zachichotała. – Choć Tereska raz próbowała postawić męża. Z grobowcem w pakiecie.

Ręka, którą Zojka właśnie wyciągała w kierunku wolnej filiżanki, drgnęła. Naczynie potoczyło się po tacy z głośnym brzdękiem. Na myśl, że mogłoby się potłuc, Zojce aż zrobiło się

gorąco, ale na szczęście nie doszło do najgorszego, a i właścicielka zastawy w paczki róż zachowywała się, jakby rzucanie naczyniami po stole było czymś zupełnie naturalnym. Sprawnie złapała rozchybotaną filiżankę i ustawiła przed dziewczyną, po czym napełniła ją herbatą i nie pytając o zdanie, dorzuciła dwie kostki cukru.

– Przykro mi, ale już dawno nie organizujemy partyjek. Ostatni raz był wtedy, kiedy wysłałam męża do sanatorium. Córki Zosi zjawily się tu z policją i cały nastrój diabli wzięli. – Zachichotała, wrzucając kolejne dwie kostki cukru do własnej filiżanki.

– Szkoda! Miałam nadzieję, że może babunia... – Zojka nie kryła rozczarowania i głośno westchnęła. Rozalia Woźniak była ostatnią deską ratunku, której trzymała się, by wierzyć, że wszystko skończy się pomyślnie. Teraz ta deska wyslizgnęła jej się z rąk. – Bardzo się o nią martwię. Nigdy nie zniknęła ot tak! – Pstryknęła palcami.

Starsza pani zamyśliła się.

– Mówisz, że Zosia zniknęła w czwartek? To musiało być zaraz po spotkaniu z tamtym mężczyzną... – powiedziała.

Zojka drgnęła. Nie zdążyła nawet napomknąć o agencji, a przyjaciółka babuni sama wspominała o jakimś mężczyźnie? Czy to mogło być takie proste? Zaaferowana nachyliła się nad stołem.

– Jakim mężczyzną? Gdzie się z nim spotkała? I kiedy?

– Niestety, wiem niewiele więcej niż ty... Zajrzała do mnie w któryś dzień po niedzieli. Wspominała, że ma do załatwienia ważne sprawy w mieście. Wybierała się też do sklepu zoologicznego.

– Do sklepu zoologicznego? – zdumiała się Zojka.

– Mówiła coś o hienie. Naprawdę można kupić takie zwierzęta?

– Nie można. Miała na myśli notariusza – przerwała

bezlitośnie dywagacje staruszki. – Wspominała coś o notariuszu?

– Nie, tylko o hienie.

– Na jedno wychodzi – mruknęła Zojka. – A co z tym mężczyzną?

– Jakim mężczyzną? – Rozalia posłała w stronę gościa zdezorientowane spojrzenie.

– No, tym, którego spotkała.

– A spotkała? I nic mi nie mówisz?

Zojka poczuła, jak uchodzi z niej cała energia. Pochylona nad stołem siorbnęła herbaty, czując, jak po języku rozlewa się jej mdląca słodycz. Mikroskopijne filiżanki Rozalii nie stanowiły udanego połączenia z dwiema kostkami cukru, którymi uraczyła ją starsza pani. Tymczasem gospodyni wydawała się bawić w najlepsze. Pełnym gracji ruchem unosiła do ust filiżankę z pąkiem róży i uśmiechała się słodko do siedzącej naprzeciwko dziewczyny. Nagle zmrużyła konspiracyjnie oko, pochyliła się w stronę Zojki i lekko klepnęła jej dłoń.

– Znajdzie się! – rzuciła pocieszająco. Kolejny raz uniosła filiżankę i przytknęła do brzegu naczynia blade wargi. Nagle drgnęła. – Źle pomieszałam. Na spodzie został sam cukier!

Ponownie złapała leżącą na tacy łyżeczkę i energicznie zamieszała nią w naczyniu. Zojka poczuła, jak wypita herbata podchodzi jej do gardła. Filiżanka stojąca przed Rozalią była pusta, jeśli nie liczyć dwóch grzechoczących o siebie kostek cukru.

Kiedy Zojka opuściła w końcu mieszkanie starszej pani, poczuła nieprzyjemne pulsowanie w lewej skroni. Wolnym krokiem ruszyła w kierunku rynku, rozpamiętując szczegóły przeprowadzonej rozmowy i pozwalając, by wziął ją we władanie podły nastrój. Szła do Rozalii jak po zbawienie. Nie, nie

oczekiwała, że znajdzie babunię w mieszkaniu przyjaciółki, to byłoby zbyt piękne, ale liczyła na konkretne wskazówki i informacje, które rzuciłyby jakieś światło na ostatnie wydarzenia. I poniekąd je otrzymała, prawda? Wzmianka o hienie-notariuszu niby potwierdzała, że babunia odwiedziła Rozalię przy okazji wyprawy do miasta, ale czy można ufać słowom kogoś, kto pija wymaginowaną herbatkę, twierdząc na dodatek, że jest kiepsko wymieszana?

Czy tajemniczy mężczyzna naprawdę istniał? Coś podpowiadało Zojce, że nie tylko istniał, ale na dodatek był w jakiś sposób powiązany z wyciętym ogłoszeniem i działalnością przybytku dla samotnych serc, który odwiedziła babunia Łyczakowa!

Przemierzając plac przed bazyliką, dziewczyna rzuciła ponure spojrzenie w kierunku siedziby agencji matrymonialnej. Wydekoltowana blondyna zdobiąca witrynę lokalu odpowiedziała jej hardym spojrzeniem. Zojka poczęstowała ją cichym epitetem. Od początku podejrzewała, że ta szemrana instytucja sprowadzi im na głowę kłopoty! Babunia za bardzo się nią gorączkowała, by obyło się bez afery! A teraz zniknęła i na domiar wszystkiego nikt poza Zojką i Chochołkiem nie traktował tego poważnie. Wszyscy powtarzali w kółko, że starsza pani się znajdzie, a Zojka dostawała już od tego szału.

Siedzibę „Głosu Wadowic” spowijał aromat kuchni orientalnej. Zojka zerknęła na biurko szefowej i przekonała się, że ta właśnie pałaszuje zupkę chińską. Dziewczyna skrzywiła się nieświadomie. W czasie studiów i później, gdy nie mogła znaleźć pracy, podstawę jej codziennego menu stanowiły naprzemiennie takie właśnie zupki, kanapki z pasztetem i ziemniaki z kefirem. Te ostatnie nadal lubiła, ale na zupki i konserwy nie mogła patrzeć.

Markowska zerwała się zza biurka z uniesioną łyżką. Jej zamiłowanie do dań instant było widoczne gołym okiem

w postaci przyklejonego do brody makaronu. Wyglądała na mocno poruszoną.

– Gdzie byłaś? – wybełkotała.

Zojka podeszła do swojego stanowiska. Na biurku nadal stały trzy kubki. Na wystygłej herbacie pojawił się nieapetyczny tęczowy nalot.

– Musiałam sprawdzić jeden trop, ale nic to nie dało – oznajmiła z westchnięciem, opadając na krzesło.

– Biegasz sobie po mieście i tropów szukasz! – wykrzykiwała szefowa. – A policja szuka ciebie!

– Znowu? – jęknęła Tuszyńska, zaraz się jednak zreflektowała i zerwała na równe nogi. – A czego policja chciała?

– A bo ty myślisz, że policja to taka rozmowna? Jeszcze w redakcji miejscowej gazety? – prychnęła Markowska, przy okazji pozbywając się strzępka makaronu. – Przyszedł tu taki jeden z fryzurą à la wczesny Dieter Bohlen i powiedział, że telefonu nie odbierasz!

Zojka nerwowo sięgnęła po przewieszoną przez oparcie listonoszkę i wyjęła smartfona. Pod wpływem dotknięcia ekran ożył, odsłaniając obraz Filipa i Burka zgodnie drzemiących na deskach ganku. Szybko wybrała z listy kontaktów numer Chochołka, ale ze zdenerwowania nie mogła trafić w słuchawkę inicjującą połączenie.

– Niech to szlag! – bełkotała zdenerwowana.

Marta Markowska odłożyła łyżkę i powoli podeszła do swojej podwładnej. Widząc, że ręce Zojki drżą niekontrolowanie, odebrała jej aparat i delikatnie przyłożyła opuszkę palca w odpowiednim miejscu. Następnie oddała smartfona dziewczynie i utkwiała w niej pełne wyczekiwania spojrzenie.

– Słucham... – warknęło w telefonie.

– To ja słucham.

– Słucham?! – zdziwił się Chochołek.

– Och! – Zojka straciła cierpliwość. – To niech pan nie słucha,

tylko powie, z czym do mnie dzwoni.

– Ja? Przecież to pani dzwoni do mnie!

– Bo pan... – Zojka zgrzytnęła zębami. Zamilkła i szybko policzyła do dziesięciu. – Dzwonił pan do mnie, aspirancie?

– A, tak – mruknął policjant, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, z kim rozmawia. – Bo ja, pani Zojko, chciałem panią osobiście poinformować. Na okoliczność zakończenia akcji poszukiwawczej.

– Taaak? – zapięła Tuszyńska. Serce w jej piersi tłukło się jak oszalałe. – No, niech pan informuje szybciej!

– Nie chciałem przez telefon...

– Mam biec przez pół miasta, nie wiedząc, czy babunia żyje? – wykrzyknęła oburzona.

W tej samej chwili Markowska wyszarpnęła jej z ręki telefon i warknęła:

– Słuchaj, ty włochaty troglodyto z grzywką! Mów mi tu zaraz, czy babunia Łyczakowa żyje, bo tak cię obsmaruję na pierwszej stronie, że w Nepalu o tobie usłyszą! Dotarło? To jak?

Zdezorientowany Chochołek zaniemówił. W tym czasie szefowa „Głosu Wadowic” zbliżyła się z telefonem do poblądłej Zojki i obydwie nachyliły się nad aparatem. W napięciu oczekiwały na słowa policjanta, ten jednak najpierw westchnął: „Hmmm”, potem zawołał: „Aha!”, jakby do niego dotarło, że pogróżki nie wyszły od Tuszyńskiej, ale od kogoś z większą siłą przebiccia, a na koniec mruknął:

– No cóż... nie natrafiliśmy na żadne zw... znaczy na panią Zofię. Zna pani takie stwierdzenie, że w przypadku braku wiadomości mamy do czynienia z dobrą wiadomością? Czy jakoś tak?

– Coś mi się obilo o uszy...

– No, to jest właśnie ten przypadek – stwierdził zadowolony z siebie Chochołek.

– Ale przecież pan miał dla mnie wiadomości! – Zojka

przewróciła oczami.

– Ale o tym, że nie mam... uff, nieważne! – zirytował się aspirant. – Cieszymy się, że nie musiałem dzwonić z... mniej radosną informacją.

Zojka nie rozumiała, skąd to zadowolenie u policjanta, odczuła jednak ulgę, że nie miał jej do przekazania tragicznych wiadomości. Wciąż nie wiedziała, co stało się z babunią, ale przynajmniej rozmowa z Chochołkiem nie pozbawiła jej nadziei na odnalezienie starszej pani. Natychmiast też podzieliła się z funkcjonariuszem najnowszymi ustaleniami i przekazała to, co opowiedziała jej Rozalia. Słuchając o wieczorkach karcianych, tajemniczym mężczyźnie i naciągaczach żerujących na zakochanych staruszkach, Marta Markowska wpatrywała się w swą pracownicę oniemiała.

– Przecież to najprawdziwsza afera matrymonialna! A my możemy o niej napisać! – wychrypiała podniecona, ale Tuszyńska machnęła na nią ręką. W momencie, gdy życie ukochanej babci znajdowało się w niebezpieczeństwie, nie byłaby w stanie sklecić najprostszej laurki urodzinowej, więc jak mogła myśleć o reportażu? Zlekceważona szefowa wróciła do miski z chłodną już zupką chińską i zaczęła ją pochłaniać z cichym chlupaniem.

Tymczasem Paweł Chochołek przetrawił informacje zasłyszane od Tuszyńskiej i zreflektował się, że usłyszał coś osobliwego. Zniżył głos do szeptu i zapytał zaintrygowany:

– A kim jest troglodyta?

• ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY •

Kiedy Zojka była dzieckiem, uwielbiała spędzać czas w ogrodzie otaczającym dom babuni Łyczakowej. Porastające teren drzewa i zarośla tworzyły niezliczone kryjówki dla poszukiwaczy przygód i stawały się bajkową scenerią niekończących się figli. Wraz z Jankiem, Zosią i dzieciarnią z sąsiedztwa godzinami przemierzali ścieżki wydeptane między krzakami porzeczek, wdrapywali się po chropowatych pniach drzew owocowych i staczali po porośniętym miękką trawą zboczu. Ale najlepsza zabawa zaczynała się, gdy zapadał zmierzch. W długie wakacyjne wieczory, gdy nikt nie gonił ich do łóżek, w pośpiechu przetykali suchą bułkę zamiast kolacji, popijając ją zimnym mlekiem lub kompotem, a następnie rozbiegali się po tonącym w półmroku ogrodzie, chowali, odnajdywali i przeganiali, robiąc przy tym tyle pisku, że właścicielka domku odgrażała się, że zaknebluje ich kawałkiem płóciennego worka.

Zojka nadal dawała się ponieść niezwyklej atmosferze ogrodu babuni. Nieraz przemykała między drzewami, czując rozkoszny dreszczyk niepokoju na myśl, co może kryć się pod krzakiem leszczyny lub między pniami na wpół zdziczałych jabłoni. Upływający czas nie odebrał temu miejscu magicznego uroku i tak romantyczna osoba jak Zojka odczuwała to każdym uniesionym na karku włoskiem i każdym mocniejszym

uderzeniem serca. Szczególnie gdy przypominała sobie, że raz już znalazła się na celowniku mordercy!

Tego późnego popołudnia również nie pozostała obojętna na otaczający ją krajobraz, ograniczyła się jednak tylko do stwierdzenia, że mgła unosi się nad stromymi brzegami wąwozu w wyjątkowo malowniczy sposób, po czym wróciła myślami do rozmowy z Chochołkiem. Aspirant zamierzał odtworzyć krok po kroku pobyt babuni Łyczakowej w mieście, a Zojka zastanawiała się, co ona ze swojej strony powinna uczynić, aby ją odnaleźć. W końcu doszła do wniosku, że najlepiej będzie ponownie odwiedzić siedzibę agencji matrymonialnej i jakimś sposobem zdobyć nazwisko tajemniczego adoratora starszej pani.

Zatopiona w myślach dziewczyna opuściła wąwóz i wydeptaną ścieżką ruszyła w kierunku domku. Od drewnianych stopni ganku dzieliło ją już zaledwie kilka kroków, gdy niespodziewanie za jej plecami rozległ się trzask łamanej gałęzi. Przestraszona przystanęła w pół kroku i szybko spojrzała za siebie. Dźwięk był zbyt głośny jak na podrywającego się do lotu ptaka, przemierzające zarośla sarny narobiłyby z kolei większego hałasu, szukając drogi ucieczki przed człowiekiem, który stanął im na drodze.

Istniało tylko jedno wytłumaczenie: ktoś czaił się w mroku!

Zojka wytężyła wzrok, ale napływające pasma mlecznej mgły uniemożliwiały dojrzenie czegokolwiek dalej niż na wyciągnięcie ręki. Jej serce galopowało w piersi jak oszalałe, a dłoń mimowolnie sięgnęła do kieszeni i zacisnęła się na telefonie. Gorączkowo zastanawiała się, co robić. Odwrócić na pięcie i rzucić w kierunku ganku? Czy może lepiej pobiec przez ogród, wprost do psiej budy, w której osobiście schowała przed babunią dobrze naostrzoną siekierę? Obydwa rozwiązania były niepewne, szczególnie ryzykowne zaś wydawało się naprowadzenie napastnika na ślad ukrytej broni. Poza tym

Zojka obawiała się, że biegnąc na oślep w tej mgle, po prostu w coś przydzwoni czołem i ułatwi złoczyńcy sprawę. Nie, lepiej było zostać w miejscu. Skoro ona nie widzi niegodziwca w tych ciemnościach, istnieje cień szansy, że on również jej nie dostrzeże, prawda?

Rozmyślenia na temat widoczności lub jej braku przerwał kolejny odgłos, tym razem niepokojąco bliski. Spanikowana dziewczyna zaczęła ostrożnie cofać się w kierunku ganku. Ponownie zapanowała cisza, tak głęboka, że Zojka mogła zarejestrować uchem każde plaśnięcie błota pod swoimi butami. Zza drzwi domku dochodziło powarkiwanie Burka, który najwyraźniej wyczuł czyjąś obecność. Na myśl o kudłatym towarzyszu młoda kobieta poczuła tak wielką ulgę, że niemal zapomniała o ostrożności, jaką chciała zachować. Postawiła stopę na pierwszym stopniu i delikatnie wsparła się na balustradzie, by drewno nie zatrzęszczało pod jej ciężarem. W tej samej chwili Burek szczerknął donośnie. Zojka podskoczyła nerwowo, poślizgnęła się na błocie i tracąc oparcie, runęła przed siebie z głośnym okrzykiem.

Kiedy już się pozbierała, doszła do wniosku, że zabawy w chowanego ma powyżej uszu. Była cała utyłana ziemią i mokra, nic nie widziała, a na domiar złego przy upadku zgubiła gdzieś torebkę. Co prawda usiłowała ją wymacać, ale bez powodzenia. Jej palce natrafiły za to na coś, co rozmiarem i miękkością niepokojąco przypominało mysie truchełko. Odkąd w domu zamieszkał Filip, znajdowało się takie w najmniej oczekiwanych miejscach i momentach.

Brak torebki wiązał się z brakiem klucza do drzwi, na taką ewentualność przygotowano jednak zapasową sztukę pod doniczką z pelargonią. Zojka zakradła się do niej i najostrożniej, jak tylko umiała, uniosła gliniane naczynie. Nic jednak nie dało coraz bardziej nerwowe obmacywanie parapetu wzdłuż i wszerz: klucz zniknął! Zdenerwowany Burek zaczął ujadać, Zojka

jęczeć, a gdzieś w ciemnościach skrzypnęła przydeptana deska.

Przerażona dziewczyna wcisnęła się w najodleglejszy kąt ganku i po raz kolejny złapała smartfona. Wsunęła aparat między kolana, odblokowała go szybkim ruchem palca i wystukała krótką wiadomość „SOS”. Przez moment deliberowała w duchu nad listą kontaktów, ostatecznie zdecydowała się na opcję „wybierz wszystko” i wcisnęła „wyślij”. A kiedy przekonała się, że wiadomość uleciała niesiona zasięgiem operatora, schowała telefon do kieszeni, złapała doniczkę z mizerną rośliną i uniosła ją nad głowę w oczekiwaniu na napastnika.

Nie zamierzała tanio sprzedać skóry, oj nie.

Drogą krajową numer pięćdziesiąt dwa sunęło powoli nieduże czerwone auto. Jego kierowca wyteżał wzrok, by cokolwiek zobaczyć w gęstniejącej mgłę. Klął przy tym okrutnie, bo dzień ten nie zaliczał się do szczególnie udanych, a on był potwornie zmęczony i marzył wyłącznie o gorącym prysznicu i odpaleniu popularnego serwisu z serialami. Napływająca z łąk mgła czyniła jednak wszystko, by plan ten udaremnić i sprowadzić strudzonego redaktora na manowce. A przynajmniej na przydrożne drzewo.

Mężczyzna zawisł nad kierownicą, konstatuując, że jedzie najwyżej trzydzieści kilometrów na godzinę. Zbliżał się właśnie do charakterystycznego wiaduktu w Kleczy, co oznaczało, że od domu dzieli go już naprawdę nieduży odcinek trasy. Na razie musiał przystanąć w niedużym korku, który uformował się przed wiaduktem. Uśmiechnął się pod nosem. Jako dziennikarz wielokrotnie opisywał perypetie kierowców TIR-ów, którzy z pobożnym życzeniem na ustach usiłowali precyzyjnie się pod nim i tamowali ruch na długie godziny, wzbudzając wściekłość miejscowych.

Wymuszona przerwa w podróży pozwoliła redaktorowi zerknąć na telefon. Zauważył, że na ekranie pojawiła się ikona SMS, więc sięgnął po aparat i uruchomił skrzynkę odbiorczą. Widząc nazwisko nadawcy, zaklął bezgłośnie.

No naprawdę, prędzej spodziewałby się UFO na stadionie Skawy Wadowice niż SMS-a od Zojki Tuszyńskiej. I co właściwie miała na myśli ta niezrównoważona kobieta, pisząc do niego o jakimś sosie? Miał jej kupić półprodukty do spaghetti czy ki diabeł? A może wiadomość nie była do niego? Może informowała jakiegoś kochasia od siedmiu boleści, co upichciła na wspólną kolację? Kordecki zaśmiał się pod nosem, myśląc, jak bardzo współczuje temu nieborakowi. Na pewno nabawi się niestrawności i resztę wieczoru spędzi z muszlą klozetową w objęciach! Ewentualnie w pucharku z deserem znajdzie coś, co do niedawna miało linie papilarne!

Samochody ruszyły, więc rozbawiony mężczyzna odłożył telefon i złapał za kierownicę. Mijając betonowy przepust, mimowolnie powrócił myślami do Zojki. Znając tę wariatkę, na pewno nie chodziło o zwyczajną potrawę kulinarną czy zakupy w sklepie spożywczym. Z pewnością znowu się w coś wpakowała.

Sosna mnie przygniotła, zaczęła pisać, zanim straciła przytomność i wypuściła telefon z ręki. Sosnowiec ustawia się na kibiców Wisły w zagajniku przy drodze, w którym szukam babci, też się zgadza, proszę bardzo. Sosjerka spadła mi na głowę, gdy przetrząsałam piwnicę, bo nazywam się Zojka Tuszyńska i nie potrafię usiedzieć spokojnie na tyłku nawet w takie paskudne, mgliste popołudnie. Tego typu przygody lepiej pasują do tej awanturnicy, a nie jakieś tam sosy! Kordecki pokręcił głową, zaklął tym razem głośniejszym głosem i uderzył dłonią w kierownicę. A potem włączył kierunkowskaz i skręcił do Lipówki.

W czasie, gdy Marcin Kordecki bawił się w grę słowną z SMS-em od Zojki Tuszyńskiej, aspirant Paweł Chochołek porządkował klatkę kanarka Kleofasa, wesoło pogwizdując pod nosem. W przeciwieństwie do redaktora i uwalanej błotem Zojki był w znakomitym humorze, co wiązało się bezpośrednio z wiadomością, którą otrzymał jakąś godzinę wcześniej. Kiedy dobiegł go dźwięk przychodzącego SMS-a, zerknął na wyświetlacz, wzruszył obojętnie ramionami i powrócił do przerwanej czynności. Sosy panny Tuszyńskiej, jak i ona sama, zupełnie go w tym momencie nie interesowały!

A wszystko za sprawą niejkiej panny Moniki, która skontaktowała się z aspirantem późnym popołudniem, bo, jak twierdziła, od razu przyciągnął jej uwagę i była zainteresowana nawiązaniem bliższej relacji.

Chochołkowi, który tak bardzo stęsknił się za jakimikolwiek relacjami, że zadowoliliby się nawet relacją z wyścigu o złotą łyżkę w Zachodniej Patagonii, mocniej zabiło serce. Niech sobie Kordecki mówi, co chce! On, Chochołek, jeszcze znajdzie swoją miłość i całkiem możliwe, że pomoże mu w tym właśnie tak obśmiewana przez redaktora agencja matrymonialna.

Rozanielony policjant napełnił miseczkę Kleofasa świeżymi przysmakami i zbliżył się do lustra. Wciągnął brzuch, konstatuując, że pochłaniane nałogowo pączki z nadzieniem różanym wyraźnie mu nie służą, potem napiął bicepsy i stanął na palcach, aby sprawdzić, czy dodatkowe trzy centymetry wzrostu dodałyby mu dystynkcji. Następnie, pogwizdując, uchylił drzwi szafy, aby przeprowadzić przegląd garderoby.

Wiadomość od Zojki wyparowała z jego świadomości jak kałuża w upalne letnie popołudnie.

Lista kontaktów Zojki Tuszyńskiej nie prezentowała się

imponująco, a jednak jej wołanie o pomoc, tudzież o składniki poniedziałkowej kolacji, dotarło w najmniej oczekiwane miejsca.

Wiadomość od pechowej esemesowiczki dotarła między innymi do promotora jej pracy magisterskiej, który jedynie potrząsnął głową zdegustowany i pomyślał, że co poniektórzy powinni się wystrzegać procentów przed godziną siedemnastą. A najlepiej nie tylko siedemnastą, ale i każdą.

SMS-a odebrała również krakowska współlokatorka dziewczyny, była jednak nadal obrażona, że Tuszyńska wyprowadziła się ze wspólnego mieszkanka, na dodatek pozostawiając rozbebeszoną paprotkę i ogromną pajęczynę między oknem a lodówką. Skasowała więc wiadomość bez czytania, pomstując na niefrasobliwość niektórych osób.

Kiedy przyszedł SMS od kuzynki, Janek Tuszyński kończył właśnie pracę. Zamierzał nawet oddzwonić do dziewczyny i dopytać, na jaki sos ma ochotę, ale w tej samej chwili dostrzegł idącą parkingiem koleżankę z biura. Kobieta od dawna mu się podobała i postanowił zamienić z nią kilka słów. Gdy uśmiechnęła się do niego czarująco, natychmiast zapomniał o Zojce i trzymanym w dłoni telefonie.

Wiadomość od Zojki przerwała Krysi Tuszyńskiej seans z porcją szarlotki i odcinkiem ulubionej telenoweli. Kobieta rzuciła okiem na ekran swojej malutkiej, niemodnej komórki, zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, co córka ma na myśli, wzruszyła ramionami i wcisnęła telefon w szparę między siedziskiem a oparciem fotela. Natychmiast o nim zapomniała i przeleżał tam kolejne trzy dni.

Różne osoby otrzymywały i czytały wiadomość od Zojki. Jedni kręcili głowami z niedowierzaniem, inni uznawali, że to najzwyklejsza pomyłka, kolejni tylko rzucali okiem i nawet o tym nie myśleli, bo Zojka była dla nich jedynie niewyraźnym cieniem z przeszłości, przypominającym, że należałoby posprzątać w zakładce z kontaktami.

Mimo tak nędznego odzewu na dramatyczny apel o pomoc, skulona w kącie ganku dziewczyna doczekała się w końcu wsparcia. Z oparów mgły otulających podwórko babuni Łyczakowej wyłonił się nie jeden, ale nawet dwóch rycerzy! Po prawdzie nie mieli białych rumaków i lśniących zbroi, za cały ich oręż służyły zaś skwaszone miny, jakie przybrali, spotkawszy się u stóp wzgórza. Właśnie tam byli zmuszeni zaparkować swe pojazdy: czerwony, nieduży samochód i lśniącego suva.

Na odgłos zbliżających się kroków Zojka wyskoczyła z ciasnego kąta jak pocisk z katapulty. Po czasie uświadomiła sobie, że równie dobrze nonszalanckim krokiem może zbliżać się do jej domu złoczyńca, który wcześniej ukrywał się we mgle. Było już jednak za późno. Dziewczyna spłynęła po schodkach na podwórko, ściskając w dłoniach glinianą doniczkę, i ze zdumieniem spojrzała na dwóch mężczyzn wyłaniających się z mlecznych oparów.

– Co się stało? – warknął na jej widok Kordecki.

– Wszystko w porządku? – Ton sołtysa brzmiał przyjemniej.

Zojka posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie. Może i był gnidą, która nie potrafi utrzymać zamka przy rozporoku w jednej pozycji dłużej niż kilka godzin, ale przynajmniej na nią nie krzyczał. Nie to co niektórzy!

– Ktoś tu jest! – poinformowała ich zduszonym szeptem, tuląc do piersi trzymaną donicę. Kordecki rozejrzał się czujnie na boki i spojrzał na Tuszyńską z powątpiewaniem, dodała więc na wszelki na wypadek: – Ukrywa się we mgle.

– To ta sceneria rodem z horroru. – Kordecki machnął ręką lekceważąco. – I twoja bujna wyobraźnia.

– Bujną to ja mam ochotę. Ukatrupić ciebie – sarknęła, a Mikołaj zarechotał. Zojka spojrzała na niego ze złością. –

W tym nie ma nic śmiesznego! Dobrze wiecie, że babunia zaginęła. Możliwe, że ją uprowadzono!

– Podejrzewasz, że porywacz poluje teraz na ciebie? – Maliszewski uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie. Podejrzewam, że na spotkanie z tym casanową od siedmiu boleści babunia nie zabrała tego, czego on oczekiwał. Oszczędności całego życia w płóciennym woreczku i rodowych kosztowności – wyjaśniła. – Podstępem, szantażem albo torturami wydobył więc z biednej starowinki informację, gdzie trzyma zapasowy klucz. I... – zawahała się.

– I niech go Bóg ma w swojej opiece? – podsunął Kordecki usłużnie.

Zojka zgromiła go spojrzeniem.

– I zjawił się tu pod osłoną mgły, by zabrać to, czego nie podsunęła mu pod nos!

– To się kupy nie... – zaczął redaktor, ale Maliszewski uciszył go ruchem dłoni.

– Myślę, że nie masz się czego obawiać, ale na wszelki wypadek rozejrzymy się w domu i w obejściu – zakomenderował.

Zojka pomyślała, że narzeczonemu kuzynki władza weszła w krew, bo z taką łatwością przychodziło mu rządzić i rozstawianie innych po kątach. Zgodnie z jego sugestią Tuszyńska usiadła na krześle na ganku (przed sobą trzymała doniczkę, by w razie zagrożenia cisnąć nią w napastnika), a mężczyźni rozpierzchli się po podwórku. Według Zojki nie miało to większego sensu, bo po pierwsze w tej mgle nie mieli szans dostrzec czegokolwiek ani kogokolwiek, nawet depcząc tajemniczemu osobnikowi po stopach, a po drugie robili tyle hałasu, że zagłuszyliby osobowy relacji Kraków Płaszów – Bielsko Biała Główna, a co dopiero jednego mizernego psychopatę drepczącego w suchych zaroślach.

Kiedy zadudniły kroki na ganku, a dwaj rycerze na powrót

zmaterializowali się przed Zojką, dziewczyna odetchnęła z ulgą i wstała. Nadal tuliła do piersi doniczkę z pelargonią.

– Nic. – Sołtys rozłożył bezradnie ręce.

Kordecki wskazał drzwi wejściowe.

– Mamy sprawdzić dom?

– Nie mogę otworzyć! – wyjaśniła dziewczyna. Na myśl, że ktoś tak łatwo wszedł w posiadanie klucza do domku babuni Łyczakowej, wstrząsnął nią dreszcz. – Zgubiłam torebkę, a dodatkowy klucz... – Redaktor obrzucił ją taksującym spojrzeniem, więc wyprostowała się dumnie. – ...który trzymałyśmy w bardzo dobrej i trudnej do odgadnięcia kryjówce, zniknął! Na pewno ten szubrawiec go zabrał!

– Proszę! – Kordecki podał Zojce listonoszkę. Torebka była utyłana błotem i mokra, ale dziewczyna przycisnęła ją do piersi jak najcenniejszy skarb. – Masz talent do gubienia tych torebek, wiesz? I możesz odłożyć już tę donicę! To najbardziej oczywisty schowek dla klucza, zdajesz sobie z tego sprawę? – grzmiał.

Zojka poczuła, jak jej twarz pokrywa się purpurą. Na szczęście było ciemno i nie mógł tego dostrzec.

– Nie wiem, o czym mówisz – wymamrotała, zaraz jednak odstawiła doniczkę na deski ganku i sięgnęła do bocznej kieszeni listonoszki po klucz do domku. Wsunęła go w dziurkę i przekręciła szybkim ruchem.

– Sprawdzanie domu nie ma sensu. W środku było przecież to... bydlę! – Na widok radośnie obskakującego Zojkę Burka sołtys głośno przełknął ślinę. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie naraziłby się na spotkanie z tą paszczą! No chyba, że zawnocował sobie zwyczajną ze środkiem nasennym lub trutką na szczury – dodał.

Na myśl, jakie niebezpieczeństwo mogło grozić kudłatemu ulubieńcowi babuni Łyczakowej, Zojce aż zaschło w ustach. Natychmiast obdarowała Burka kolejną porcją wyjątkowo

serdecznych pieścizot. Tymczasem pies uświadomił sobie, że jego tymczasowa opiekunka nie jest jedyną osobą na ganku, i zawarczał ostrzegawczo. Sołtys cofnął się o krok.

– Zamknę go w łazience – stwierdziła dziewczyna. Burek obrzucił ją oburzonym spojrzeniem. Jak to tak? Cały dzień strzegł gospodarstwa i pilnował, by kafle w kuchennym piecu zanadto się nie wyziębiły, po powrocie powitał ją tak gorąco, a ona w podzięce zamyka go w ciasnej i ciemnej łazience? Na dodatek z solidnie zawartym koszem na brudną bieliznę, z którego nie da się podprowadzić żadnej skarpetki czy ścierki? To wyjątkowa niesprawiedliwość! Zojka nie zważała jednak na spojrzenia, które jej rzucał, zostawiła go w łazience i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Następnie dopilnowała, by wszyscy zdjęli ubłocone obuwie, i ruszyła na obchód mieszkania. Towarzyszący jej mężczyźni snuli się za nią, posyłając sobie dość niechętnie spojrzenia.

W pokoju babuni Łyczakowej dziewczyna zatrzymała się na dłużej. Zlustrowała lekko uchylone okno i delikatnie poruszającą się firankę. Babunia lubiła wietrzyć dom, a Zojka nie widziała powodu, by ukrócić tradycję pootwieranych okien, szczególnie że właśnie tędy najchętniej przemieszczał się Filip. Ta sama droga mogła służyć niepożądanemu gościowi. Maliszewski miał słuszość: nikt nie zadarłby lekkomyślnie z Burkiem i jego paszczą pełną ostrych, niezbyt przyjemnie pachnących zębów. Ale drzwi między sienią a sypialnią staruszki były zamknięte i skutecznie chroniły przed zagrożeniem. A Zojka nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś jednak odwiedził domek na wzgórzu i z pewnością nie uczynił tego w dobrych zamiarach.

– Wszystko wydaje się być w porządku, ale chyba nie powinnaś tu dzisiaj spać sama – zauważył Kordecki. A gdy Zojka i sołtys spojrzeli na niego zdumieni, szybko dodał: – Możesz przecież spędzić noc w domu rodziców, prawda?

Zojka skinęła głową.

– Masz rację. Zabiorę kilka rzeczy i zaraz będę gotowa!

Jakiś czas później w kierunku wsi ruszyła dziwaczna procesja. Na przodzie szedł beztrosko pogwizdujący Maliszewski, zaraz za nim Zojka – objuczona sporym plecakiem i ciągnąca na smyczy zdezorientowanego Burka, a na samym końcu Kordecki: ściskający oburącz wyrywającego się Filipa i przeklinający pod nosem wszelkie SMS-y tego świata.

U stóp wzgórza kompania rozdzieliła się: mimo gorących zaproszeń ze strony sołtysa, Zojka nie zamierzała wsiadać do jego samochodu i narażać się na gniew kuzynki. Maliszewski pojechał więc przodem, a Kordecki i Tuszyńska wraz z niezadowolonymi zwierzakami ruszyli za nim. Na widok eskorty swojej córki Krysia wybałuszyła oczy, nie odezwała się jednak słowem, zagarnęła jedynaczkę w rodzinne progi, oferując gorącą grochówkę i herbatę z cytryną. Rycerzom Zojki poczęstunku nie zaproponowała, nie pozostało im więc nic innego, jak obrócić się na pięcie i ruszyć w swoją stronę.

• ROZDZIAŁ DZIESIĄTY •

„Jestem bezpieczna. Nie szukajcie mnie”.

Zojka gapiła się w ekran smartfona, raz po raz odczytując pięć słów układających się w proste zdanie. Krótka i lakoniczna wiadomość tekstowa nadeszła parę minut przed siódmą, powodując u Tuszyńskiej oszalałą gonitwę myśli.

No bo jak mogła zapomnieć, że starsza pani posiada komórkę? Jedyne, co ją usprawiedliwiało, to fakt, że telefon najczęściej leżał w szufladzie na szpargały, zbierając kurz i dotrzymując towarzystwa niezliczonym guzikom, tasiemkom, zużyтым bateriom i dziwacznym kluczom od wszystkiego. Zazwyczaj był całkowicie rozładowany i nikt, kto rzuciłby nań okiem, nie postawiłby złamanego grosza, że działa. Babuni jednak wystarczał, choć unikała go niczym diabeł święconej wody. Zabierała telefon ze sobą jedynie w dłuższe podróże, jak pielgrzymka do Lichenia, i wykorzystywała, gdy chciała zrobić komuś na złość. Jak wtedy, gdy zadzwoniła na stacjonarny do ciotki Haliny, podając się za spikerkę RMF FM, i oświadczyła, że ta wygrała dwadzieścia tysięcy. Zacierała potem ręce z zadowolenia i chichotała złośliwie pod nosem, widząc, jak córka puszy się i zadziera nosa w oczekiwaniu na pieniądze, które nigdy nie wpłyną na jej konto.

Zojka parsknęła śmiechem na wspomnienie afery, która

wybuchła, gdy okazało się, kto w rzeczywistości stoi za „wygraną” ciotuni, ale zaraz ponownie skupiła uwagę na niespodziewanym SMS-ie. Podjęła nerwową wędrówkę po pokoju, co chwila zerkając na ekran smartfona. W tym właśnie momencie zastała ją Krystyna. Stawiając na stole kubki z poranną kawą, podejrzliwie przyglądała się nerwowym ruchom córki.

Zojka podetknęła jej telefon pod nos.

– Czy to numer babuni? – zapytała.

– A czyj ma być? Przecież jest podpisany! – zdumiała się Krysia.

Zojka westchnęła, przysiadając na krześle. Odłożyła komórkę i przysunęła sobie kubek. Mieszała w nim mechanicznie, choć do gorącego napoju nie wsypała ani grama cukru.

– Ja tam wolę dopytać. Bo może troska o babunię zwodzi już moje oczy i podsuwa im wyimaginowane obrazy.

– Że co? – Przejęta Krystyna posłała córce spłoszone spojrzenie.

– Że to tylko wyobraźnia – wyjaśniła dziewczyna.

Matka parsknęła śmiechem.

– Od początku ci powtarzamy, że babuni nikt nie porwał i że na pewno jest bezpieczna. Tutaj masz potwierdzenie. – Wskazała na telefon. – Przecież wiesz, że zbyt szczwana jest na tych wszystkich popaprańców!

– Wolałabym, żeby wróciła i pokazała się nam na oczy, a nie odwracała kota ogonem za pomocą SMS-a. – Zojka upiła łyk kawy, krzywiąc się przy tym boleśnie. Matka popchnęła w jej stronę porcelanową cukierniczkę. Dobrze wiedziała, że córka nie znosi gorzkiej kawy. Następnie wskazała leżący na stole telefon.

– Zadzwoń do niej – zaproponowała.

– No przecież! – wykrzyknęła podekscytowana dziewczyna, sięgając po komórkę. Poderwała się zza stołu i zbliżyła do okna,

by złapać lepszy zasięg. Mieszkańcy położonej wśród wzgórz Lipówki nieustannie narzekali na pogarszającą się jakość sygnału sieci komórkowych. W domku na wzgórzu problem ten jednak nie istniał, Zojka mogła korzystać nawet z bezprzewodowego internetu, co przy jej pracy było niezbędne.

Pełna optymizmu wybrała numer babuni, zaraz jednak spojrzała na matkę ze smutkiem.

– Abonent ma wyłączony telefon lub znajduje się poza zasięgiem sieci – powtórzyła ponurym tonem zasłyszana przed momentem regułkę. Krystyna bezradnie rozłożyła ręce.

– Najwyraźniej babunia nie chce, aby jej przeszkadzano. Diabli wiedzą, na co tym razem się porwała. Mogła pojechać na kolejną pielgrzymkę albo do prywatnej kliniki, gdzie wszczepią jej dodatkową wątrobę. Ta kobieta miewa tak dziwaczne pomysły, że nie zdziwiłby mnie nawet kurs chińskiego połączonej z rejsem łodzią podwodną i poławianiem zmutowanych krewetek.

Słyszając tak płomienną przemowę matki, Zojka otworzyła szeroko oczy. Krystyna uśmiechnęła się przepraszająco i zmieniła temat, dopytując, czy przed wyjściem córka zje jakieś śniadanie. Dziewczyna zapewniła, że nie przełknie nic więcej niż kubek słodkiej kawy z mlekiem, ale zgodziła się zabrać ze sobą do redakcji kawałek szarlotki. Szczególnie że na upieczonym przez Krystynę cieście pyszniła się wspaniała kruszonka. Na samą myśl o jej obrywaniu dziewczyna poczuła napływającą do ust ślinkę i oblizwała się łakomie.

Matka i córka ruszyły do kuchni. Krystyna kręciła głową nad niefrasobliwością babuni i zamieszaniem, jakie jej zniknięcie spowodowało na całą rodzinę. Zojka zamierzała wtrącić, że zniknięcie starszej pani przeszło w rodzinie właściwie bez echa, a jedyne, czym przejmowali się krewniacy, to głupie plotki, jednak w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie chciała sprawiać przykrości matce, szczególnie że nieczęsto zdarzało im

się pić razem poranną kawę i tak po prostu spędzać ze sobą czas.

Przed drzwiami prowadzącymi do kuchni Krystyna przystanęła i delikatnie pogładziła Zojkę po policzku.

– Nie wiem, co wydarzyło się wczoraj wieczorem na wzgórzu, córca, ale pamiętaj, że możesz tu zostać, jak długo trzeba. Dopóki babunia nie wróci albo... – zawahała się i zamilkła.

Zojka poklepała matkę po ramieniu.

– Dziękuję, ale myślę, że powinnam tam mieszkać. Muszę zająć się kurczakami. Poza tym nie chcę, by babunia wróciła i zastała pustą, zimną chatkę...

– Babunia na pewno zrozumie. Przecież to tutaj jest twój dom!
– kusiła matka, chwytając za kłamkę.

Zojka niepewnie skinęła głową. Przecież nic się nie stanie, jeśli zostanie pod dachem rodziców jeszcze jedną noc, prawda? Uśmiechając się pod nosem na myśl o szarlotce Krystyny, przekroczyła próg kuchni i stanęła jak wryta. Zerknęła na pobladłą matkę, zaklęła pod nosem i ogarnęła wzrokiem kuchenne pobjowisko.

Szafka pod zlewem była otwarta na oścież, przechowywany w niej kubełek na odpadki został przewrócony, wywleczony na podłogę i doszczętnie splądrowany. Naokoło kuchennego stołu poniewierały się obierki od ziemniaków, wymieszane ze skorupkami od jajek i zużytymi chusteczkami higienicznymi. Papierek po margarynie, rozdrobniony na tysiące malusieńkich kawałeczków, pokrywał nie tylko podłogę ale również siedziska krzeseł. Na tapicerce zostały wyraźne tłuste plamy, a część z nich przybrała takie rozmiary, jakby ktoś usiłował je eliminować wielkim i niekoniecznie czystym językiem. Postrzępione kawałki złotka przyklejone do psich wąsów wyraźnie wskazywały winowajcę, ale wzrok pobladłej Krystyny spoczął na Filipie. Filipie, który zająwszy centralne miejsce na blacie kuchennego stołu, z mrużeniem usiłował rozpracować

jelito po kaszance.

Zojka rzuciła się w kierunku stołu, by ocalić resztkę godności swoich kudłatych towarzyszy. Spóźniła się jednak odrobinę, bo Krysia już złapała pierwszą z brzegu ścierkę i zaczęła ganiać po kuchni całe towarzystwo z gniewnym sapaniem. Spłoszony Burek usiłował schować się między nogami Zojki, przez co straciła równowagę i wyłożyła się jak długa na podłodze. Przy okazji przygniotła biedne zwierzę, które zaniosło się niewyobrażalnym kwikiem, a na dodatek dwa razy dostała ścierką po głowie od zaślepionej złością Krystyny. Kiedy w końcu oszołomiona pozbierała się na nogi, stwierdziła, że Burek czmychnął na podwórko, a przerażony Filip wcisnął się pod zlew, gdzie usiłował dokończyć nielegalną konsumpcję, z marnym skutkiem zresztą. Wydobyła dławiące się zwierzę z szafki, z trudem wyrwała jelito z pyszczka i pobladła odwróciła się ku zmęczonej Krystynie. Kobieta odrzuciła ścierkę na zabrudzony blat, przetarła wilgotne czoło i wysapała z trudem:

– To jak mówisz? Że kurczaków musisz doglądać i wolisz u babuni jednak? A to ja cię, córcia, nie zatrzymuję, jak mus to mus!

Niezatrzymywana przez nikogo, pokrzepiona perspektywą drugiego śniadania z szarlotką i jej kruszonką oraz obarczona wciąż lekko zdezorientowanymi zwierzętami, Zojka wdrapała się na wzgórze. Naturalnie zanim opuściła rodzinny dom, pomogła doprowadzić kuchnię do porządku, choć Krystyna opędzała się od niej jak od natrętnej muchy, popatrując groźnie na Burka i Filipa. W końcu podłoga lśniła, kosz na odpadki uzupełniony o nowy worek spoczął w szafce pod zlewem, a kraciasta ściereczka straciła rangę niebezpiecznej broni i wróciła na swoje stałe miejsce na wieszaku przy kuchence gazowej.

Wędrując drogą w wąwozie, dziewczyna rozmyślała o wiadomości od babuni Łyczakowej. W jej głowie kłębiły się dziesiątki różnych myśli. Oczywiście cieszyło ją, że staruszka jest bezpieczna, ale równocześnie nurtowało, dlaczego odezwała się właśnie teraz, a wcześniej zniknęła, nie pozostawiając słówka wyjaśnienia? I na dodatek zaraz po wysłaniu wiadomości wyłączyła telefon? Nie chciała, by jej przeszkadzano, czy może obawiała się, że bliscy spróbują sprowadzić ją do domu? Zojka westchnęła głęboko. Coś nie dawało jej spokoju. Coś związanego z tym durnym SMS-em. Ale co?

Kiedy potknęła się o wystający korzeń dębu, stwierdziła, że jak na razie powinna skupić się na drodze i bezpiecznie dotrzeć na miejsce – szczególnie że przytulony do jej piersi Filip zaczynał się już niecierpliwić i ostrymi jak szpileczki pazurami dawał znać, co sądzi o zastosowanej przez opiekunkę metodzie transportu. Zojka sapnęła zniecierpliwiona i postraszyła kocura, że następnym razem kupi mu szelki. Różowe, w serduszka i ozdobione ręcznie dzierganą koronką. Filip miauknął żałośnie i zaparł się łapami o klatkę piersiową opiekunki. A ponieważ i tak wkroczyła na ścieżkę prowadzącą z wąwozu do domku babuni Łyczakowej, wypuściła rudzielca i patrzyła, jak znika za węglem budynku, sadząc dzikie susy.

Po mglistym wieczorze nadszedł rześki, słoneczny poranek. W niższych partiach Lipówki wciąż snuły się pasma mgły, ale na wzgórzu zniknęły już całkowicie. Zojka obrzuciła spojrzeniem drzewa porastające ogród, lśniący od wilgoci trawnik i wydeptaną dróżkę. W świetle dnia miejsce to było przyjazne i niegroźne. Ruszyła dalej. Ścieżkę wysypano korą drzewną, ale tuż przed schodami prowadzącymi na ganek zawsze zbierała się błotnista woda. To właśnie w tę kałużę Zojka poleciała na łeb na szyję, gdy starała się bezszelestnie przemknąć pod drzwiami.

Dziewczyna wspięła się na ganek, mocno zaciskając palce na uchwycie Burkowej smyczy, i nerwowo zaczęła przetrząsać listonoszkę w poszukiwaniu klucza. Na myśl, że za moment wejdzie do domu, który prawdopodobnie został nawiedzony przez jakiegoś szubrawca, czuła, jak unoszą się jej włoski na karku.

Nagle zamarła w bezruchu. Skoro babunia Łyczakowa była bezpieczna, pisała uspokajające SMS-y i nikt nie przetrzymywał jej w niewoli w celu wyciągnięcia z niej ostatniej pięciogroszówki, to co wydarzyło się w domku na wzgórzu poprzedniego wieczoru? Kto czaił się w mroku? A może wszystko było tylko wytworem wyobraźni podsycanej mlecznymi oparami mgły i atmosferą niczym z horroru Stephen Kinga, jak twierdził Kordecki?

Zojka rozejrzała się po ganku i parsknęła śmiechem. Klucz leżał sobie w najlepsze na zdeptanych deskach ganku. W nerwach nawet nie przeszło jej przez myśl, że podnosząc doniczkę z pelargonią, mogła stracić go z parapetu! I był tam cały czas, gdy ona ukrywała się w kącie między krzesłem a balustradą, z doniczką w ramionach i obłędem w oczach. I potem, gdy Kordecki i sołtys przetrząsali podwórko, robiąc przy tym więcej hałasu niż kibice w najlepszych latach Adama Małysza!

Rozbawiona Zojka zgarnęła klucz z podłogi i bez dalszych ceregieli weszła do środka. Wygłodniały Burek pognał do miski, a dziewczyna pospieszyła do sypialni babuni, aby na powrót uchylić okno. Sprawdziła, czy zwierzęta mają wodę i chrupki, skontrolowała, czy wszystkie kuchenne szafki są domknięte i czy w naprędce wyczyszczonej listonoszce ma to, czego potrzebuje, by jechać do pracy. Na koniec cmoknęła przyjaźnie w kierunku pałaszującego chrupki psa i pognała na pociąg. Błotnistego śladu na progu pokoju babuni Łyczakowej nie dostrzegła.

Aspirant Paweł Chochołek siedział zachmurzony za biurkiem i przeglądał papiery zaścielające jego powierzchnię. Ponury nastrój policjanta wynikał po części z telefonu Zojki Tuszyńskiej, która powiadomiła go o wiadomości od babuni Łyczakowej, ale jego głowę zaprzętały także inne rzeczy. Stróż prawa odłożył na kupkę kolejny przeglądany raport i mocnym szarpnięciem uchylił szufladę biurka, a następnie spośród niezliczonych szpargałów wydobył pęknięte lustro. Rzucił w nie okiem i jęknął żałośnie.

Od kiedy skontaktowała się z nim panna Monika, Chochołek rozmyślał tylko o planowanej randce. Nie mógł skupić się na pracy, bujał w obłokach i robił rzeczy zupełnie do niego niepasujące. Jak choćby dziś rano: nazwał kanarka Kleofasa Kleksem, aż żółty ptaszek zatrzepotał skrzydełkami z oburzenia. No i zalał sobie herbatę zimną wodą i wypił ją, zanim zdążył spostrzec, że smakuje jakoś dziwnie. A na przejściu dla pieszych przed komendą odruchowo pogłaskał czyjś psa i musiał ratować się ucieczką, by nie stracić ręki. A do tego...

Aspirant Paweł Chochołek westchnął głośno i przekrzywił głowę raz w lewo i raz w prawo. Tak bardzo stresował się umówionym spotkaniem, że postanowił się do niego dobrze przygotować. Przez pół nocy obmyślał, o czym będzie rozmawiał z panną Moniką, by zrobić na niej jak najkorzystniejsze wrażenie. O czwartej z minutami wstał, by jeszcze raz przymierzyć wybrany strój i sprawdzić, czy błękitna koszula na pewno pasuje do czerwonego krawata w szare prążki. I właśnie wtedy, wystrojony w nową koszulę, ze starannie zaciśniętym węzłem krawata, spojrzawszy w lustro, zdmuchnął z czoła grzywkę i pomyślał, że przydałaby się jeszcze jedna wizyta u fryzjera, bo jego obecna fryzura sprawiała wrażenie niedzisiejszej.

Niecierpliwie oczekiwał ranka, a gdy tylko nadeszła godzina otwarcia salonu fryzjerskiego, w którym zawsze podcinał snopkowatą czuprynę, pognał zrealizować swój zamiar. Zadowolony rozsiadł się w fotelu i przymknął powieki w poczuciu, że jest w dobrych rękach. I tak z pewnością było, bo któż mógł wiedzieć, że gdy fryzjer zbliży się z maszynką do głowy Chochołka, aby podgolić mu baczki, na ulicy wystrzeli gaźnik? Ręka drgnęła, maszynka również, a Chochołek stracił nie tylko pół grzywki, ale i prawą brew!

Zapanowało ogromne poruszenie, pan Wiesio miotał się po salonie, przepaszając swojego wiernego klienta, który poblady ze zgrozy wpatrywał się w lustro i w zupełnie nową twarz. Paradoksalnie zyskał młodzieżową fryzurę z jednym bokiem finezyjnie podgolonym, drugim zdecydowanie przydługim. Jeszcze w wygoloną brew wpiąć kolczyk, wygrzebać z pudła w piwnicy starą ramoneskę po stryju Tadeuszu i gotowe! Chochołek jęczał na fotelu tak boleśnie, że pan Wiesio czym prędzej zaproponował szklankę wody z kropelką czegoś mocniejszego, ewentualnie zgolenie drugiej brwi i makijaż permanentny w salonie kosmetycznym naprzeciwno. Lub brązowy zakreślacz, bo czarny to aspirantowi do karnacji nie pasuje...

Paweł Chochołek rzucił ostatnie spojrzenie w lusterko i wrzucił je do szuflady. Zniechęcony pochylił się nad rozrzuconymi dokumentami.

Był niebywałym pechowcem. Nie dość, że w dniu arcyważnego spotkania stracił brew i pół czupryny (a do czupryny aspirant był przywiązany wybitnie), to jeszcze śledztwo dotyczące naciągaczy matrymonialnych stało w miejscu! SMS od babuni Łyczakowej też wszystko komplikował. Oczywiście aspirant cieszył się, że Zofia jest bezpieczna i że raczyła o tym poinformować swoich bliskich, ale obawiał się, że Adam Bryczka uzna to za pretekst do zamknięcia dochodzenia

w sprawie agencji matrymonialnej. Z której usług, bądź co bądź, korzystał również sam Chochołek. Pod postrzępioną resztką grzywki aspirantowi kołatało coś o konflikcie interesów, ale był zbyt przygnębiony, by się tym przejąć. Za to po raz kolejny wyszarpnął szufladę, odszukał lusterko, skontrolował stan fryzury i zapłakał. A potem zerknął na zegar, zerwał się z biurka i pognął na plac handlowy. Może kupi jakiś kaszkiet?

Powracająca z redakcji Zojka dostrzegła na ganku kobietą postać. Jej serce fiknęło radosnego koziołka, ale w tej samej chwili rozpoznała Guzikową. Stara Leośka rozsiadła się w drewnianym krześle niczym królowa angielska na tronie. Na balustradzie przysiadł Filip i nie spuszczał z niej oka, kołysząc delikatnie rudym, pręgowanym ogonem. Zza drzwi dobiegało nerwowe popiskiwanie Burka.

Tuszyńska odgoniła uczucie rozczarowania i powitała sąsiadkę słabym uśmiechem. Potem wydobyła z torebki klucz i wypuściła psa. Burek pognął między krzaki porzeczek, by załatwić sprawy fizjologiczne i skontrolować, jakie bezczelne zwierzęta zdecydowały się przemaszerować przez ogród podczas jego przymusowej nieobecności, zostawiając po sobie bukiet nęcących zapachów. Zojka odprowadziła go wzrokiem, a następnie przysiadła na balustradzie obok Filipa i spojrzała na sąsiadkę.

– Co słyhać? – zagaiła uprzejmie.

Guzikowa posłała jej poirytowane spojrzenie.

– Przecie to ja przyszłam spytać, co słyhać. Co z babcią? Znaleźli ją?

Zojka kiwnęła mechanicznie głową. Stara Leośka zachłysnęła się powietrzem.

– Jezus Maryja! Gdzie? Pewnie nad stawem? Przy młynie?

W Kieczance? – dopytywała zaaferowana.

Zojka pojęła swoją pomyłkę i natychmiast zaczęła ją prostować:

– Nie, nie, nie! Nie zrozumiała mnie pani! Policja nie znalazła zwłok babuni Łyczakowej!

– No, tak właśnie mówiłam, że oni niezdolni. To kto ją znalazł? – zapytała nieufnie staruszka.

– Nikt! Babunia sama się odnalazła.

– To gdzie jest teraz? – Guzikowa rozejrzała się niepewnie po ganku. Nagle nachyliła się w kierunku dziewczyny i szepnęła zduszonym głosem. – W szpitalu pewnie?

– Nie! – Zojka zaśmiała się nerwowo.

– No więc gdzie?

– Nie wiem.

– A kto wie?

– Nikt nie wie.

– No to jak się odnalazła? – prychnęła podirytowana Leośka, która zwietrzyła już idealny temat do ploteczek podczas porannych zakupów w delikatesach, a teraz zrozumiała, że ten się jej wymyka. Nagle poczerwieniała i uśmiechnęła się porozumiewawczo do Zojki. – Aaaa, już wiem! Program ochrony świadków!

– C-co? – zdumiała się dziewczyna. – Nie! Nie chodzi o żaden program!

– No przecie nie musisz zaprzeczać, ja nikomu nie pisnę słóweczkiem. Oglądałam w telewizji film i wiem, jakie to ważne, żeby takiego świadka dobrze ukryć. Tak dobrze, coby go ani łotry, ani najbliższa rodzina nie znalazła. – Wykręconym przez artretyzm palcem pokazała, że usta ma zamknięte na kłódkę.

Na moment zapadła cisza. Guzikowa trawiła zasłyszane informacje, a Zojka usiłowała dojść do siebie i wymyślić, co sąsiadce zdradzić. Było to niebagatelny wyzwanie, zważywszy na fakt, że przekazane informacje następnego dnia

miały trafić na języki całej wsi. Tymczasem na ganek powrócił zziębnięty Burek. Zojka targała kudłate futerko psiaka, czemu sąsiadka przyglądała się ze skwaszoną miną.

– Czyli jednak mafia paliwowa... – mruknęła do siebie.

Zojka parsknęła śmiechem i czym prędzej wyjawiała starszej pani całą prawdę związaną z SMS-em od babuni Łyczakowej. Lepiej, by się po wsi rozniosła plotka, że Zofia wyjechała na spóźnione wczasy pod gruszą, niż dziwaczne historie o świadkach koronnych, kokainie, mafii i handlu organami. Kiedy skończyła swoją opowieść, wieńcząc ją radosnym uśmiechem, Stara Leośka spojrzała na nią z politowaniem i zapytała:

– I tyś w to uwierzyła?

– No... – zawahała się Zojka.

– A za taką mądrą cię mają... – Starsza pani westchnęła z politowaniem.

Tuszyńska poczuła się dziwnie. Po pierwsze: jej samej też coś nie pasowało, ale nie wiedziała co. A skoro i tak nie wiedziała, postanowiła cieszyć się tym, że staruszka w ogóle zdecydowała się odezwać i dać znać, że żyje. A po drugie: miała wrażenie, że tym ostatnim zdaniem Guzikowa chciała jej jakoś uchybić. Spojrzała więc na sąsiadkę pytająco.

– Przecie Zośka nie umi pisać sesemesów.

– Esemesów – odruchowo poprawiła sąsiadkę Zojka.

– To te z rysunkami? Też nie umi. – Stara Leośka wzruszyła ramionami.

– Może się nauczyła? – Młoda kobieta zeskoczyła z balustrady i podjęła nerwową wędrówkę po ganku: tam i z powrotem, tam i z powrotem, aż w końcu zawisała nad Guzikową i utkwiała w niej zrozpaczone spojrzenie. – Może ktoś za nią napisał?

– Może. – Sąsiadka skinęła głową, jednak nie wyglądała na przekonaną. – Ale przecie sama dobrze wiesz, jak się ciska, kiedy ruszyć jej rzeczy! Raz tu przyszłam pożyczyć kopaczkę,

a że nie było jej w domu, wlałam do szopy i sama zabrałam. Gdy wróciłam po dwóch godzinach, obrzuciła mnie jajami i wyzwiskami. Do dziś mi się te zmarnowane jajka śnią! Myślisz, że dobrowolnie oddała komuś telefon? – prychnęła.

– Nie – przyznała Zojka, opadając bez sił na zabłocone stopnie ganku i kryjąc pobladłą twarz w dłoniach.

Dobry nastrój związany z poranną wiadomością od babuni prysnął jak bańka mydlana. Zastąpił go strach, który obejmował klatkę piersiową żelazną obręczą i ścisnął z całych sił. Nie dość, że starsza pani zaginęła, to jeszcze trafiła w ręce szaleńca, który mamił rodzinę i usiłował odwieść ją od poszukiwań. Co dalej? Przyśle żądanie okupu? A może pod osłoną nocy włamie się do domku na wzgórzu, splądruje jego wnętrza, kradnąc wszystko, co ma jakąś wartość albo chociaż prezencję, a ją, Zojkę, zamknie w piwnicy wraz ze zwierzakami i skaże na śmierć głodową?

Zojka głośno przełknęła ślinę i sięgnęła do torebki po smartfona.

– Co robisz? – zaskrzeczała Guzikowa.

– Dzwonię na policję.

Numer Chochołka nie odpowiadał. Zojka nie miała pojęcia, że spocony z emocji aspirant znajduje się właśnie w kwiaciarni przy rogu Lwowskiej i Legionów, gdzie usiłuje dokonać wyboru między bukietem klasycznych róż na długich łądyżkach a wiązanką frezji w otoczce egzotycznych roślin i asparagusa. Gdyby wiedziała, z pewnością przeklełaby matrymonialne zapędy stróża prawa, a tak to tylko spojrzała żałośnie na sąsiadkę i zaczęła skubać lewe ucho. Guzikowa zapytała, o co chodzi.

– Nie zamierzam spać tu dzisiaj sama – jęczała Tuszyńska, zrywając się na nogi i na nowo podejmując wędrówkę po ganku.

– Jestem pewna, że ten psychopata tylko czeka, żeby się włamać i obrabować domek.

– W takim razie idź do rodziców.
– Nałożyli embargo na zwierzęta.
– No to może do wujostwa?
– Zosia mnie nienawidzi. Uważa, że bojkotuję jej związek z sołtysem.

– A do stodoły...?

Zojka przez ramię rzuciła sąsiadce oburzone spojrzenie.

– Wiem, przecie możesz spać u mnie! – zaproponowała wspaniałomyślnie Guzikowa.

Zojka zatrzymała się w pół kroku i z namysłem spojrzała na Pietrkową. Starsza pani żuła źdźbło trawy, a porośnięta włosami brodawka na jej brodzie poruszała się rytmicznie to w górę, to w dół. Tuszyńska poczuła, jak po plecach spływa jej lodowaty strumyczek potu. Koszmary z dzieciństwa wracały do niej kaskadą wspomnień. Zojką wstrząsnął dreszcz. Na powrót sięgnęła po komórkę.

– Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. Dam sobie radę – zawołała pozornie lekkim tonem.

Pod świdrującym spojrzeniem starszej pani uruchomiła zakładkę z kontaktami i najechała palcem na literę K.

• ROZDZIAŁ JEDENASTY •

O piątej dwie na wpół przebudzony redaktor Marcin Kordecki podjął próbę przewrócenia się na drugi bok, ale niespodziewanie napotkał przeszkodę w postaci dziwnego ciężaru na piersi. Nie poddał się jednak i pociągnął mocniej okrycie, z zadowoleniem stwierdzając, że ciężar traci na sile. Na twarzy redaktora pojawił się wyraz błogiego rozleniwienia. Wszystko za sprawą przyjemnego snu, jaki nawiedził mężczyznę nad ranem.

Śniła mu się piękna rudowłosa dziewczyna patrząca na niego figlarnie zielonymi oczyma. Wyciągała w jego kierunku dłonie, gładziła delikatnie po policzku, a potem znikwała. Rozczarowanie redaktora nie trwało jednak długo, ponieważ zjawiała się kolejna ślicznotka. Ta dla odmiany była szatynką i całowała go w nos. Kordecki westchnął, żałując, że przyjemny sen tak szybko dobiegł końca, ale w tej samej chwili rudowłosa powróciła i ponownie zaczęła głaskać go po policzku. Tyle że jej ręce również stały się rude... A na dodatek były zakończone ostrymi pazurami!

Kordecki otworzył szeroko oczy i spojrzał wprost w roziskrzone źrenice Filipa. Kocur siedział na jego piersi, mrucząc z zadowolenia i wyciągając w jego stronę to jedną, to drugą łapkę. Właśnie przyciskał miękką poduszczkę do lewego

oka redaktora, kiedy ten doszedł do wniosku, że dość tej zabawy. Zdecydowanym ruchem szarpnął kołdrę, przekręcając się na prawy bok, i zamarł z szeroko otwartymi oczyma.

Przy łóżku siedział zadowolony z siebie Burek, zamiatając szaroburym, kudłatym ogonem po deskach podłogi i oblizując się zapamiętale. Spoglądał na redaktora z wyraźną sympatią i jakimś dziwnym oczekiwaniem w złocistych ślepiach. Dopiero teraz Kordecki poczuł lepką wilgoć na brodzie, policzkach i nosie, pojmując istotę swego snu. Dom wariatów, warknął pod nosem, gramoląc się z łóżka i udając, że nie widzi spojrzeń oblegających go zwierząt. Na bosaka poczłapał do kuchni. Buro-ruda procesja sunęła za nim i zakotwiczyła przy drzwiczkach lodówki.

Kordecki usiadł za stołem i wypił duszkiem zimną herbatę pozostałą z kolacji. Po raz kolejny podano mu ją w kubku z napisem „Przystojniak miesiąca” i teraz wpatrując się w wyszczerzone oblicze szympansa, rozmyślał, jaki tytuł mógłby nadać młodej dziennikarce.

Wariatka miesiąca? Pechowiec miesiąca? Katastrofa miesiąca?

Jego stosunek do panny Tuszyńskiej miał charakter cokolwiek ambiwalentny, a mimo to zgodził się na tę farsę. Kiedy zadzwoniła i w charakterystyczny dla siebie, bezpośredni sposób zaproponowała wspólną noc, zakrztusił się jabłkiem, które właśnie przekąsał. Następnie chciał zaśmiać się w głos, powiedzieć dosadnie, co sądzi o jej pomysle, i nadmienić gdzie ewentualnie może go pocałować. Zamiast tego spakował potrzebne drobiazgi i ubranie na zmianę, posprawdzał okna i butlę z gazem, po czym przyjechał do Lipówki, gdzie Zojka wprowadziła go w najnowsze szczegóły sprawy. Stwierdził, że od znikania, pojawiania i ponownego znikania babuni Łyczakowej już kręci mu się w głowie. Musiał też przyznać, że to wszystko wygląda coraz bardziej niepokojąco, ale nie podzielił się swoimi

obawami z Tuszyńską, która wyglądała na tak przerażoną, jakby szykowała się na noc z upiornym bohaterem Brama Stokera.

Po kolacji spożywanej w milczeniu pod obstrzałem zwierzęcych spojrzeń, w asyście psiego mlaskania i kociego żalostnego miauczenia, zapytał, dlaczego zadzwoniła właśnie do niego. Zojka ożywiła się wówczas nieznacznie i z dziwnym błyskiem w oku przyznała, że miała zadzwonić do Janka, ale palec się jej omsknął. Omsknął się jej! Kordecki ani trochę nie wierzył w to zapewnienie, ale i tak rzucił zgryźliwie, że całe szczęście omsknął się tylko o jedną literkę, bo gdyby zatrzymał się na em... A wtedy ta szalona baba cisnęła w niego parówką!

Co prawda twierdziła potem, że rzucała do Burka i nie trafiła, bo ma problemy z obraniem właściwego kierunku, ale i tak jej wygarnął! Wieczór zakończył się awanturą, w trakcie której zarzucił jej, że jest niezrównoważona psychicznie. Ona zrewanżowała się dziwaczną uwagą, że za to on gustuje w obsranych wróblach. Cokolwiek to miało znaczyć.

Kordecki dopił zimną herbatę i rozejrzał się po kuchni, świadomie omijając wzrokiem okolice lodówki i żałośnie spoglądające nań zwierzęta. Noc minęła spokojnie i nic nie wskazywało na to, że panna Tuszyńska potrzebuje bodyguarda na kolejną. On, w każdym razie, nie zamierzał się w niego wcielać. Przynajmniej dopóki nie przestanie go szczypać oko, w które dostał blad różowym wałeczkiem uformowanym z mięsa z dodatkiem glutaminianu sodu.

Przetarł powiekę i wstał, by odnieść brudny kubek do zlewu. Przy okazji rzucił okiem na wyszczerzonego szympansa i zadowolony stwierdził, że już wie, jakie określenie najlepiej pasuje do Zojki.

Kłątwa miesiąca, ot co!

I nie omieszka jej tego powiedzieć!

Rozbawiony swoją pomysłowością, zerknął na zegar

i stwierdził, że najwyższa pora zażyć porannej toalety i naciągnąć jakieś spodnie. Ruszył w kierunku pokoju babuni Łyczakowej, w którym przydzielono mu łóżko, jednak ledwie znalazł się w sieni, zarejestrował podejrzone hałasy na ganku. Nie namyślając się długo, złapał stojącą w kącie miotłę, przekręcił klucz w zamku i mocnym szarpnięciem otworzył drzwi.

Trudno powiedzieć, kto był bardziej zaskoczony: Kordecki na widok ojca Zojki z groźnie połyskującą siekierą w ręku czy Kazimierz Tuszyński, widząc w progu domu swojej matki fircyka z trzonkiem od miotły w garści, bezradnie popatrującego to na srebrzyste ostrze, to na opinające biodra bokserki z wymownym hasłem „Mastersex” na prawej nogawce.

Na kartach ponad dwudziestoletniej historii „Kroniki Wadowickiej” zapisało się kilka kobiet, ale nazwiska dwóch z nich były tak wyraźne, jakby namalowano je farbą fluorescencyjną. Arleta Kulik nienawidziła obu z całego serca.

Pierwszą była Iga Kozłowska. Rezolutna zastępczyni Kordeckiego spędziła w redakcji ponad sześć lat, zdobywając doświadczenie i szacunek współpracowników. Gdy w sierpniu tego roku odchodziła z gazety, by przygotować się do roli matki, Arleta skakała z radości. Kilka dni wspólnej pracy wykorzystała na obserwowanie Igi. Zauważyła, jak dużym zaufaniem cieszy się ona u szefa, i oczyma wyobraźni widziała siebie na jej miejscu. Zatrudniano ją przecież z myślą o wakacie po Kozłowskiej, czyż nie? Szybko jednak musiała przełknąć gorycz pierwszej porażki, bo zastępcą Kordeckiego mianowano Karola Różalskiego, a redaktor nie polegał na niej tak, jak by sobie tego życzyła. A życzyła sobie bardzo. W pracy, a najlepiej po również. Na dodatek na każdym kroku słyszała: „A Iga to, a Iga tamto, a Iga sramto”. Nic więc dziwnego, że ambitna i cokolwiek

zauroczona dziewczyna na myśl o snującym się za nią cieniu Igi Kozłowskiej wręcz dostawała dreszczy.

Druga kobieta była znacznie gorsza...

Kiedy Arleta zjawiła się w redakcji „Kroniki Wadowickiej”, przydzielono jej jedyne wolne biurko, jakie stało w pokoju. Natychmiast została uświadomiona, kto przy nim pracował i jaką rolę odegrał w historii wadowickiego tygodnika. Co zadziwiające: ci sami dziennikarze, którzy z taką nieufnością traktowali Zojkę, teraz uznawali ją niemal za szczęśliwą maskotkę redakcji i z ożywieniem opowiadali nowej koleżance, jak odważna okazała się Tuszyńska w zetknięciu z morderczynią. Arleta stwierdziła, że już lepsze byłoby biurko po Klaudii niż po świętej Zofii od kłopotów, ale zaraz po aresztowaniu dziennikarki Kordecki polecił wynieść mebel do piwnicy i postawił w jego miejscu ohydny sztuczny kaktus. Kaktus kwitł kawałkiem sztucznego tworzywa w kolorze głębokiej czerwieni, a w redakcji kwitła legenda Tuszyńskiej. Opowieści były tak barwne, emocjonujące i pełne podziwu dla Zojki, że Arleta z miejsca poczuła do niej niechęć. Pielęgnowała w sobie to uczucie, a ono podlewane wspomnieniami kolegów pęczniało i dojrzewało, by przekształcić się w palącą nienawiść.

Oliwy do ognia dołała sama Zojka, wyśmiewając jej tatuaż.

Tego ślicznego, słodkiego koliberka, którego Arleta wybierała ponad tydzień, budząc się po nocach z przejęcia i gryząc paznokcie do krwi. Wyszedł cudowny, jak żywy, trzepotał skrzydełkami nad jej kostką, filuternie świecił czarnym koralikiem oka. Nie jego wina, że na skórze – dokładnie pod ogonem! – ona miała pieprzyk! Który niewprawione oko mogło wziąć za...

Arleta była dumna ze swojego tatuażu i zawsze eksponowała go, gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja.

Ale od pamiętnego spotkania w urzędzie miasta nosiła

wyłącznie kryjące rajstopy.

Tego dnia tuż przed wyjściem z domu dostrzegła w nich oczko. Przetrzęsła wszystkie zakamarki szuflad, szafek i szaf. Z rozpaczą poszukiwała pary, którą mogłaby naciągnąć na swe długie, zgrabne nogi. Posunęła się do tego, że z kosza na brudną bieliznę wydobyła rajstopy zdjęte dnia poprzedniego i krytycznie je obwąchała. W końcu zniechęcona sięgnęła po legginsy, wciągnęła je i wściekła na cały świat pobiegła do pracy. Siedząc w redakcji, co rusz zerkała na przykrótką nogawkę, spod której wystawał czubek ptasiego ogona. I nieduża kropeczka pod nim.

Wściekła Arleta rozważała właśnie, czy nie zamalować feralnego znamienia podkładem do twarzy, gdy nad jej biurkiem pochylił się Kordecki.

– Pójdiesz ze mną do miasta – obwieścił.

Uradowana Arleta szybko poprawiła makijaż, zebrała potrzebne drobiazgi i obciągnęła nogawki legginsów. Chwilę później dreptała obok redaktora, usiłując dotrzymać mu kroku na swoich wysokich obcasach. Wszystko wskazywało na to, że uśmiechnęło się do niej szczęście. Wspólnie poszli do Pestki, gdzie Kordecki umówił się z nowym reklamodawcą. Arleta była tak uszczęśliwiona towarzystwem szefa, że nie przeszkadzała jej nawet rola sekretarki przypisana przez grubiańskiego mężczyznę w kosmatym pulowerze, który czekał na nich przy zamówionym stoliku.

Kiedy kontrahent wyszedł, Arleta uniosła się z krzesła, ale Kordecki machnął ręką.

– Chyba możemy wypić kawę? – zaproponował z uśmiechem.

Rozpromieniona kobieta ponownie zajęła siedzisko i z wdzięcznością przyjęła filiżankę rozgrzewającego napoju. Przedpołudnie było chłodne, a ona, cóż, poświęcała się dla urody i marzyła w szpilkach i krótkim, dopasowanym płaszczku. Dyskretnie roztarła ramiona i wykorzystała

moment zamyślenia redaktora, by przyjrzeć się mu dokładniej. Był wyjątkowo pociągającym mężczyzną i bardzo jej się podobał. Miała nadzieję, że wkrótce ich relacje się zacieśnią. Dzisiejsza kawa mogła okazać się dobrym początkiem. Szkoda, że popijając aromatyczny napój, Kordecki bujał w obłokach i nie poświęcał jej grama uwagi...

Uśmiechnęła się przyjaźnie do szefa i zauważyła z troską, że jest jakiś zamyślony. Kordecki potarł ręką szorstki policzek i posłał jej zmęczone spojrzenie.

– Miałem ciężki poranek – mruknął ponuro.

– Możesz się wygadać... – rzekła zachęcająco i filuternie nakręciła na palec jasne pasmo. To zawsze skutkowało. Mężczyźni nie potrafili oderwać wzroku od długich, lśniących włosów. Ale ku jej rozczarowaniu na redaktora to nie działało. Westchnął, pokręcił głową, zerknął na zegarek, osuszył filiżankę jednym haustem i wstał. Zawiedziona Arleta odsunęła kawę, podniosła się i pozwoliła narzucić sobie na ramiona okrycie. Z kwaśną miną wyszła za Kordeckim na ulicę, pocieszając się, że przecież to dopiero początek...

Ale limit szczęścia przyznany na ten dzień pannie Kulik został wyczerpany. Zrozumiała to, gdy zobaczyła młodą kobietę pędzącą Zatorską z rozwianym włosiem i zarumienionymi z wysiłku policzkami. Arleta udawała, że jej nie widzi, ale Tuszyńska skinęła głową i złapała Kordeckiego za ramię.

– Spotkamy się o szesnastej na rynku, dobra? I kup jakieś bułki na kolację, bo ja mam napięte popołudnie – rzuciła na wydechu. I już jej nie było.

Arleta wybałuszyła oczy i posłała redaktorowi wstrząśnięte spojrzenie. Kordecki odchrząknął i zakłopotany podrapał się po brodzie.

– To była... – wydukał. – Pamiętasz...

– Nasza redakcyjna katastrofa – zaćwierkała pozornie wesołym tonem Arleta.

- Dokładnie tak - przyznał Kordecki. Rzucił wzrokiem za Zojką, ale ta zdążyła już zniknąć w przylegającej do Zatorskiej uliczce. Arleta bez słowa obserwowała szefa i dusiła się z wściekłości. Życzyła Zojce z całego serca, by ta udławiła się kawałkiem bułki dostarczonej przez redaktora i zapadła w stuletni sen.

Zojka oczekiwała na Kordeckiego na rynku, dla rozgrzewki kręcąc się to tu, to tam. Sklep z torebkami z oczywistych względów ominęła szerokim łukiem, obejrzała za to wystawę pasmanterii, sklepu odzieżowego i zabawkowego. Okręciła się wokół drewnianego kiosku z prasą i podjęła wędrówkę w drugą stronę. Nagle stanęła jak wryta. Przed pobliską restauracją dostrzegła Norkowską. Właścicielka biura matrymonialnego „Do Zakochania Jeden Rok” rozmawiała przez komórkę i wyglądała na silnie wzburzoną.

- Czekam! - stanowcze polecenie poniosło się po wyludnionym placu, odbiło od kiosku i dotarło do Tuszyńskiej, która poczuła nagłą ekscytację. Gdy kobieta zniknęła we wnętrzu Karczmy Paradise, Zojka podbiegła do drzwi i zajrzała do środka.

W tej samej chwili za jej plecami zmaterializował się redaktor. W dłoni ścisnął niebieską jednorazówkę z bułkami.

- Trzy grahamki - obwieścił z miną samca, który upolował ostatniego mamuta na Ziemi. - Możemy jechać.

- Ciii... - Zojka nie zaszczyciła go spojrzeniem. Z zapamiętaniem wpatrywała się w szklaną taflę. Kordecki odchrząknął, jakby chciał przypomnieć o swoim istnieniu, i dopiero wtedy popatrzyła na niego nieprzytomnie. - Musimy wejść do środka.

- Co? - Zdumiony mężczyzna wytrzeszczył oczy. - Teraz? Do restauracji? Ale ja kupiłem grahamki!

– I bardzo dobrze, dostaniesz je na kolację. O ile Burek ci jedną odstąpi. A teraz spójrz! – Wskazała mu witrynę, za którą rozciągały się przytulne boksy i stoliki. A ponieważ nie reagował i tylko wgapiał się w szybę, przydeptała mu stopę i wskazała jeden ciemny kąt. – To Norkowska!

– To Norkowska – zgodził się skrzywiony Kordecki. – I co w związku z tym?

– Musimy tam wejść!

– Chcesz ją nagabywać? – przeraził się. – Tak w restauracji? I przy ludziach?

– Pustki są – mruknęła Zojka. Zaraz jednak posłała redaktorowi zirytowane spojrzenie. – Nie zamierzam urządzać awantur...

– I bardzo dobrze, bo ja do tego ręki nie...

– ...a przynajmniej nie od razu.

Kordecki zgromił Zojkę wściekłym spojrzeniem.

– Ty jesteś nienormalna – parsknął jak wściekły byk. – Nic dziwnego, że kłopoty lgną do ciebie jak kocie futro do ubrania.

– Dlaczego wspominasz o kocim futrze? – zdumiała się Zojka. Nie czekając na odpowiedź, cichutko zabębniła palcami w szybę i dodała: – Nie, ja po prostu sobie przycupnę w kąciку i będę ją obserwować. Spójrz, wygląda, jakby na kogoś czekała. Chcę wiedzieć na kogo. Nie zapominaj, że sprawa aspiranta wiąże się z agencją, a agencja wiąże się z babunią!

– Sprawa aspiranta interesuje mnie w stopniu marginalnym! – burknął Kordecki, potrząsając i szeleszcząc reklamówką.

Zojka skrzywiła się z niesmakiem i wyrwała mu torbę z bułkami. Przez moment rozważała, czy zdzielić nią mężczyznę przez łeb.

– Jeśli nie chcesz pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzaj. Posiedź w samochodzie, poczytaj gazetę albo posłuchaj walkmana – sarknęła.

– Walkmana? – zdumiał się redaktor.

– Dla takiego starego piernika jak ty będzie idealny!

Zojka wepchnęła mu siatkę z powrotem do dłoni, szarpnęła za klamkę i w jednej chwili znalazła się we wnętrzu restauracji. Osłupiały Kordecki został przed wejściem, z luźno opuszczonymi rękoma i niebieską jednorazówką majtającą się przy kolanach. Z lekko uchylonymi ustami obserwował, jak Tuszyńska sunie między stolikami, jak zniża się, by przemknąć niezauważona obok kontuaru, za którym krząta się młoda kelnerka, i w końcu dopada miejsca na uboczu. W ostatniej chwili odwróciła lekko głowę i posłała mu triumfalny uśmiezek. Kordecki zaklął szpetnie i sięgnął do klamki.

Pierwszy kwadrans obserwacji nie przyniósł żadnych ciekawych odkryć poza tym, że Zojka nie ma przy sobie portfela. Zirytowany Kordecki wzniósł oczy do nieba.

– No oczywiście! Pchać się do restauracji, to pierwsza! Ale zabrać ze sobą portfel, to już nie ma pani! Ciekawe, co byś zrobiła, gdybym tu za tobą nie wszedł, a przyszłoby do płacenia rachunku. A, już wiem! Zmywałabyś naczynia cały wieczór, żeby odpracować to, co zjadłaś, ha, ha, ha!

– Nie wrzeszcz tak, lepiej zamów mi pizzę. I sok.

– I szarlotkę do tego? – ironizował, zgrzytając zębami.

Zojka skinęła głową.

– Może być. Ale w takim razie z kawą zamiast soku. Nie mam zamiaru biegać do łazienki co pięć minut. I nie patrz tak na mnie. Zapomniałam portfela poniekąd przez ciebie.

– Przeze mnie? – Zdumiony Kordecki podniósł wzrok znad karty dań.

– Oczywiście. Po tym, jak wyszłam z pokoju i zastałam w sieni ciebie i ojca w pozie à la dwa koguty, jednego z siekierą babuni Łyczakowej, a drugiego w bokserkach... – Pokręciła głową. – Nic już nie było takie samo. Nie wiesz, do czego służy piżama?

– Och! – Na wspomnienie spotkania z Kazimierzem Tuszyńskim Kordecki aż poczerwieniał. – To jaką pizzę lubisz?

– Dużą! I tylko dla siebie. Jeśli chcesz kawałek, zamów sobie własną! – prychnęła. Potem przesunęła się na ławce, by lepiej widzieć Barbarę Norkowską. Na razie jedynym towarzyszem kobiety był laptop. Norkowska popijała wino i z zapalem stukotała w klawisze, ale od czasu do czasu zerknęła na wyświetlacz ogromnego smartfona. Zojka była bardzo ciekawa, na kogo czeka szefowa biura matrymonialnego i z kim wcześniej prowadziła tak burzliwą dyskusję. Zamierzała spędzić w karczmie tyle czasu, ile tylko potrzeba, by to odkryć. Nawet jeśli okaże się to destrukcyjne dla funduszy Kordeckiego.

Redaktor najwyraźniej myślał o tym samym, bo właśnie zajrzał do portfela i skrzywił się boleśnie. Następnie przywołał kelnerkę i złożył zamówienie. Choć Zojka posyłała mu mordercze spojrzenia, poprosił o dużą pizzę na pół i dwie filiżanki kawy. Na koniec zapytał, czy restauracja ma w ofercie ciasta z kremem, i zamówił to, które polecono mu jako najśłodsze i najgrubiej przełożone masą. Zarobił za to tęgiego kopniaka w piszczel, ale i tak wyglądał jak kot, który dorwał się do miski pełnej śmietanki.

Zojka obserwowała, Kordecki ziewał ostentacyjnie, a nieświadoma niczego Norkowska stukotała w klawiaturę. Przyniesiono kawę, następnie pizzę, Zojka pochłonęła jedno i drugie, z premedytacją podbierając Kordeckiemu co lepsze kawałki. Gdy doniesiono deser, wskazała na swego towarzysza i słodkim głosem oświadczyła zaskoczonej kelnerce, że obydwie kawałki ciasta są dla redaktora Kordeckiego. Który cierpi na specyficzną odmianę cukrzycy objawiającą się nieposkromionym apetytem na słodkości i szybko postępującą impotencją.

Czerwony z wściekłości mężczyzna zamierzał złapać ją za kark i wcisnąć twarzą wprost w puszysty od kremówki wypiek,

ale w tej samej chwili Barbara Norkowska podniosła wzrok. Ich oczy spotkały się, a wtedy zrobił coś zupełnie irracjonalnego: chwycił zaskoczoną Zojkę, przyciągnął do siebie i wpił się mocno w jej usta. Tuszyńska pisnęła jak przydeptana mysz, zatrzepotała ramionami, a uniesionym kolaniem usiłowała wprowadzić w życie wspomnianą wcześniej wizję impotencji, ale przytrzymał ją mocniej i wycharczał jej do ucha, że Norkowska właśnie na nich patrzy. Co prawda właścicielka agencji wróciła już do swoich spraw, ale pewne części jego ciała były zbyt cenne, by narażać je na ataki wściekłości panny Tuszyńskiej.

Spokojnie policzył do dziesięciu i dopiero wtedy ją puścił. Zasapana Zojka spoglądała na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Rewelacja! – wykrzyknęła z nieukrywanym zachwytem.

Kordecki poczuł uzasadnioną dumę.

– No, wiesz... Mam jakieś doświadczenie. – Odchrząknął i uśmiechnął się lekko.

Zojka spojrzała na niego jak na wariata.

– O czym ty...? Aaaa... – Poczerwieniła. A potem szturchnęła go łokciem. – Skup się, do cholery, i spójrz!

Więc spojrzał. Przy stoliku zajmowanym przez Norkowską chwilowo nie było nikogo. Właścicielka agencji wyszła na zewnątrz – może na szybkiego papierosa, może wykonać kolejny telefon, to było nieważne. Liczył się tylko fakt, że na blacie zostawiła włączony laptopa. Kordecki wyczuł, jak siedząca obok Zojka kręci się nerwowo. Potrząsnął głową.

– Nie ma szans, na pewno ma jakieś hasło... – mruknął.

– Może jest zalogowana.

– Nic z tego.

– To jedyna szansa, by dowiedzieć się, kogo dobrała babuni Łyczakowej – kusiła Zojka. – Przecież po dobroci nie powie...

– Na pewno zaraz wróci!

– Jeśli ją zajmiesz, nie wróci!

I nie czekając na jego reakcję, wyskoczyła zza stołu

i przemknęła na miejsce Norkowskiej. Ani zdążył się obejrzeć, już pochylała się nad laptopem. „To jest karalne!” – chciał za nią zawołać, ale ograniczył się do uderzenia otwartą dłonią w blat stołu. Talerzyki z kremowym ciastem podskoczyły, widelce zabrzęczały. Kordecki obejrzał się przez ramię i kątem oka zauważył, że właścicielka agencji odsuwa od ucha smartfona i poprawia włosy. Jeszcze chwila, a wejdzie do karczmy. Przy swoim komputerze zobaczy zaś... Redaktor zaklął pod nosem i rzucił się ku drzwiom.

Na miejsce dotarł w samą porę: Norkowska właśnie łapała za klamkę. Ale zamiast – jak przystało na dżentelmena – przepuścić ją w drzwiach, Kordecki wygramolił się na zewnątrz i zdecydowanym ruchem zastąpił drogę.

– Droga pani, chyba musimy porozmawiać...

– Och! – Kobieta spojrzała na niego spłoszona. – To pan, redaktorze. O co chodzi?

– Chciałbym, aby mi pani wytłumaczyła, jak działa wasz program. Bo ja, delikatnie mówiąc, nie jestem usatysfakcjonowany – oświadczył.

– A wyglądał pan zgoła inaczej – zdumiała się kobieta. – Widziałam, że... wydawało mi się...

Redaktor zerknął przez ramię. Zojka nadal siedziała na miejscu Norkowskiej. Kordecki poczuł, jak za kołnierzykiem koszuli zbierają mu się kropelki lodowatego potu. Wszystko wskazywało na to, że Tuszyńska uszczupli nie tylko jego portfel, bo pod wpływem stresów związanych ze znajomością z tą wariatką kalorie same się mu spalały! Teraz odchrząknął i spojrzał na Norkowską groźnie.

– Ale nie jestem, droga pani, i poważnie się zastanawiam, czy o tym nie napisać. Bo to jakieś podejrzone, bardzo podejrzone!

– Ale co? – pisnęła Norkowska.

– To, że trafiają mi się tak specyficzne partnerki.

– Pani Gryz-Potocka... – Kobieta po omacku usiłowała odszukać klamkę.

– To dama najlepszego sortu, zgadzam się. – Kordecki kiwnął głową, przyklejając się plecami do drzwi. Klamka boleśnie wbiła mu się nad nerką, ale teraz Norkowska nie mogła jej sięgnąć. Chyba że wcześniej się do niego przytuli, ale wyglądało raczej, że woli trzymać się na dystans. Popatrywała na Kordeckiego jak na wariata.

– A czy pana... nowa... towarzyszka również została wskazana przez program? Nie przypominam sobie, że bym umawiała spotkanie... – mruzczała.

Kordecki tupnął nogą.

– Jak może pani nie pamiętać?! To ja przychodzę do pani, oczekując najlepszej opieki! I jak mam teraz polecić pani agencję moim czytelnikom? Skoro podsuwa mi pani staruszki, wariatki i nimfomanki? Widziała pani, jak się do mnie przyssała? Co?! – huknął. – Jestem rozczarowany, bardzo rozczarowany... – Kręcił głową zde gustowany.

Norkowska spoglądała na niego stropiona.

– No dobrze, niech pan się uspokoi, redaktorze. Zajmę się panem osobiście. Pominiemy wszelkie programy i algorytmy, dobrze? Oprzemy się na starej, dobrej intuicji. Znajdziemy panu prawdziwą księżniczkę. O odpowiednim wieku i temperamencie. Tylko proszę już... – zawiesiła głos.

W tej samej chwili pchnięte drzwi uderzyły Kordeckiego w plecy. Redaktor jęknął i zgiął się wpół, gdy klamka wbiła mu się w okolice nerki.

Zojka powitała ich szerokim uśmiechem. Właścicielce agencji skinęła lekko głową, a do Kordeckiego konfidencjonalnie puściła oko.

– Ja już uciekam, przystojniaczku! Dostałam to, czego chciałam. Nie zapomnij zapłacić rachunku!

I zniknęła za rogiem. Kordeckiego korciło, by biec za nią i natrzeć uszu za to, że postawiła go w tak idiotycznej sytuacji, naraziła na szwank jego dziennikarską reputację, a jakby tego było mało, przydzwoniła drzwiami po nerkach, aż zobaczył wszystkie gwiazdy. Ale nie mógł tego uczynić, chociażby dlatego, że w karczmie zostawił kurtkę, a na stoliku z pewnością czekał już rachunek. Tymczasem Barbara Norkowska posłała mu współczujące spojrzenie.

– Chyba rozumiem, o co panu chodzi. – Sięgnęła do klamki i otworzyła drzwi, ale nim weszła do środka, pocieszająco poklepała Kordeckiego po ramieniu. – Ale proszę się nie zniechęcać, redaktorze! Jeszcze trafi pan na odpowiednią kobietę!

• ROZDZIAŁ DWUNASTY •

Zojka przeciągnęła się pod kołdrą. Jednym nieprzytomnym okiem zerknęła na stojący obok łóżka budzik i zadowolona stwierdziła, że może poleniuchować jeszcze kilka minut. Obróciła się na drugi bok i wtuliła twarz w poduszkę. Zupełnie jak na komendę w pokoju rozległo się głośne mruczenie, a chwilę później po jej plecach przemaszerował kot. Filip zbliżył się do miejsca, w którym spod kołdry wystawała mocno zmierzwiona czupryna opiekunki, od niechcienia dotknął zimnym nosem jej ucha, a ponieważ nie zareagowała, delikatnie trącił je łapką. Poprawił kilka razy dla lepszego efektu i w końcu doczekał się stosownej reakcji: zirytowana Zojka posłała go do stu diabłów i strąciła z łóżka. Przezornie ewakuował się w okolice komody (czasami zdarzało się jej rzucać poduszką, a wtedy nie patrzyła: kot, lustro czy wazon – wszystko było zagrożone) i czekał na dalszy rozwój sytuacji. Kiedy opuściła stopy na podłogę i zaczęła nimi suwać po deskach w poszukiwaniu kapci, usatysfakcjonowany opuścił pokój z wysoko uniesionym ogonem. Przemieścił się do kuchni, gdzie zajął swoje stałe miejsce w bliskim sąsiedztwie lodówki.

Po kilku minutach w kuchni zjawiła się zaspana Zojka. Nie zwracając uwagi na sygnały, jakie jej dawał, sięgnęła do szafki po kartonik z kocimi chrupkami i zamasyście sypnęła do

miski. Do drugiej naląła wody i opadła na krzesło z miną kogoś, kto właśnie zdobył się na nadludzki wysiłek. Łokcie wsparła na blacie, na rękach ułożyła głowę i przymknęła powieki. Filip prychnął lekceważąco i rozgryzł pierwszą chrupkę. Popił wodą. Sięgnął po kolejną granulkę. Nie spuszczał przy tym wzroku z siedzącej przy stole kobiety. Kto wie, co takiej przyjdzie do głowy w szaleńczym widzie? Może będzie rzucać szynką? Albo serdelkami? Lepiej trzymać łapę na pulsie! Odkąd zniknęła starsza pani, kocia dieta znacząco zubożała!

A Zojka, owszem, rzuciła, ale nie szynką, nie serdelkiem, a zwykłą, pospolitą cholera. Układając się na stole, zawadziła bowiem łokciem o szklankę z herbatą, naczynie przewróciło się, a żółtawy płyn pociekł po kraciastej ceracie i pozostawionej na niej kartce. Dużymi, pochyłymi literami Kazimierz życzył córce miłego dnia i prosił, by nie fatygowała już redaktora ani żadnego innego osobnika płci męskiej. Jeśli czuje się zagrożona, on z przyjemnością zjawi się wieczorem, aby dotrzymać jej towarzystwa i zapewnić poczucie bezpieczeństwa. W końcu jest jej ojcem, a więc należy to do jego obowiązków.

Mniej więcej to samo oświadczył poprzedniego dnia, gdy zjawili się pod domkiem. Czekał na nich na ganku, z połyskującą siekierą przy lewej nodze i nieodłącznym papierosem między palcami. Nie zważał na to, że najwyraźniej są pokłóceni i popatrują na siebie wilkiem, uprzejmie podziękował Kordeckiemu za dostarczenie Zojki do domu i pożegnał go męskim uściskiem dłoni. A dłoń miał Kazimierz mocną i miążdżącą. Kordecki skinął głową, obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku wąwozu. Kiedy był już mniej więcej w połowie ścieżki, Kazimierz przywołał go cichym głosem, stanowczym gestem odebrał reklamówkę z grahamkami i odprowadził uśmiechem.

Bułki zjadła Zojka na śniadanie, gdy tylko doprowadziła stół do jako takiego porządku. Odgryzając kęsy suchego pieczywa

i popijając je świeżo zaparzoną kawą, rozmyślała, że ten cały Kordecki nie jest taki zły. Może Chochołek miał rację? Owszem, był nieznośny, ale w gruncie rzeczy porządny z niego człowiek. Nie odmawiał pomocy, choć wciągała go w najbardziej zakręcone akcje i narażała na niebezpieczeństwo. Gdyby jeszcze nie był taki upierdliwy. I wiedział, do czego służy piżama.

Józef Józwiak.

Tak nazywał się mężczyzna, z którym biuro matrymonialne „Do Zakochania Jeden Rok” próbowało skojarzyć babunię Łyczakową. Zojka błogosławiła w duchu Norkowską, która nie dość, że zostawiła na restauracyjnym stoliku włączonego laptopa, to jeszcze uruchomiła folder, w którym trzymała dane wszystkich klientów agencji. Było to lekkomyślne i w innej sytuacji być może Tuszyńska poświęciłaby myśl albo dwie temu, jak bez należytej ostrożności traktuje się posiadane dane osobowe, ale w tej chwili było jej to na rękę. Bez trudu namierzyła na liście starszą panią i odnalazła adnotację o przypisanym do niej donżuanie, a dzięki uporządkowanej tabeli szybko zdobyła jego aktualny adres.

Teraz stała przed odrapaną kamienicą w centrum miasta i zastanawiała się, jak to rozegrać. Wedrzeć się do mieszkania z pianą na ustach i zażądać wydania staruszki? Zagrać na sentymentalnej nucie i opowiedzieć o ukochanej wnuczce i wpół żywych z tęsknoty zwierzętach? Postraszyć? A jeśli tak, to kim lub czym? Wujkiem prezydentem, kuzynem z Legii Cudzoziemskiej, znajomymi kibicami czy dziennikarskim dyktafonem? Zojka zakołysała się na piętach i westchnęła żałośnie. Ratowanie babuni było takie skomplikowane!

Mogłaby, oczywiście, wezwać na pomoc Chochołka. Ale po pierwsze podejrzewała, że aspirantowi nie spodobałby się sposób, w jaki zdobyła namiary na uwodziciela babuni, a po

drugie policjant zachowywał się jakoś dziwnie. Nawet nie odpowiedział na jej SMS-a z prośbą o ratunek, a gdy następnego dnia zadzwoniła do niego, aby poinformować o wiadomości od babuni Łyczakowej, mruczał tylko niewyraźnie, że co innego ma teraz na głowie i żeby mu nie przeszkadzać. Po południu telefonowała kolejny raz, by powiadomić, że najprawdopodobniej SMS od babuni wcale od babuni nie był i że mają do czynienia z wyrachowanym zwyrodnialcem, który podbiera starszym paniom komórki. Nie odebrał.

Mówiąc delikatnie: Zojka podejrzewała, że Chochołek ma ją gdzieś.

Do rzeczywistości przywołało ją skrzypienie otwieranych drzwi. Na niewysokich schodach prowadzących do budynku pojawił się przystojny mężczyzna w średnim wieku. Przez krótką chwilę przyglądał się Zojce z zainteresowaniem, aż w końcu zagadnął uprzejmie:

– Czy mogę jakoś pomóc?

Zojka wypuściła nagromadzone w płucach powietrze i zrobiła krok w kierunku drzwi.

– Szukam pana Józwiaka – wyjaśniła.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się szeroko. – A w czym mogę pomóc?

Zojka zaniemówiła. Myśląc o mężczyźnie, który uprowadził babunię Łyczakową, wyobrażała sobie taniego uwodziciela w typie Rzepeckiego. Napomadowane włosy, mdła woda kolońska, wąski uśmiezek pod równie wąskim wąsikiem. Ewentualnie kogoś zupełnie innego: niechlujnego, spoglądającego złowrogo spod krzaczastych brwi i spluwającego na chodnik spod pożółkłych zębów. Wyobraźnia Zojki pracowała na najwyższych obrotach, ale nawet ona nie podsunęła jej kogoś o aparycji prezesa banku. To wytrąciło ją z równowagi. Bez słowa przyglądała się mężczyźnie, a im dłużej

ona się przyglądała, tym szerzej on się uśmiechał. I kiedy już miała mruknąć pod nosem, że pomyłka, i obrócić się na pięcie, on mrugnął! Mocno i wyraźnie puścił do niej oko, uśmiechając się przy tym filuternie.

W Zojce zawrzała krew. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, rzuciła się zdumionemu Józwiakowi do gardła. Złapała za elegancki i mocno wypachniony szaliczek, ale ten rozsuptał się i smętnie zwisał jej w dłoni, więc czym prędzej uczepiła się kołnierza płaszcza i szarpnęła. Zdezorientowany mężczyzna usiłował cofać się po schodach i schronić w ciemnym i dość ponurym korytarzu, ale chcąc nie chcąc, ciągnął uczepioną płaszcza Zojkę za sobą. Bełkotał przy tym niewyraźnie, a przystojna twarz czerwieniała mu coraz mocniej i mocniej, aż w końcu przybrała barwę przejrziałego pomidora.

– Przepraszam, ale co pani robi? No co pani robi?

– Łajdaku ty! – wychrypiała Tuszyńska, dla lepszego efektu potrząsając kołnierzem. Zęby mężczyzny zadzwoniły o siebie.

– Czego pani chce? Proszę mnie puścić! – jęczał, a widząc, że ona pozostaje na jego prośby głucha, wrzasnął: – Wariatka! Ludzie, ratunku! Wariatka!

– Ja ci dam wariatkę! – sarknęła Zojka, puszczając kołnierz. – Gadaj, gdzie jest babunia!

– Moja? – Mężczyzna wtulił się w ścianę. – Nie żyje już od dwudziestu lat!

– Jaka tam twoja! Gdzie babunia Łyczakowa gadaj! Bo ci... bo ci... – zawahała się nieznacznie, ale zaraz na powrót zrobiła groźną minę. – Bo ci szalik zabiorę!

– Niech sobie pani bierze! – Trzęsącymi dłońmi podsunął jej skrawek miękkiego materiału. – Na placu kupiłem, w domu mam jeszcze dwa. Tylko niech pani już... Marysiu! Przynieś pani ten rudy szalik, tylko migiem! – pisnął nagle.

Spłoszona Zojka obejrzała się przez ramię i zauważyła pobladałą kobietę w czerwonym płaszczyku. Przybyła

wpatrywała się w nią okrągłymi jak spodki oczyma.

– Co pani wyprawia z moim mężem? – wykrztusiła. – Józek!

– Toś ty taki casanova? – prychnęła Zojka. – Na mieście podrywki, a w domu żona!

– Casanova? – Maria Józwiak otworzyła oczy jeszcze szerzej i zrobiła w ich stronę malutki kroczek. – Ale jak to?!

Zojka wzruszyła ramionami.

– Tak to! W sekrecie przed panią korzysta z usług agencji! – wyjaśniła przerażonej kobiecie.

– Agencji? – wykrztusiła z trudem tamta.

Zojka zorientowała się, że mogło to zabrzmieć dwuznacznie, i zamachała rękami.

– Ale nie takiej agencji, niech się pani nie boi! Chodzi o agencję matrymonialną!

Żona Józwiaka przypatrywała się Zojce zdeorientowana, więc ta westchnęła i wyjaśniła, że to takie miejsce, gdzie szuka się nie uciech cielesnych, ale na przykład żony. Jeśli jednak sądziła, że jej wyjaśnienia spotkają się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony pani Józwiakowej, musiała srogo się zawieść. Maria wyrwała jej z ręki torebkę i zaczęła nią okładać jęczącego małżonka. Przez ułamek sekundy Tuszyńska zastanawiała się, czy ruszyć bitemu z odsieczą, ostatecznie postanowiła jednak wykorzystać okazję i wyciągnąć z mężczyzny informacje związane ze staruszką.

– Gdzie jest babunia?! – wydyszała.

– Ale ja nie mam żadnej babuni! – szlochał Józwiak. – I nic nie wiem o żadnej agencji! Nigdy tam nie byłem i nie szukam nowej żony!

– I oczko do mnie też samo się puściło? – warknęła.

– Tiki mam! – krzyczał obolały mężczyzna. – Nerwowe!

Na wzmiankę o puszczeniu oczka Maria Józwiak zamarła z uniesioną torebką. W obawie, że kobieta szykuje się do zadania ostatecznego ciosu, Zojka wyciągnęła rękę i szybko

odebrała swoją własność. Nie czuła się z nią specjalnie związana, ale na myśl, że po raz kolejny jej torebka może być dowodem w sprawie kryminalnej, wstrząsnął ją dreszcz. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się obawiała: Maria spojrzała na nią ponuro.

– To prawda, jedno oko mu mruga samo z siebie. A drugie czasami ucieka na boki.

Zojka poczuła, że robi się jej gorąco. Przełknęła ślinę, przewiesiła listonoszkę przez ramię i zaplotła ręce na piersi.

– Proszę mi powiedzieć, co pan wie na temat babuni Łyczakowej. Spotkał się pan z nią, prawda? – powiedziała najbardziej opanowanym tonem, na jaki było ją stać.

– Ale ja naprawdę nie wiem, o co chodzi. Nie chodzę do żadnej agencji – bronił się Józwiak, popatrując strachliwie to na Tuszyńską, to na ponurą żonę.

– Pana nazwisko otrzymałam od właścicielki – rzuciła zdesperowana Zojka. Cóż, miało się to trochę z prawdą i mogło okazać się ciut ryzykowne, ale w tym momencie było jej już wszystko jedno, czy Norkowska zdecyduje się ją ścigać za bezpodstawne przetrząsanie komputera i wykradanie danych klientów. Musiała dowiedzieć się wszystkiego, co ten mrugający casanova gustujący w placowych szaliczkach wiedział na temat staruszki!

Józwiak szedł jednak w zaparte i nie zamierzał przyznawać się do żadnych pozamałżeńskich znajomości.

– Przysięgam, że nic nie wiem! – bełkotał płaczliwie.

Stojąca u jego boku żona pograżyła się w zadumie. Nagle szturchnęła go palcem wskazującym.

– A może...

– Co? – zaskowytał, łapiąc się za obolały bark.

– Cóż, nie jesteś jedynym Józefem w rodzinie – zauważyła, wzruszając ramionami.

– No ale ojciec? On skończył osiemdziesiąt trzy lata! – Pokręcił

głową z powątpiewaniem.

– Ale na łożenie po mieście siły ma! Nieraz już były na niego skargi, że kobiety na ulicy zaczepia i bezceństwa proponuje! Jeśli ktoś w tym domu miał pójść do agencji, to tylko on. Ty byś się nie odważył – podsumowała Maria, obrzucając zapłakanego mężczyznę gniewnym spojrzeniem.

Zojka przyznała jej w duchu rację. Grzecznie zapytała, czy może ze starszym panem zamienić dwa słowa, a potem ruszyła za małżonkami w głąb kamienicy. Kiedy uniosła rękę, by poprawić opadający na oczy kosmyk włosów, Józef Józwiak odskoczył z głośnym okrzykiem i przerażony zasłonił głowę. Maria prychnęła ze złością i wytrenowanym ruchem zdzieliła go w czerep. Zojka pomyślała, że chyba wie, co stoi za zachowaniem płaczliwego rozmówcy.

W przeciwieństwie do swojego syna Józef Józwiak senior zaliczał się do gatunku mężczyzn, o których zwykle się mówiło, że męskie atrybuty mają na swoim miejscu. Ledwie weszli do przytulnego pokoiku, który zajmował, starszy pan spojrzał na Zojkę z dziwnym błyskiem w oku.

– Co tu robisz, gołąbeczko? Zatrudnili cię, żebyś otoczyła mnie opieką? Poczytasz mi na dobranoc? – zapytał z szelmowskim uśmiechem.

Józwiakowa poczerwieniała. Zbliżyła się do łóżka, na którym siedział mężczyzna, i mocno strzepnęła poduszkę.

– Niech się ojciec nie wydurnia i wstydu nie robi na pół miasta. Ta pani przyszła z agencji – fuknęła.

– Z agencji?! – Józef otaksował Tuszyńską zaciekawionym spojrzeniem i oblizał się łakomie. – Więc jednak?

– Co więc jednak?! Co więc jednak?! – Maria tupnęła nogą. – Ja natychmiast chcę się dowiedzieć, co tu się, do jasnej anielki, wyprawia? Wymyka się ojciec ukradkiem i ludzi w mieście

zaczepia. Po agencjach jakichś łazi i baby na manowce sprowadza? Nie wstyd ojcu? Ja wszystko księdzu powiem, jak tu z Najświętszym Sakramentem przyjdzie!

– Już się nawet spowiadać za mnie chce! – sarknął starszy pan, odwracając się do okna i udając, że zajmuje go obskubywanie z liści kwitnącej na czerwono pelargonii. Zaraz jednak zerknął przez ramię na Zojkę i puścił jej oko. – Tak, tak, gołąbeczko. Za nic mają starego człowieka i jego potrzeby...

– Potrzeby? – huknęła Maria. – Jedyną ojca potrzebą jest trafić sztuczną szczęką w odpowiednie miejsce!

– Nie znasz się! – burknął staruszek niegrzecznie. Usiadł naburmuszony na skraju łóżka, podpierając brodę zaciśniętą pięścią, i zatopił się we własnych myślach. Zojka pomyślała, że pora interweniować, inaczej starszy pan obrazi się do reszty i wypnie na nich kościsty, obleczony kraciatym szlafrokiem tyłek.

– Pan miał się spotkać z pewną kobietą. Zofią Łyczak – powiedziała łagodnie. – Pamięta pan?

– Co mam nie pamiętać, gołąbeczko? – Starszy pan zaśmiał się skrzekliwie. – Mózg mi, dzięki Bogu, nie szwankuje. Inne organy też nie – podkreślił stanowczo.

Gdzieś za plecami Zojki Maria wciągnęła gwałtownie powietrze, Tuszyńska jednak puściła tę uwagę mimo uszu i przykucnęła obok łóżka.

– To moja babcia – szepnęła. – Zaginęła w ubiegłym tygodniu.

Spojrzenie Józefa nabrało ostrości.

– Nie trzymam jej w szafie...

– Nie, mnie nie o to...

– Ani w pojemniku na pościel.

– Chciałam tylko...

– Chyba że sama tam weszła. Dawno nie zaglądałem.

– Co pan o niej wie? – Tuszyńskiej udało się w końcu przebić przez paplaninę starszego pana.

Józef potrząsnął głową.

– Nic!

– Nic? – zmartwiła się Zojka. – Ale jak to? Przecież byliście umówieni?

– ...

– Słucham? – Zojka przysunęła się nieco do starszego pana, aby lepiej słyszeć, a Józef natychmiast to wykorzystał i złapał ją za kolano. Oblizał się przy tym tak łakomie, jak Filip na widok puszek Whiskasa w torbie z zakupami. Tuszyńska zacisnęła zęby. Chociaż miała wielką ochotę trzepnąć podstarzałego casanovę po łapach i uskoczyć w drugi kąt pokoju, delikatnie uwolniła swoją nogę i pochyliła się nad mężczyzną ze zmarszczonymi brwiami. – Co pan powiedział?

– Nie przyszła – wycedził mężczyzna.

– Nie przyszła?

– Nie – przyznał niechętnie, uciekając wodnistymi oczami gdzieś w bok.

Młoda kobieta wyprostowała się, z trudem powstrzymując śmiech. Chociaż kolejne niepowodzenie w tropieniu babuni Łyczakowej nie napawało optymizmem i skłaniało raczej ku łzom zwątpienia, widok zranionej męskiej dumy był rozbijający. Maria najwyraźniej nie podzielała jej zdania, bo zirytowana podparła się pod boki i spojrzała na starszego pana ponaglająco.

– Niech ojciec szybko mówi, co wie, i nie mydli nam tu oczu! Dość już czasu zmitrężyłam przez tę paniusią! – Wskazała na Zojkę.

– Nic nie wiem, bo ta cała Zofia nie przyszła! – burknął Józef. Józwiakowa skinęła głową zadowolona.

– I dobrze się stało. Jeszcze by ojca na stare lata posadzili!

– E tam! – Machnął ręką.

– Po co w ogóle ojciec tam polazł?!

– Agencja agencji nierówna – mruczał pod nosem starszy pan,

zaraz jednak podniósł wzrok i puścił do Zojki oko. – Tak sobie teraz myślę, że dobrze, że się nie zjawiała – przyznał. – Bo dla mnie i tak była za leciwa. Ja wolę młodsze i nawet im to w tej agencji zaznaczyłem. Ta milutka sekretarka od razu wpadła mi w oko – uśmiechnął się rozmarzony – ale ona była bardziej koścista od ciebie!

Maria sapnęła oburzona. Zojka natomiast pokręciła głową rozbawiona i zapytała starszego pana, w jaki sposób kontaktował się z babunią Łyczakową. Skoro nie zjawiała się w umówionym miejscu, umawiać się jakoś musieli. Proste i logiczne.

– W ogóle. – Staruszek kręcił głową. – Wszystkim zajmowała się agencja. Ja dostałem tylko karteczkę z miejscem i godziną spotkania. No i zdjęcie. Nie byłem nim zachwycony. Wyglądała na taką, co przy pierwszej okazji zdzielił mnie siekierką przez łeb...

– Jest pan dobrym obserwatorem – przyznała cichutko Zojka.

Staruszek najwyraźniej tego nie dosłyszał, bo przyglądał się jej skrzywiony.

– Nie przyszła. – Pokręcił głową zde gustowany. – Jeszcze nigdy mnie żadna nie wystawiła. Ale ta cała agencja od razu mnie rozczarowała. Nie do końca o takie usługi mi chodziło, jeśli wiesz, o czym mówię. – Zaśmiał się rubasznie.

Zojka parsknęła śmiechem, a starszy pan spojrzał na nią z nadzieją w wyblakłych oczach.

– Ale może jeszcze nie wszystko stracone? Co robisz wieczorkiem, gołąbeczko?

Tuszyńska zaśmiała się i wyjaśniła, że gołąbeczki chodzą wcześniej spać. Właściwie to z kurami. I żaden kogucik tego nie zmieni, choćby nie wiadomo jak stroił piórka.

Strojenie piórek zaprzętało również myśli aspiranta Pawła

Chochółka. Od kiedy w życiu policjanta pojawiła się panna Monika – czyli od dwóch dni – poświęcał on wyglądowi zewnętrznemu zdecydowanie więcej czasu. Wstawał wcześniej, aby dokładnie się ogolić, starannie dobierał koszule, a wiązanie krawata nagle przestało być fanaberią wymyśloną na użytek fircyków z aktówkami. Podniszczone półbuty, które wiernie służyły mu przez kilka ostatnich sezonów, zostały nagle oddelegowane na najniższą półkę szafki w przedpokoju, a ich miejsce zajęły szykowne mokasyny ze skóry, które boleśnie uciskały pięty, palce i podbicie. Sporo energii aspirant poświęcał też swojej fryzurze. I choć po nieplanowanych postrzyżynach niewiele zostało mu do przyczesywania, co rusz sięgał po pęknięte lustro i nieduży plastikowy grzebyk. Kręcił głową tam i z powrotem, przerzucając mizerne resztki grzywki to na jedną, to na drugą stronę, w efekcie czego jego fryzura przypominała uwite ze słomy gniazdo.

Panna Monika zrobiła na Pawle Chochółku wielkie wrażenie, nic w tym dziwnego zatem, że sam również chciał wypaść w jej oczach jak najlepiej.

Na miejsce pierwszego spotkania wybrali przytulną Galeria Cafe przy ulicy Kościelnej. Początkowo czuli się dość niepewnie i zerkali na siebie wstydliwie ponad wiązką liliowego wrzosu. On zamówił czarną kawę i pulchny serniczek, ona wybrała pumpkin spice latte i malinową chmurkę. Wtedy on zaczerwienił się po korzonki włosów i zażartował, że nazwa kawy kojarzy mu się z pompką do roweru. Ona zaśmiała się srebrzyście i odrzuciła na plecy długie, ciemne włosy, on wyprostował się dumnie, przeczesał palcami pozostałości czupryny i pomyślał, że taki śmiech mógłby go budzić każdego ranka. Ona zapytała, czy on lubi jeździć na rowerze, on przyznał, że nie, ale za to ma kanarka. A dalej rozmowa potoczyła się sama.

Panna Monika była wdzięczną słuchaczką. Wpatrywała się

w aspiranta Pawła Chochołka z wypiekami na twarzy i spijała z jego ust każde słowo. Mężczyzna poczuł się jak Kapitan Żbik albo inny superbohater. Nie szczędząc barwnych opisów, roztoczył przed swoją towarzyszką arkana zakończonej przed kilkoma miesiącami sprawy Klaudii Szczypczyk i pochwalił się swoim udziałem w zatrzymaniu groźnej morderczyni. Panna Monika reagowała na opowieść zgodnie z oczekiwaniami policjanta. Kręciła głową z niedowierzaniem, wdzięcznie otwierała ciemne oczęta, a w odpowiednim momencie wtrącała wiele mówiące: „Niemożliwe”, „Ojejku!” i „Naprawdę?”. Paweł Chochołek puchł z dumy, kawa i słodkie desery zniknęły ze stołu, czas płynął nieubłaganie, a bohaterские wyczyny aspiranta kurczyły się w zastraszającym tempie. Podratował się więc nieco fabułą kilku wyjątkowo krwawych odcinków *Ojca Mateusza*, oczywiście przerabiając je na modłę wadowicką i osadzając wyrafinowane przestępstwa w lokalnej społeczności. Rozmowa toczyła się dalej, aspirant i panna Monika coraz częściej szukali swego wzroku ponad ozdobnym jesiennym kwieciami i nawet banda rozwrzeszczanej dzieciarni, która zalała wnętrze kawiarni w celu skonsumowania obowiązkowej wycieczkowej kremówki po cztery pięćdziesiąt, nie zakłóciła niezwyklej atmosfery, jaka wytworzyła się między nimi.

Umówienie kolejnego spotkania było więc tylko formalnością. Paweł Chochołek zaprosił pannę Monikę na popołudniową przechadzkę i długie godziny poświęcił na opracowanie malowniczej trasy spacerowej. Co prawda wybranka również pochodziła z miasta i uroki Wadowic nie były jej obce, ale aspirant obawiał się, żeby czasem nie odczuła znużenia. Na znalezionej w szufladzie mapie czerwonym flamastrem zaznaczył mijane ulice, skwery i parki, w miejscu potencjalnych przystanków (kawiarnie, ławeczki, światła na skrzyżowaniu) narysował gwiazdki, a na koniec przewertował aktualny numer „Świata Seriali” w celu zaznajomienia się z najnowszymi

przygodami sandomierskiego proboszcza i jego przyjaciół w mundurach.

Przejrzawszy gazetę, poczuł ukłucie niepokoju. A jeśli panna Monika gustuje w polskich serialach i domyśli się, że opisywane przez niego sprawy kryminalne w rzeczywistości są wytworem wyobraźni reżysera? Wyjdzie na idiotę, naje się wstydu, a o kolejnych spacerach będzie sobie mógł pomarzyć! Lepiej nie ryzykować i nie opisywać najnowszych odcinków. Jakichkolwiek odcinków! Musi skupić się na osobistych doświadczeniach. Trudno, raz jeszcze opisze brawurową akcję zatrzymania Klaudii Szczypczyk. Albo...

Aspirant poruszył się nerwowo na krześle, czując ogarniające go podekscytowanie. A gdyby tak wspomnieć, słówkiem albo dziesięcioma, o najnowszej sprawie? Tej związanej z oszustwami i babunią Łyczakową? Panna Monika z pewnością doceni, że to właśnie on czuwa nad bezpieczeństwem osób poszukujących miłości za pośrednictwem agencji matrymonialnej!

Paweł Chochołek zwinął gazetę w zgrabny rulon i celnym rzutem posłał ją do stojącego w rogu kosza. Zadowolony z siebie pochylił się nad biurkiem i przysunął leżący na krawędzi stos akt. Praca nie szła mu jednak zbyt dobrze i co rusz zerkał w kierunku ściennego zegara, kontrolując wędrujące wskazówki. W końcu zrezygnowany odsunął papiery i wydobyl pęknięte lustro. Odruchowo sięgnął po grzebień i kolejny raz przyczesał resztki czupryny.

• ROZDZIAŁ TRZYNASTY •

Rozmowa z Józefem Józwiakiem seniorem wprawiła Zojkę w dobry nastrój. I chociaż pozyskane informacje nie przybliżyły jej do odnalezienia babuni Łyczakowej ani o krok, potrafiła docenić poczucie humoru i charakterek podstarzałego podrywacza. Wędrując na dworzec kolejowy, wspominała wydarzenia tego dnia i chichotała pod nosem. Jak to dobrze, że są na tym świecie tacy ludzie jak babunia Łyczakowa i Józef, udowadniający, że starość może być ciekawa i nie musi sprowadzać się do przytulnego fotela i wydeptanych kapci! Dzięki nim świat jest weselszy i bardziej kolorowy, myślała.

Mijając rozłożyste kasztanowce na skwerze Solidarności, dostrzegła znajomą sylwetkę i przystanęła zaskoczona. Dumnie wyprostowany Paweł Chochołek przechadzał się pobliską alejką z ciemnowłosą kobietą. Aspirant tłumaczył coś zaaferowany, gestykulując zamasyście jedną ręką, a wczepiona w jego ramię towarzyszka dosłownie spijała każde słowo z jego ust. Pochłonięty spacerem policjant nie zauważył Zojki, a ona nie zamierzała mu przeszkadzać w słodkim tête-à-tête i pospiesznie się oddaliła. Przebiegając przez ulicę, pomyślała, że już się nie dziwi roztargnieniu policjanta, który najwyraźniej miał na głowie nie tylko kryminalne sprawy. Odpuszczać jednak nie zamierzała. Natychmiast sobie obiecała, że następnego dnia

wpadnie na komendę i przycisnie stróża prawa do muru. Ten tu romanse urządza, a babuni nie ma kto szukać!

Na myśl o staruszce dobry nastrój dziewczyny prysł jak bańka mydlana. Przygnębienie towarzyszyło jej w drodze na dworzec i w czasie krótkiej podróży do Lipówki, nie odpuściło również, kiedy wysiadła na niewielkim przystanku i natknęła się na kuzynkę. Na widok przybyłej Zosia pobladła, obróciła się na pięcie i szybko odeszła w kierunku wsi. Ostupiała Zojka zawołała za nią kilkakrotnie, ale widząc, że nic to nie daje, machnęła ręką i ruszyła w swoją stronę. Miała na głowie zbyt wiele zmartwień, by jeszcze przejmować się fochami przyszłej panny młodej!

Na ganku czekała na nią Guzikowa. Zojka zakłęta pod nosem i pomyślała, że program telewizyjny musiał zubożeć w ostatnich dniach, skoro zamiast wygrzewać się przy piecu i popijać ciepłą herbatę, sąsiadka woli wędrować po wsi. Może Jedyńka zakończyła emisję ulubionej telenoweli albo Michniakowie kupili nowe rolety do kuchennego okna i ukrócili starszej pani podglądanie swojego codziennego życia?

– No nareszcie! – Stara Leośka na widok Zojki wyrzuciła ramiona w górę i zaczęła niezgrabnie gramolić się z ławki. – Ileż można na ciebie czekać?

– Przepraszam – prychnęła Zojka, przetrząsając listonoszkę w poszukiwaniu klucza. – Następnym razem sterroryzuję maszynistę, żeby jechał szybciej. I tak dziwnie na mnie w pociągu popatrują, więc co mi tam.

Przekręciła klucz i uchyliła lekko drzwi, aby wypuścić oszalałego z radości Burka. Sąsiadka wykorzystała okazję i wsunęła się do sieni. Zanim Zojka zdołała przywitać się z kudłatym psiskiem i wyszarpnąć z zamka klucz, Leośka zdążyła dotrzeć do kuchni i rozsiaść się za stołem. Kiedy młoda kobieta stanęła w drzwiach, staruszka ostentacyjnie zatarła dłonie i stwierdziła:

- Zimno tu.
 - Zaraz rozpalę pod blachą.
 - Umiesz? - Sąsiadka spojrzała na nią nieufnie.
- Tuszyńska wzruszyła niedbale ramionami.
- Radzę sobie. Jako tako.

Okazało się jednak, że „jako tako” to trochę za mało, by wzniecić ogień, szczególnie pod przenikliwym spojrzeniem sąsiadki. Zojka złapała pogrzebacz i energicznie pogrzebała nim w palenisku, by strącić resztki do popielnika, ale nie wiedzieć dlaczego szary obłok wypłynął wprost na kuchnię. Przez chwilę dziewczyna nic nie widziała i tylko parskła rozzłoszczona, mrużąc oczy i wymachując na oślep rękoma, aby odpędzić gryzący pył. I właśnie ten moment wybrała sobie Guzikowa, aby udzielić pierwszej ze swych złotych rad.

- Popielnik się zasuwa - orzekła beznamiętnie, wskazując palcem piec.

Zojka zwróciła w kierunku sąsiadki oblepioną popiołem twarz i posłała jej mordercze spojrzenie. Staruszka nic sobie jednak z tego nie robiła.

- Herbaty byś mi zaparzyła - sarknęła Guzikowa.

Zojka udała, że nie słyszy, i ponownie przykucnęła przy piecu. Silnym pchnięciem zawarła popielnik i złapała za pogrzebacz. Na oczyszczonym ruszcie ułożyła zwinięte w kulkę gazety i drobne gałązki. Guzikowa wyciągnęła szyję w kierunku pieca, by lepiej widzieć, i kiwnęła głową.

- Spiętrz wyżej.

W odpowiedzi Zojka odpaliła zapałkę i przytknęła ognik do papieru. Zapałka zasyczała i zgasła. Tuszyńska zaklęła pod nosem i odpaliła kolejną, jednak i ona zgasła, ledwie przytknęła ją do kupki z gazet i drewnienek. Guzikowa odchrząknęła, a Zojka zacisnęła zęby i powieki, by nie wrzasnąć z wściekłości.

- Przecie teraz trzeba odsunąć - rozległo się gdzieś za jej plecami.

Młoda kobieta bez słowa szarpnęła za popielnik. Zrobiła to na tyle gwałtownie, że przy okazji wysypała na siebie jego zawartość. Poderwała się gwałtownie na równe nogi i dysząc ciężko, wpatrywała się w obsypane popiołem spodnie. Pomyślała, że jeszcze chwila, a rozpali ognisko bezpośrednio na podłodze. I niech ta Guzikowa przestanie się już gapić!

Odetchnęła głęboko, policzyła do dziesięciu, przykucnęła przy piecu i sięgnęła po niedużą zmiotkę. Pobieżnie oczyściła ubranie, a potem zmiotła popiół z podłogi na jedną kupkę, zgarnęła wszystko na metalową łopatkę i na powrót umieściła w popielniku. Zasunęła szufladę, pozostawiając szparę na kilka centymetrów, i ponownie złapała zapałki. Guzikowa odchrząknęła, jakby chciała przyciągnąć jej uwagę.

– Moment! – mruknęła dziewczyna, przesuwając zapałką po chropowatej powierzchni pudełka. Zapałka zapaliła się z trzaskiem i zapłonęła jasnym ogniem. Przytknięty do papieru ognek szybko przeskoczył na pogniecione kartki, przez moment rozjarzył się na pomarańczowo i zgasł, pozostawiając po sobie dymiące, czarne szczątki. Guzikowa odkaszlnęła, a Zojka nie zdołała powstrzymać irytacji.

– Słucham? – warknęła, gromiąc sąsiadkę wzrokiem.

– No bo kolorowe słabo się palą. Weź „Krakowską” albo „Dziennik”. Nawet „Wadowicka” się hajcuje jak trzeba! – obwieściła zadowolona z siebie Leośka.

Zojka przeniosła spojrzenie z sąsiadki na ciemne wnętrze pieca i westchnęła głęboko. Nieraz paliła pod kuchnią i nigdy nie było z tym problemu! Że też do takich cyrków musiało dojść akurat teraz, gdy za stołem rozsiadła się wszystkowiedząca sąsiadka. Bez słowa chwyciła pogrzebacz i odsunęła zwęglone papiery na bok, sięgnęła po kawałek codziennej gazety i nową wiązkę chrustu. Szybko podpaliła stosik i zafascynowana patrzyła, jak ogień z głośnym trzaskiem pochłania cienkie gałązki. Głos sąsiadki przywołał ją do rzeczywistości.

– Co z tą herbatą, he? I dorzućże wreszcie jakąś grubszą kłodę, bo ci zaraz zgaśnie! I drzwiczki zamknij, bo cugu nie będzie!

Zojka bez słowa spełniła polecenia, a na koniec sięgnęła po czajnik. Odkręcając kurek z zimną wodą, pomyślała, że wystarczył kwadrans w towarzystwie przyjaciółki babuni, a ona odczuwała nieziemskie wprost zmęczenie. Zerknęła przez ramię na starszą panią. Najchętniej wyprosiłaby ją na ganek, razem z herbatą i złotymi radami, a sama zanurkowałaby pod prysznic, po którym najchętniej wsunęłaby się pod kołdrę. Może jeśli grzecznie przeprosi...?

Ale kiedy postawiła czajnik na kuchence i odwróciła się w kierunku siedzącej za stołem kobiety, zrozumiała, że jej nadzieje są płonne. Guzikowa spojrzała na nią błyszczącymi z podniecenia, małymi oczkami.

– A teraz opowiadaj. Na czym stoimy?

– Na niczym – odparła zgodnie z prawdą chwilę później, stawiając przed sąsiadką szklankę z herbatą. – Babunia przepadła jak kamień w wodę, a wszystkie dotychczasowe hipotezy poszły się... przejść.

– To znaczy, że nie chodzi o mafię paliwową? Ani o narkotyki?
– dopytywała poruszona staruszka.

– Nie bardzo. – Zojka pokręciła głową. – Wszystko wskazywało na agencję matrymonialną, ale teraz to ja już nie wiem – wyjawiała po chwili wahania.

– Handel żywym towarem. – Starsza pani pokiwała głową z poważną miną. – Oglądałam o tym program w telewizji. Ale czy Zośka nie jest czasem za bardzo posunięta w latach na takie praktyki? – dopytywała podejrzliwie.

Zojka pokręciła głową z lekkim uśmiechem.

– Ale to wcale nie o taką agencję chodziło – tłumaczyła kolejny

raz tego dnia. – Ta agencja zajmuje się kojarzeniem par.

– Jak swaty? – Guzikowa siorbnęła głośno i odsunęła kubek z herbatą od ust.

– Coś koło tego.

– I na czym to polega?

– Hmm, nie bardzo się orientuję. – Zojka zarumieniła się po korzonki włosów. – Ale z tego, co zdołałam się dowiedzieć, przychodzi się do takiej agencji i przedstawia swoje preferencje co do ewentualnego partnera. Potem agencja umawia spotkanie i...

– I jest seks – wtrąciła domyślnie sąsiadka.

– Nie, nie, nie. Jak już mówiłam, to nie o taką agencję... To znaczy może i jest seks, na pewnym etapie. U jednych szybciej, a u innych później, ale...

– A u Zośki jak było? – dopytywała zaaferowana staruszka.

– No ja mam nadzieję, że w ogóle! – Dziewczyna zmartwiła. – Nie żebym babuni żałowała, ale po prostu wołałabym o tym nie wiedzieć. To moja babcia. Świętość. Kroiła mi chleb na małe trójkąciki, plotła wianki z koniczyny i podcierała pupę. Nie mogę myśleć o niej w kategoriach ludzi uprawiających seks. Zwłaszcza pozamałżeński.

– Może znajdzie męża i już nie będzie pozamałżeński. – Guzikowa uspokajająco poklepała ją po ręce, a Zojka z trudem się powstrzymała, by nie zerwać się zza stołu z dzikim wrzaskiem. Zamiast tego pokręciła głową i mruknęła z przekąsem.

– Najpierw to niech się sama znajdzie.

– Racja. I co z tą agencją?

– Nic. – Dziewczyna ponuro zwiesiła głowę. – Babunia ich odwiedziła, klientką została, ale na spotkanie z absztyfikantem nie dotarła.

– Może dobrali jej jakiego bufona?

– Może. – Zojka nie chciała rozwodzić się nad walorami Józefa

Józwiaka seniora. Przełknęła łyk herbaty i westchnęła. – Najgorsze w tym wszystkim są podejrzenia policji...

– A o co ją podejrzewają? – przeraziła się sąsiadka.

– Babuni o nic, ale na terenie miasta doszło do jakichś oszustw matrymonialnych i policja twierdzi, że to może mieć związek z agencją. Może, ale nie musi – dodała na wszelki wypadek, bo przejęta Guzikowa aż uniosła się z krzeselka. – Ja to nawet poszłam do tej agencji i klientką zostałam. Ze względu na babunię – wyjaśniła szybko, widząc spojrzenie starszej kobiety. – Dotarłam do tego, co jej wyswatali, ale on nic nie wie. I dalej stoję w miejscu. – Swoją wypowiedź zakończyła żalobnym westchnieniem. – Kota już dostaję! – mruknęła, odstawiając kubek z motylkiem na stół.

Jakby na zawołanie Filip we własnej osobie zdecydował się przypomnieć o swoim kocim istnieniu. Przemaszerował przez kuchnię majestatycznym krokiem, zbliżył się do stołu, omiótł zielonym spojrzeniem siedzące za nim kobiety, po czym zawrócił w okolice lodówki, przysiadł i zamarł w oczekiwaniu. Zojka usiłowała przepędzić go wzrokiem, a kiedy nic to nie dało, podniosła się i ruszyła na poszukiwanie kocich łakoci. Oczywiście natychmiast u jej boku zmaterializował się spoglądający wyczekująco Burek i trzeba było wygrzebać również coś odpowiadającego potrzebom większego pyszczka. Potem należało zapobiec walkom o zawartość misek i dorzucić pod blachę kolejne dębowe polano. Kiedy w końcu Zojka powróciła do siedzącej za stołem sąsiadki, przekonała się, że ta pograżyła się w zadumie.

Nagle drgnęła i posłała dziewczynie triumfalne spojrzenie.

– Już wiem – obwieściła.

– Naprawdę?

– Przecie to jasne jak słońce! Musimy zrobić prowokację! – Zojka uśmiechnęła się lekko, a Guzikowa zbeształa ją wzrokiem. – To jedyny sposób! Zgłosimy się do agencji

i zdemaskujemy oszusta!

Zojka pokręciła głową zniechęcona.

– To nic nie da. Przecież mówiłam, że już tam byłam i niczego się nie dowiedziałam.

– A umówiłaś się z którym?

– No nie...

Sąsiadka skinęła głową, zupełnie jakby było to dla niej oczywiste.

– Bo nie masz odpowiedniej aparatury. – Wzruszyła ramionami, a Zojka z wrażenia zakrztusiła się herbatą. – Aparycji, chciałam powiedzieć.

– Cóż, jakichś kandydatów tam miałam... – słabo broniła się dziewczyna, którą sugestia o braku odpowiedniej aparycji tudzież aparatury troszkę uraziła.

Guzikowa skwitowała jej słowa lekceważącym machnięciem ręki i kontynuowała zaaferowana:

– Uważam, że to jedyny sposób, by zdemaskować ancymona. Ino przynęty potrzebujemy.

– Przynęty – powtórzyła nieprzytomnie Zojka.

– Jestem gotowa się poświęcić – oświadczyła uroczyście Leokadia.

Zojka prychnęła herbatą na siebie i stół. Przestraszony Filip bryknął nad miską i czym prędzej wziął nogi za pas, znikając w sieni. Burek wykorzystał okazję i jednym liźnięciem opróżnił kocią miskę. Guzikowa spiorunowała Zojkę wzrokiem i uczyniła taki gest, jakby chciała odebrać jej kubek. Dziewczyna spojrzała na nią załzawionymi oczyma.

– Pani? – wołała się upewnić.

– A czy mi co brakuje? – zaciętrzewiła się Stara Leośka.

Zojka energicznie pokręciła głową. Sąsiadce zdecydowanie nic nie brakowało, powiedziałyby nawet, że co nieco występowało u niej w nadmiarze. Na przykład kilogramy i włosy na brodzie. Odchrząknęła i zaczęła dyplomatycznie przekonywać

przyjaciółkę babuni, że misja, której zamierza się podjąć, może okazać się wyjątkowo niebezpieczna. Do Guzikowej nie trafiały jednak żadne argumenty. Zaczęła nawet planować, co powinna włożyć, aby okazać się wiarygodną przynętą. A minę miała przy tym tak rozmarzoną, jakby przygotowywała się nie do spotkania z groźnym przestępcą, ale do balu w pałacu przystojnego księcia.

– Założę korale z bursztynu – oświadczyła zdecydowanym tonem. – I sweterek z angory. Ten zielony, kościółkowy.

Zgnębiona Zojka podparła brodę ręką i jęknęła cichutko. Zapowiadał się naprawdę długi wieczór.

• ROZDZIAŁ CZTERNASTY •

– Wygląda na to, że nasza lokalna agencja matrymonialna zwija żagle – obwieściła Marta Markowska.

– Jakie żagle? Jak to? Kiedy? – Zojka oderwała wzrok od ekranu laptopa i nieprzytomnie spojrzała na szefową. Była niewyspana i rozdrażniona, ponieważ do późnych godzin wieczornych usiłowała wyperswadować Guzikowej udział w matrymonialnej prowokacji, a potem bezsennie przewracała się w łóżku, zadręczając się losem babuni Łyczakowej. Od rana przetrząsała zaś internet, usiłując wyłuskać z jego odmętów wszelkie afery z udziałem biur matrymonialnych. Z marnym skutkiem, niestety.

Markowska pałaszowała właśnie serek homogenizowany, stojąc przy oknie i wyglądając na ulicę.

– Nie wiem dokładnie – wymamrotała niewyraźnie, oblizując łyżeczkę. – Usłyszałam o tym całkiem przypadkiem. Wiesz, moja siostra przyjaźni się z siostrą właścicielki lokalu, w którym znajduje się agencja. I ta właścicielka mówiła siostrze, swojej znaczy, a ta potem powtórzyła mojej, że musi szukać nowego najemcy. Rzekomo biznes nie idzie tak dobrze, jak się spodziewali. I pewnie dlatego zwijają.

Albo dlatego, że interesuje się nimi policja, pomyślała Zojka.

– A nawet nie zdążyliśmy o nich napisać. – Markowska

skrzywiła się, zaraz jednak dodała pogodnym tonem: – Chwała Bogu, „Wadowicka” też nie...

– Cholera! – zaklęła Zojka. – Nie mogą, nie teraz!

Szefowa kiwnęła głową.

– Zgadzam się. Bo jeśli ktoś w tym mieście robi dobrą gazetę, to na pewno nie oni...

– Nie mogą się zwinąć! – Zojka nie zwracała uwagi na płomienną przemowę Markowskiej. – Przecież babunia się jeszcze nie odnalazła! Jeśli zwiną się oni, to ten patałach, który ją uprowadził, też się zwinie!

Wyskoczyła zza biurka, gwałtownie zatrzęsnęła klapę laptopa i sięgnęła po przewieszoną przez oparcie kurtkę. Markowska popatrzyła na nią zdumiona.

– Dokąd się wybierasz?

– Idę do agencji. – Zojka wzruszyła ramionami. – Chyba za długo się z nimi patyczkowałam. Pora sięgnąć po cięższą artylerię.

– Czyli co?

Tuszyńska zawahała się w progu i obrzuciła szefową żalonym spojrzeniem.

– Jeszcze nie wiem, ale może wymyślę coś po drodze.

Po wyjściu na ulicę Zojka opatuliła się kurtką, zaczerpnęła solidny haust zimnego powietrza i ruszyła w kierunku siedziby agencji. Po drodze starała się wymyślić, co robi, kiedy dotrze już na miejsce, ale niestety nic nie wpadło jej do głowy. No bo co takim powiedzieć? Dzień dobry, czy są państwo zamieszani w zniknięcie mojej babci? Nie? A czy w takim razie byliby państwo tak uprzejmi nie zwijać żagli, zanim nie namierzę tego zwyrodnialca? Bardzo proszę!

Zojka pokręciła głową zniechęcona.

Zatrzymała się przed wejściem i utkwiała nieszczęśliwe spojrzenie w blondynce zdobiącej szklaną witrynę. Zauważyła, że naklejka zaczyna się łuszczyć w okolicy wydatnego biustu.

– Starzejesz się – uświadomiła blondynce.

Tuszyńska przez chwilę stała przed witryną, uderzając czubkiem botka w mur i szukając pretekstu, by wejść do środka. Tak zastała ją właścicielka agencji.

– Dzień dobry – powiedziała ostrożnie. – Wchodzi pani?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła ponuro.

– Może niech pani lepiej wejdzie. Mamy do pogadania.

Zojka poczuła uderzenie gorąca. Czego chciała właścicielka agencji? Chyba nie dowiedziała się o tej akcji z laptopem? Może coś zauważyła? Może w lokalu znajdowały się kamery i ktoś odtworzył, jak ona biega zdyszana między stolikami i myszkuje w plikach agencji matrymonialnej, a Kordecki robi z siebie pajaca? Swoją drogą niezłe mu to wychodzi, chyba ma to we krwi, pomyślała i uśmiechnęła się pod nosem.

Widząc to, Barbara Norkowska wyraźnie się rozluźniła i wskazała wejście.

– Bardzo proszę, mam dla pani wiadomość.

Bez dalszej zwłoki weszły do środka i skierowały się wprost do gabinetu właścicielki. Mijając kontuar, Barbara poleciła Kornelii, by ta przygotowała dwie kawy. Zojka westchnęła w duchu. Co z tego, że miała wielką ochotę na kawę, skoro z pewnością znowu dostanie jej kropelkę? Weszła do gabinetu i zdumiona patrzyła, jak Norkowska dokładnie zamyka za nimi drzwi.

– Co z pani babcią? Czy coś się wyjaśniło? – zapytała, siadając za biurkiem.

Zojka zacisnęła szczęki tak mocno, że aż poczuła ból. Potrząsnęła głową ze smutkiem.

– Niestety, jeszcze się nie znalazła.

– Mam nadzieję, że wszystko skończy się pomyślnie. – Barbara spojrzała Zojce prosto w oczy, zupełnie jakby chciała

przekonać ją o swojej szczerości. – Moja agencja naprawdę nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

Zojka uważała inaczej, więc pominęła tę uwagę milczeniem. Nawet jeśli pracownicy agencji matrymonialnej „Do Zakochania Jeden Rok” nie uwięzili babuni Łyczakowej w ciemnym lochu, to i tak sama agencja przyciągnęła wariata lub parę wariatów czerpiących przyjemność z grabienia staruszków.

– Miała mi pani coś powiedzieć – przypomniała.

– A, tak! – zreflektowała się Barbara. Sięgnęła na półkę za swoimi plecami i zdjęła z niej niebieski segregator. Po chwili trzymała w ręku kilka luźnych kartek. Zojka wyciągnęła szyję, ale nie była w stanie dojrzeć, co się na nich znajduje. Właścicielka agencji przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kartki, po czym odchrząknęła i spojrzała na swoją rozmówczynię. – Cóż, wszystko wskazuje na to, że jeden z naszych klientów jest panią zainteresowany.

– Naprawdę?

– No tak, ja też się dziwię... – mruknęła pod nosem właścicielka, a kiedy Zojka posłała jej przepełnione oburzeniem spojrzenie, dodała w ramach usprawiedliwienia: – Dziwię się, bo podała pani bardzo mało informacji o sobie. Nasi klienci z reguły preferują bardziej klarowne...

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Barbara zawiesiła głowę i spojrzała wyczekująco w kierunku wejścia. Zojka zerknęła za siebie. W progu pojawiła się Kornelia z tacą. Ustawiając na blacie biurka maleńkie filiżanki z kawą, cukiernicę i dzbanuszek z mlekiem, rzucała Zojce zaciekawione spojrzenia. Tuszyńska poczuła się niepewnie i utkwiała wzrok w splecionych na kolanach dłoniach.

Norkowska odczekała, aż za recepcjonistką zamkną się drzwi, i ponownie sięgnęła po plik kartek. Uderzała nimi o blat biurka, tłumacząc Zojce, że jeden z ich stałych klientów, pan Grzegorz, jest zauroczony jej urodą i chciałby ją poznać. Czy Zojka wyrazi

zgode na zorganizowanie spotkania? Z całej wypowiedzi właścicielki agencji do Tuszyńskiej dotarło jednak tylko jedno...

– Stały klient? – zapytała nieufnie.

Norkowska skinęła głową.

– Tak, współpracujemy z panem Grzegorzem od lat. Był z nami, gdy nasza siedziba mieściła się jeszcze w Andrychowie. Niestety, jak na razie nie udało mu się znaleźć miłości. – Ton, jakim wypowiedziała te słowa, wskazywał, że pana Grzegorza i jego poszukiwań drugiej połowy ma powyżej uszu. Zojka nie zwróciła na to uwagi, bo w tym samym czasie dodawała dwa do dwóch, a uzyskany wynik usiłowała dopasować do sprawy babuni Łyczakowej. Niby o żadnym Grzegorzu w tabelce nic nie znalazła, ale przecież szukała tylko w rubryce babuni...

– Czy ten cały Grzegorz – wypytywała – nie preferuje czasem dojrzałych kobiet?

– Rzeczywiście. Do tej pory gustował w paniach starszych od siebie – przyznała właścicielka, zaglądając w papiery. – Ale uznał, że być może za tym kryją się ciągle niepowodzenia i jest gotów spróbować czegoś nowego i umówić się z kimś w swoim wieku.

– W swoim wieku? – powtórzyła Zojka.

– Właśnie. Pan Grzegorz jest niebywale wrażliwym mężczyzną i kiedy przypadkiem usłyszał o pani babci...

– O babuni? – Zojka wytrzeszczyła oczy.

– ...uznał, że potrzebuje pani pocieszenia i rozrywki, by nie myśleć o smutnych rzeczach.

– Smutnych rzeczach? – powtórzyła Zojka. Norkowska najwyraźniej miała dość zabawy w echo, bo posłała jej rozdrażnione spojrzenie. – Przepraszam, niech pani mówi.

– Z mojej strony to właściwie tyle. Potrzebuję tylko informacji, czy zgadza się pani na umówienie spotkania.

– Czy się zgadzam? – Zojka zgrzytnęła zębami. – Nie mogę się doczekać!

Gdy Zojka opuściła gabinet, natknęła się na Witolda Rzepkę. Wspólnik Norkowskiej tak nisko pochylał się nad kontuarem, za którym siedziała Kornelia, że długim nosem niemal dotykał klawiatury jej laptopa. Zojka skinęła im głową bez słowa i narzuciła na ramiona kurtkę. Ruszyła w kierunku wyjścia, błędząc myślami wokół tajemniczego Grzegorza, który gustował w starszych kobietach, a teraz chciał się z nią spotkać, by pocieszyć po zaginięciu babuni Łyczakowej. A może raczej wyciągnąć z niej, co wie? To nie mógł być przypadek! Na myśl o umówionym spotkaniu Zojka poczuła radosne podekscytowanie. Już ona przycisnie tego gagatka. Gdy zobaczy siekiere babuni, raz-dwa wyśpiewa, gdzie przetrzymuje staruszkę!

Wychodząc na ulicę, bezwiednie trzasnęła drzwiami. Witold i Kornelia wymienili spojrzenia. W tej samej chwili dołączyła do nich Norkowska. Cała trójka obserwowała przemierzającą Plac Jana Pawła II dziewczynę.

– Umówiłaś ją z Grzegorzem? – zapytał cicho Witold, nie patrząc na współniczkę. Barbara skinęła głową. – Była chętna?

– Chętna? – Kobieta zaśmiała się. – Mało nie podskoczyła z radości. Napalona jak nie wiem co.

– Ale nie wspominałaś jej, że on...?

– Że był klerykiem? – Barbara rzuciła Rzepce znaczące spojrzenie. – Nie. Skoro chce się z nią spotkać i nieść jej pociechę, niech tak będzie. Może zajmie ją na chwilę i nie będzie grzebać...

Rzepka potarł dłonią szorstki od zarostu policzek i spojrzał pytająco na Kornelię.

– Zrobiłaś porządek w papierach? – Recepcjonistka potaknęła energicznie, ale mężczyźnie to nie wystarczyło. – W komputerze również?

- Wszystko jest okej! – potwierdziła.
- Prędzej czy później zjawi się tutaj policja.
- Policja policją, ale Tuszyńskiej tak łatwo się nie pozbędziemy! Jest przekonana, że to my stoimy za zniknięciem tej całej babuni! – jęknęła Norkowska. – To absurdalne!

Rzepka machnął ręką.

- Z Tuszyńską sobie poradzimy. Z policją też. Nakierujemy ich na Józwiaka. Zofia Łyczak nie spotkała się z tym starym zbrojeńcem, więc nie powiążą jej zaginięcia z naszą agencją. Teraz skupmy się na tym, żeby w śledztwie nie wypłynęło spotkanie z tym drugim...

Uczucie podekscytowania towarzyszyło Zojce całe popołudnie. Nie, nie podniecała jej perspektywa rychłej randki z tajemniczym Grzegorzem, bo przez zaginięcie babuni Łyczakowej wszelkich zrywów matrymonialnych miała powyżej uszu, ale już sama myśl, że prawdopodobnie natrafiła na trop, sprawiała, że krew w jej żyłach buzowała ogniem. Rozczarowana była tylko faktem, że nie ma się z kim swoim stanem podzielić. Babunia – z oczywistych względów – odpadała, Chochołek nie odbierał telefonu, rodzice i pozostali krewniacy tkwili w słodkim przeświadczeniu, że babunia jest bezpieczna i wysyła SMS-y z pozdrowieniami, Markowska zaraz chciałaby robić z tego „wielki materiał”, a Guzikowa? Po wczorajszym wieczorze Guzikowej wołała unikać, w obawie, że ta – wypachniona i wyelegantowana – oczekuje na swoją wielką rolę przynęty na oszusta matrymonialnego.

Zojka nie mogła się na to zgodzić. Jeszcze, nie daj Boże, starsza pani wyjdzie z akcji z uszczerbkiem na zdrowiu? Albo – co gorsza – z obrączką na palcu?

Na samą myśl Zojką wstrząsnął dreszcz. Markowska natychmiast zinterpretowała to po swojemu.

– Biegasz po całym mieście i nawet kurtki porządnie nie zapniesz. Doigrałaś się. Wyglądasz niewyraźnie. Pakuj manatki i idź do domu. Ten tekst o wernisażu w bibliotece możesz przecież napisać w łóżku – gderała tonem zatroskanej mamusi.

W pierwszej chwili Zojka zamierzała zaprotestować i uświadomić szefową, że nic jej nie dolega, ale po krótkim namyśle stwierdziła, że kilka dodatkowych godzin wolnego dobrze jej zrobi. Może po raz kolejny przeszuka sypialnię babuni? Albo pochodzi po wsi i rozpyta o niesforną staruszkę? Co prawda według Chochołka policja już o to zadbała, ale wiadomo, jak bywa z taką policją... Nikt nie chce mieć do czynienia, a jak przyjdzie co do czego, każdy stoi sztywno, jakby kij połknął. Z takiego stresu to i nietrudno coś przeoczyć albo przemilczeć.

Wyszła na ulicę, omiotła spojrzeniem wędrujących Zatorską ludzi i zerknęła na wyświetlacz smartfona. Na pociąg przed czternastą już nie zdąży, następny dopiero o szesnastej, a podróż zatłoczonym busikiem, przesiąkniętym specyficznym zapachem kiszonej kapusty, skarpetek i człowieka, który je nosił, wcale jej się nie uśmiechała! Zojka zakręciła się w kółko, zerknęła w kierunku Pestki, spojrzała na majaczące w oddali logo popularnej drogerii, rzuciła okiem w stronę uliczki, która doprowadziłaby ją na Barską, potem obejrzała się za siebie, jakby przez otaczające ją budynki mogła dojrzeć siedzibę komendy, i w końcu ruszyła z miejsca.

Pięciominutowy spacer zaprowadził ją przed nadgryzioną zębem czasu, odrapaną bramę i potężny budynek z szarego kamienia. Przytwierdzona nad wejściem tabliczka informowała, że zaledwie dwa kroki dzielą ją od siedziby „Kroniki Wadowickiej”. Zojka rozejrzała się na boki, z zadowoleniem zauważając, że samochód Kordeckiego stoi zaparkowany pod pobliskim drzewem, i nacisnęła kłamkę. Drzwi ustąpiły, a w młodą kobietę uderzył specyficzny zapach starych

budynków, drewnianych podłóg i papieru.

W korytarzu natknęła się na Arletę. Na widok Tuszyńskiej oczy blondynki zrobiły się okrągłe jak piłeczki pingpongowe.

– Co tu robisz? – wydyszała.

– Szukam tego... redaktora – odparła Zojka.

– A byłaś umówiona?

W siedzibie redakcji Arleta poczuła się panią sytuacji i zastąpiła kobiecie drogę, krzyżując ramiona na kształtnym biuście i wysuwając wojowniczo do przodu jedną nogę w botku na imponującym obcasie. Zojka posłała jej zdumione spojrzenie, ale zatrzymała się posłusznie. Oczy obydwu kobiet mimowolnie powędrowały w okolice kostki blondynki. Arleta poruszyła się niespokojnie. Wyższa cholewka buta umożliwiła jej założenie cielistych rajstop, ale wiadomo co ta cholera Tuszyńska dostrzeże tym swoim przenikliwym wzrokiem?

Tymczasem „cholera Tuszyńska” przygryzała dolną wargę i dumiała, jak ominąć groźnego dobermana broniącego wstępu do gabinetu Kordeckiego. Jej milczenie dodało blondynce animuszu. Pokiwała głową z pobłażliwym uśmiechem.

– Tak właśnie myślałam. Umów się z łaski swojej i nie wprowadzaj chaosu. Wiem, że mogłaś odnieść mylne wrażenie, kiedy z polecenia Chochołka bawiłaś się w naszej redakcji w dziennikarkę, ale im prędzej zrozumiesz, tym lepiej. Tutaj się pracuje! – rzuciła z wyższością i okręciła się na pięcie.

Zojka zauważyła, że jej obcas pozostawił na parkiecie brzydki, ciemny ślad, i pomyślała z rozbawieniem, że Kordecki musi przekalkulować, co się mu bardziej opłaca: blondwłosa dziennikarka i jej szpilki czy coroczne cyklinowanie parkietu.

Kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi, Tuszyńska opadła na stojące pod ścianą krzesło. Nie, nie zamierzała się poddawać! Jeszcze utrzyma tamtej nosa, i to tak, że wyskoczy ze swoich skóropodobnych botków ze zdartymi flekami.

Na razie jednak sięgnęła po smartfona i uruchomiła skrzynkę

mailową. Tak jak się spodziewała, czekała na nią wiadomość z agencji matrymonialnej, a w niej czas i miejsce spotkania z Grzegorzem. Zojka z zadowoleniem przyjęła fakt, że ma cały dzień, by przygotować się do „randki”. Jeszcze nie postanowiła, czy taktykę pozyskiwania informacji oprze wyłącznie na ciętym języku, czy wykorzysta także inne atrybuty (ze szczególnym uwzględnieniem ostrych narzędzi stosowanych w gospodarstwie na wzgórzu), ale wiedziała, że to prawdopodobnie ostatnia okazja, by czegoś się dowiedzieć. Potem agencja zwinie żagle, obierze kurs na inne miasto, a nadzieje zdemaskowania oszustów matrymonialnych żerujących na potrzebie miłości pójdą na dno. Nie mogła na to pozwolić!

Przeszła do listy kontaktów i spróbowała połączyć się z Chochołkiem, ale bez powodzenia. Zirytowana napisała wiadomość, by policjant pilnie się z nią skontaktował, bo poczyniła ważne ustalenia dla śledztwa. Na koniec dopisała, że bardzo się cieszy szczęściem aspiranta, ale niechże się, na miłość boską, skupi na robocie, a nie prowadzi po parkach i alejkach. Sam prosił, by mu pomogła, a tu się okazuje, że nawet pomagać nie ma komu!

Zanim zdążyła się rozmyślić, szybko wcisnęła „wyślij” i zawahała się z palcem na ikonie nowej wiadomości. Zerknęła w kierunku drzwi, za którymi znikła Arleta, a na jej wargach pojawił się cień uśmiechu. Więc to tak? Żeby spotkać się z tym tamtym, musi być umówiona? No to się umówi! Wysłała krótkiego SMS-a z pytaniem, czy może wpaść, a kiedy po kilku minutach nadeszło potwierdzenie, podniosła się z krzesła, poprawiła ubranie, odrzuciła włosy na plecy i dumnie uniosła głowę. Z szerokim uśmiechem przekroczyła próg pokoju redakcyjnego i rzucając mijanym dziennikarzom radosne słowa powitania, zbliżyła się do biurka poczerwieniałej ze złości Arlety.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaćwierkała wesoło – ale

jestem umówiona z redaktorem Marcinem Kordeckim. Zaprowadzi mnie pani?

– Więc umówiłaś się na randkę. – Redaktor Marcin Kordecki uśmiechnął się pobłaźliwie i wcisnął kierunkowskaz, by wyjechać na obwodnicę. – Świetnie, w końcu po to są agencje matrymonialne.

Zojka, która w jego słowach wyczuła jakąś ukrytą złośliwość, miała ochotę trzepnąć go po głowie trzymaną na kolanach listonoszką, powstrzymała się jednak w obawie przed kolizją. Nie od dziś wiadomo, że w razie wypadku kierowca odruchowo manewruje samochodem, by ochronić siebie. A pasażer? Jaki pasażer?

– To nie jest zwykła randka – zaznaczyła szybko. – Idę tam tylko dla dobra sprawy. Kiedy usłyszałam, że ten cały Grzegorz umawia się ze starszymi paniami, a na dodatek interesuje się babunią i jej zniknięciem... Chyba rozumiesz, że to nie jest przypadek! Nie mogłam tego tak zostawić!

– Tak, tak, oczywiście! – zakpił.

Zojka spojrzała na dziennikarza ze złością.

– Cóż, ze mną przynajmniej ktoś chciał się umówić... – mruknęła pod nosem.

Kordecki oderwał wzrok od jezdni i zerknął na współpasażerkę spod zmarszczonych brwi.

– Co to miało znaczyć, do cholery?

– Nic – odrzekła niewinnie. A kiedy uspokojony odwrócił wzrok i ponownie skupił uwagę na drodze, dodała jakby mimochodem: – Mówię tylko, że każdemu z nas umówiono randkę. Ja spotkam się z tym całym Grzegorzem, Chochołek prowadzi się po krzakach z jakąś ślicznotką, nawet babunia prawdopodobnie zaliczyła randkę z psychopatą, choć z tego to się akurat nie ma co cieszyć. Tylko tobie amor nie sprzyja...

– Amor! – prychnął rozdrażniony Kordecki. – Amor ma z tą całą agencją tyle wspólnego co szarlotka z bigosem!

Zojka potrząsnęła głową.

– No nie wiem. Aspirant wyglądał mi na całkiem zakochanego – stwierdziła.

Kordecki nie zwracał na nią jednak uwagi i gadał jak najęty, usiłując przekonać, że działalność podobnych przybytków mija się z celem.

– Poza tym co ty możesz wiedzieć o moich randkach? – rzucił na koniec z szelmowskim uśmiechem.

– Randkach? – prychnęła Zojka. – Trudno wiedzieć o czymś, co nie istnieje!

– Zdziwiłabyś się! – uniósł się urażony dziennikarz.

– Mało rzeczy jest w stanie mnie zadziwić, ale możesz spróbować. Proszę, pochwal się.

– Co?

– Pochwal się, z kim masz randkę – powtórzyła.

Redaktor, który właśnie wjeżdżał na rondo, z wrażenia skręcił w złą stronę i o włos uniknął wtarabanienia się pod ogromnego TIR-a. W ostatniej chwili odbił w bok i przy dźwiękach ogłuszającego klaksonu wrócił na właściwy pas. Zojka krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach. Kiedy zrozumiała, że niebezpieczeństwo minęło, trzepnęła Kordeckiego po ramieniu.

– Kto ci dał prawo jazdy, patałachu ty? Już ja prześwietlę szkołę jazdy, w której cię kształcili!

– To twoja wina, bo mnie zagadujesz i rozpraszasz! – pieklił się dziennikarz, któremu uwagę na temat nauki jazdy Zojka nadepnęła na odcisk.

– Ja ciebie zagaduję? Czym?

– Wypytyjesz mnie o randki, a nic ci do tego!

– To zależy. – Zojka wojowniczo splotła ramiona na piersi i spojrzała na niego rozzłoszczona. – Jeśli twoje randki są aranżowane przez agencję matrymonialną zamieszana

w uprowadzenie babuni Łyczakowej, to uważam, że...

– A ja uważam, że powinnaś zamknąć buzię! – ryknął czerwony na twarzy Kordecki. – Inaczej wysadzę cię na moście i dotrzesz do Lipówki na piechotę! – Ruchem głowy wskazał mijaną właśnie rzekę.

Obrażona Zojka odwróciła głowę w drugą stronę i przez chwilę bez słowa obserwowała migający za szybą krajobraz. Nie wytrzymała jednak długo.

– Ciskasz się, bo klientki agencji od razu się na tobie poznały! – rzuciła z satysfakcją.

Kordecki zaklął, nacisnął kierunkowskaz i gwałtownie skręcił w lewo. Gdzieś za nimi poniósł się oskarżycielski ryk klaksonu. Zojka poruszyła się nerwowo na siedzeniu i głośno przełknęła ślinę, a redaktor płynnie zaparkował obok dużego, srebrnego suva. Zgasił silnik i spojrzał znacząco na towarzyszkę. Ta natychmiast przybrała obronną postawę i wczepiła się mocno w fotel.

– Jeśli myślisz, że wysiądę, jesteś w wielkim błędzie. A spróbuj wypchnąć mnie siłą, to zacznę wzywać pomocy i wrzeszczeć, że jesteś zbrojcem seksualnym!

– A są jacyś inni? – Uniósł pytająco brew.

– Na pewno. Świat kryje wiele dziwactw. Jesteś najlepszym przykładem – palnęła, zanim zdążyła ugryźć się w język. Kordecki westchnął i kręcąc głową, odpiął pas bezpieczeństwa. Zojka pisnęła i zacisnęła powieki. – Nie wysiadam! – zapowiedziała.

Redaktor wzruszył ramionami.

– Twoja sprawa.

Zgrzytnęły otwierane drzwiczki, do wnętrza samochodu wpadł podmuch chłodnego, wilgotnego powietrza znad Skawy. Zojka ostrożnie uchyliła jedno oko i przekonała się, że mężczyzna stoi przy aucie i wkłada kurtkę. Zmarszczyła brwi. Chyba nie zamierzał wywlec jej z samochodu i cisnąć gdzieś w krzaki

porastające brzegi rzeki? Kiedy trzasnął drzwiczkami i przeszedł na jej stronę, zaparła się stopami o podłogę i wcisnęła palce w siedzenia, aż ich końcówki zapiekły.

– Nie wysiądę! – krzyknęła.

– Nikt ci nie każe! – parsknął, rozkładając ręce. Po chwili dodał jakby z namysłem: – Pomyślałem, że może jesteś głodna.

– Głodna? – zdumiała się Zojka.

– Ale najwyraźniej nie. I dobrze. Lubię cieszyć się dobrym stekiem w ciszy i spokoju – rzucił i odszedł.

Dopiero teraz Zojka zauważyła, że zatrzymali się przed popularną restauracją Steak House Padrone. Natychmiast poczuła, jak do ust napływa jej ślinka. Co prawda po aferze torebkowej unikała mięsa w jakiegokolwiek postaci, ale od rana w ustach miała tylko bułkę, kawę i sprasowane ciasteczko, które jakimś cudem zmaterializowało się na dnie jej torebki. Jakby na potwierdzenie, z jej żołądka dobiegło gwałtowne burczenie. Zojka posłała za Kordeckim nieszczęśliwe spojrzenie, ale redaktor znikł już za drzwiami restauracji.

• ROZDZIAŁ PIĘTNASTY •

Przed południem komendę powiatową nawiedziły dwa tornada. Huragan Zofia pojawił się o godzinie dziesiątej z minutami, przemknął obok dyżurki, wzbudzając konsternację i powodując głupawe uchylenie ust u młodego policjanta, dotarł do gabinetu, w którym urzędował aspirant Paweł Chochołek, i opadł na krzesło przed jego biurkiem ze wściekłym prychnięciem.

Chochołek zmartwiał, następnie pokiwał głową, spojrzał współczująco na niemogącą złapać tchu Zojkę, zaproponował szklankę wody i machnął lekceważąco dłonią do zziąjanego policjanta, który przybiegł za nią z dyżurki i teraz łapczywie łapał powietrze w progu.

– Co się dzieje? – zapytał troskliwym tonem, gdy ten już zniknął.

– Co się dzieje? – powtórzyła osłupiała Zojka. – To ja chciałam zapytać, co się dzieje! Dlaczego nie prowadzi pan żadnych działań w związku z zaginięciem babuni? Dlaczego pan mnie nie informuje na bieżąco?

– Brak śladów – wymamrotał Chochołek, próbując szarpnąć to, co kiedyś było jego grzywką.

Zojka zmierzyła dziwnym spojrzeniem fryzurę stróża prawa. Chciała zapytać, czy wpadł pod kosiarkę do trawy, ale

zrezygnowała. Mina policjanta powiedziała jej wszystko: nie był gotowy, by rozmawiać na temat swojego uczesania.

– A agencja? – zapytała więc tylko.

– Agencja... – Chochołek westchnął. – No niby jest agencja.

– Ja bardzo dobrze wiem, że jest agencja. Chcę wiedzieć, czy pan ją jakoś sprawdzi. Nie wiem, rejestry klientów, miejsca spotkań, podejrzanych mężczyzn, którzy korzystają z usług regularnie i bez powodzenia wciąż umawiają się ze starszymi paniami...

Aspirant machnął ręką.

– Przecież tak naprawdę nie wiadomo, czy pani Zofia faktycznie była ich klientką... A jeśli nawet była, to czy umówiono jakieś spotkania.

– Umówiono – palnęła bez zastanowienia Zojka.

Chochołek spojrzał na nią podejrzliwie.

– Skąd pani wie?

Zojka zdecydowała, że lepiej będzie lekko obrócić kota ogonem.

– Przecież to pan jako pierwszy wysnuł teorię, że za oszustwami matrymonialnymi stoi ktoś związany z agencją. A teraz...

– Prowadzone są działania operacyjne – wtrącił z ważną miną Chochołek, ale Zojka nie dała się zbić z tropu i ciągnęła dalej:

– ...nagle zmienił pan zdanie? Nagle agencja jest cacy? Ciekawe, czy jest to jakoś związane z damą, z którą prowadzi się pan po mieście. – Spojrzała na zarumienionego aspiranta z namysłem.

– Prowadzę dochodzenie – wydukał policjant.

– A mógłby pan je prowadzić szybciej? – zapytała z nadzieją Zojka. – Bo od zniknięcia babuni upłynęło już... – Szybko policzyła w myślach i pobladła. Zerwała się z krzesła i spojrzała z góry na zdumionego Chochołka. – Niech się pan pospieszy, aspirancie. Błagam.

– Robię, co w mojej mocy – wymamrotał Chochołek i jakby na potwierdzenie tych słów, przysunął sobie klawiaturę komputera. – Kiedy zjawiała się pani tak nieoczekiwanie i gwałtownie – posłał jej wymowne spojrzenie – właśnie przetrząsałem internet w poszukiwaniu podobnych afer matrymonialnych.

– Już to zrobiłam. Nic nie ma. Niech pan nie traci czasu, tylko idzie do tej agencji i trochę ich przyciśnie! Może przypomną sobie jakiegoś podejrzanego Grzegorza?

– Grzegorza? – zdębiał aspirant.

– Albo innego Franciszka?

– Rozumiem. – Chochołek odchrząknął, postukując nerwowo paznokciem w blat biurka. – Wszystkim się zajmę – obiecał.

Kiedy za Zojką zamknęły się drzwi, Chochołek odetchnął z ulgą i rozparł się na niewygodnym krześle. Poluzował guzik przy kołnierzyku i sięgnął po stojący na biurku kubek z wystudzoną herbatą. Z naczynia spoglądał na niego żółciutki kanarek, więc stróż prawa uśmiechnął się do niego przyjaźnie, a potem odstawił kubek w bezpieczne miejsce i przysunął sobie klawiaturę. Co prawda, kiedy Zojka wtargnęła do pokoju, był zajęty podziwianiem zdjęcia panny Moniki w swojej komórce, ale naprawdę zamierzał poszukać informacji o agencjach matrymonialnych i związanych z nimi aferach. Skontaktował się już z komendą w Andrychowie, ale oni nie zanotowali podejrzanych zdarzeń o tym podłożu. Dziś Chochołek zamierzał ruszyć tym tropem dalej i porozmawiać z kolegami z Kalwarii Zebrzydowskiej, Kęt, Brzeszcz, Zatoru oraz Bielska. Zajmie się tym już teraz. Tylko jeszcze raz rzuci okiem do galerii smartfona...

Donośne trzaśnięcie drzwiami wyrwało Pawła Chochołka z zamyślenia. Podenerwowany aspirant uniósł głowę, by obsztorcować przybyłego za brak umiejętności zamykania drzwi, ale zamarł jedynie z uchylonymi ustami

i wytrzeszczonymi oczyma. Stojąca przy drzwiach Wanda Niewiadomska wojowniczo podpierała się pod boki i sapała. Tak, sapała niczym rozjuszony byk. Paweł Chochołek poczuł, jak wilgotnieje pod pachami.

Huragan Wanda zbliżył się do biurka policjanta, a ten wraz z krzesłem nieświadomie odsunął się pod ścianę. Niewiadomska zmierzyła go z góry wściekłym wzrokiem.

– Chyba musimy porozmawiać, nie uważa pan?

Wanda Niewiadomska skończyła czterdzieści dwa lata, a od niecałego roku przewodziła wadowickiej prokuraturze. Patrząc na jej osiągnięcia zawodowe, śmiało można by rzec, że odniosła sukces. Ale kobieta nie była w pełni zadowolona. Owszem, cieszyło ją stanowisko, na które wdrapała się po wielu latach ciężkiej i ambitnej pracy, ale coraz częściej satysfakcję wypierało poczucie pustki, jakie towarzyszyło jej, gdy po męczącym dniu wracała do eleganckiego mieszkania. W życiu Wandy Niewiadomskiej nie było nikogo, kto rozjaśniłby samotne dni i wypełniłby równie samotne wieczory. Żadnego dziecka. Żadnego mężczyzny. Ani nawet małego kundelka, który ogrzałby jej stopy i serce.

Wanda Niewiadomska znakomicie zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli ma coś w swoim życiu zmienić, powinna to zrobić właśnie teraz. Po dogłębnej analizie i rozpatrzeniu wszystkich za i przeciw zgłosiła się do biura matrymonialnego „Do Zakochania Jeden Rok” i zapowiedziała jej właścicielce, że jest zdecydowana znaleźć miłość. Zdumiona Barbara pomyślała, że jej nowa klientka zachowuje się zupełnie, jakby finalizowała transakcję kupna lodówki stojącej na wystawie, ale taktownie to przemilczała. Nie od dziś wiadomo, że klient nasz pan i lepiej z takim nie dyskutować. Szczególnie gdy jest nim szefowa prokuratury.

Wanda Niewiadomska oczekiwała nie tylko szybkich efektów, ale także obsługi na najwyższym poziomie. Wybrane przez nią biuro matrymonialne musiało cieszyć się nieposzlakowaną opinią. Niestety, na gładkim wizerunku szybko pojawiły się rysy. Pierwszą było spotkanie z Zojką Tuszyńską, której szefowa prokuratury po prostu nie znosiła. Widok młodej dziennikarki w ekskluzywnych wnętrzach agencji, na dodatek ubranej w jakieś łańchmany, przyprawił Wandę o atak migreny. Kobieta prawie zrezygnowała z usług Norkowskiej, stąd jej nieobecność na organizowanym przez nią wieczorku randkowym, ale ostatecznie postanowiła się Tuszyńską nie przejmować i nadal poszukiwać miłości. Oczywiście w dyskretny i subtelny sposób. Niestety, jak dotąd żaden z kandydatów nie zyskał jej aprobaty.

A tymczasem pojawił się kolejny problem. Do ozdobionych gustownymi perełkami uszu szefowej prokuratury dotarło, że Paweł Chochołek prowadzi dochodzenie, które w pokrętny sposób jest powiązane z usługami matrymonialnymi. Policjanta widziano w siedzibie agencji, a także na imprezie przez nią organizowanej. Wanda Niewiadomska zapalała świętym oburzeniem. Nie wiedzieć skąd, pojawiło się u niej przekonanie, że ten nieporadny i pyszałkowaty zarazem policjant jakimś cudem dowiedział się o jej planach i z czystej złośliwości chce je udaremnić. Zjawiła się w komendzie powiatowej, aby postawić go do pionu.

Kiedy dotarła pod drzwi pokoju Chochołka, usłyszała dobiegające zza nich głosy, w których natychmiast rozpoznała Tuszyńską i policjanta. Wanda Niewiadomska dyskretnie rozejrzała się na boki, a przekonawszy się, że jest na korytarzu sama, bez skrępowania przytknęła ucho do futryny. Zojka była zdenerwowana i bynajmniej nie dbała o zachowanie dyskrecji, więc szefowa prokuratury nie miała najmniejszych problemów z poznaniem treści rozmowy. Wiedziała już, czego dziennikarka

szukała w agencji, i wbrew sobie zaczęła jej współczuć. Sama miała ukochaną babcię, która z oddaniem ocierała ciekący nos, cerowała podarte skarpetki i smażyła najlepsze pod słońcem jabłka w cieście. Niewiadomska dałaby się za nią pokroić, więc świetnie rozumiała determinację Zojki.

Jednak, co zaskakujące, najwięcej emocji wzbudziła w niej informacja o tajemniczej kobiecie, z którą spotykał się Paweł Chochołek. Jak to tak? Taki chłopak roztropek z grzywką przycinaną od rondelka, w dwóch różnych skarpetkach i z okruczem bułki chronicznie przyklejonym do brody znalazł miłość, a ona ciągle była sama? Wanda Niewiadomska miała ochotę tupnąć ze złości, ale ograniczyła się do gniewnego zaciśnięcia szczęki. Następnie oddaliła się spod drzwi aspiranta i ukryta za załomem korytarza czekała, aż Tuszyńska opuści gabinet. Dała policjantowi minutę na zaczerpnięcie oddechu i bez pukania wtargnęła do środka.

– Chyba musimy porozmawiać, nie uważa pan? – wysapała. Z satysfakcją zauważyła, że Chochołek pobladł, jakby zobaczył ducha. W jego wyglądzie było też coś niepokojącego. Zmarszczyła brwi. – Co się panu stało?

– Co? Proszę? – wydukał z trudem policjant. Kiedy dotknęła czoła, zreflektował się i pokrył buraczkowym rumieńcem. – A, to. Fryzjer mi doradził. Mówi, że tak będzie nowocześniej.

– Wygląda pan jak pajac – skwitowała prokuratorka, przysuwając sobie krzesło.

Chochołek zacisnął szczęki, ale nie odpowiedział na jej zaczepkę. Niewiadomska odchrząknęła i spojrzała na niego ponagląco.

– Słucham, aspirancie. Co ma pan do powiedzenia na temat prowadzonego dochodzenia? Co to za afera z... – nie mogła przypomnieć sobie nazwiska – ...babcią Tuszyńskiej?

– Więc chodzi o to, że... – zaczął nieporadnie.

– Nie podoba mi się to – przerwała mu bezceremonialnie.

Chochółek spojrział na nią spłoszony. Jak może się jej nie podobać, skoro jeszcze nic nie powiedział?

– Ale co?

– Nie pracuje pan efektywnie, aspirancie. Zaginęła kobieta, a pan za przeproszeniem pierdzi w stołek. Zamiast skoncentrować się na pracy, myśli pan o niebieskich migdałach, randkach, kobietach i innych łądactwach. A ta niewinna staruszka czeka na pomoc. Tak? – Spojrzała na niego ponaglająco.

– No tak... – przyznał z ociąganiem stróż prawa.

Usatysfakcjonowana Niewiadomska pokiwała głową.

– I jeszcze się pan do tego przyznaje! – Zamilkła na chwilę i przyglądała mu się z namysłem, delikatnie postukując bordowym paznokciem w blat biurka. Nagle zapytała: – Myśli pan o awansie?

– O tak! – przyznał rozmarzony Chochółek.

Wanda Niewiadomska posłała mu chłodne spojrzenie.

– To niech pan nie myśli! Bo jeśli w try miga nie rozwiąże pan sprawy agencji matrymonialnej i nie zdejmie z niej wszelkich podejrzeń o nieczne praktyki, przeprowadzę taką rozmowę z pańskim przełożonym, że wyląduje pan na malutkim posterunku w zapyziałej wiosce pod Nowym Sączem i będzie poszukiwał złodzieja krowiego nawozu! Dotarło?

Ośłupiały Paweł Chochółek powoli pokiwał głową, nie spuszczać wzroku z szefowej prokuratury. Nie rozumiał, co właśnie zaszło, wiedział tylko, że z jakiegoś powodu Niewiadomskiej zależało na tym, by jak najszybciej odnaleźć Zofię Łyczak i zamknąć dochodzenie.

– Nie natrafiliśmy na żadne ślady pani Zofii... – wymamrotał przybitym głosem. Szefowa prokuratury skrzyżowała wojowniczo ramiona na piersi i uniosła jedną starannie wydepilowaną brew. Chochółek poczuł, jak po szyi ścieka mu kropelka potu. – Poza tym jednym SMS-em nic nie mamy... –

wymamrotał.

– SMS-em? – Brew powędrowała jeszcze wyżej.

– Tak, i na dobrą sprawę do końca nie wiemy, kto go wysłał. Babu... znaczy pani Zofia czy oprawca.

– To pan nie wie, że dysponujemy technologią namierzania sygnału GSM z telefonu? Wystarczy, że użytkownik włączy komórkę i mamy go jak na tacy! Proszę wystąpić o zgodę do operatora i brać się do roboty!

Chochołek sapnął i pogładził się po podgolonym boczku, a Wanda Niewiadomska uniosła się z krzesła, obciągnęła spódnicę i poprawiła poły eleganckiego płaszcza. Potem spojrzała na aspiranta z góry i dostojnym krokiem ruszyła w kierunku wyjścia. W progu odwróciła się jeszcze, a jej usta rozciągnęły się w zimnym uśmiechu.

– Mniej spacerów po mieście, więcej pracy, aspirancie. Wyjdzie to panu tylko na dobre.

Skąd ona wie? – głowił się nieszczęśliwy Chochołek, gdy za szefową prokuratury zamknęły się drzwi. Znalazł tylko jedno wytłumaczenie. Był inwigilowany! Nie wiadomo jak, nie wiadomo kiedy i przez kogo, ale fakt pozostawał faktem. Prokuratora wiedziała o nim wszystko!

Grzegorz był trzydziestolatkiem o pociągłej twarzy i smutnych oczach spaniela. Za każdym razem, gdy Zojka napotykała jego melancholijne spojrzenie, miała ochotę zagwizdać. Na wszelki wypadek mocno zaciskała wargi i starała się błędzić wzrokiem po filiżance z herbatą. Najwyżej facet uzna, że jest wyjątkowo nieśmiała, co może nawet okazać się korzystne. Najpierw uśpi jego czujność, a potem zacznie zadawać pytania i wszystko z niego wyciągnie!

– Więc, hmm, szukasz miłości – bardziej stwierdził, niż zapytał Grzegorz, przerywając niezręczne milczenie.

– Tak. – Skinęła głową.

– To przez babcię?

– Słucham? – Zojka gwałtownie uniosła głowę, raptownie zapominając o postanowieniu unikania kontaktu wzrokowego z właścicielem psich oczu. – Co masz na myśli? – zapytała podejrzliwie.

– Słyszałem, że zaginęła. Bardzo smutna historia.

– Tak. – Zojka zmarszczyła brwi. – Nie da się zaprzeczyć.

– Nie dziwię się, że szukasz pocieszenia. Z pewnością czujesz się bardzo samotna – rzucił.

Zojka przytaknęła odruchowo. To, co mówił, miało jakiś sens. Tylko dlaczego czuła się jak na katechezie przed bierzmowaniem?

Grzegorz westchnął głęboko, potrząsnął nieco przydługą grzywką i szepnął:

– Proszę, nie rób tego...

– Czego? – Poruszyła się niespokojnie na krześle. Czasami zdarzało jej się robić dziwne rzeczy. Gryzła kosmyk włosów, ssała kciuk albo skubała ramiączko od biustonosza. Najczęściej przytrafiało się to, gdy była zdenerwowana. A teraz była, i to bardzo! Ale przecież się pilnowała! Na szczęście Grzegorz mówił o czymś innym.

– Nie idź na skróty. Nie daj sobie wmówić, że możesz kupić miłość. Związek nie jest towarem na sprzedaż, który można obejrzeć na wystawie, a następnie przyjąć estetycznie zapakowany w folijkę i przewiązany kolorową wstążką. To musi płynąć prosto z serca, rozumiesz?

– Eeee, chyba tak. – Zojka zamarła z na pół uchylonymi ustami. – Przepraszam, jesteś poetą?

– Czasem coś piszę – przyznał i spojrzał na nią z większym zainteresowaniem. – Ty też?

– Piszę całkiem sporo, ale poezja to raczej nie moja bajka.

– Ach, proza. Wielka szkoda, czytalibyśmy sobie nawzajem

swoje wiersze. Mogłabyś spróbować. – Uśmiechnął się smutno.

– Zobaczymy – odparła wymijająco Zojka. – A wracając do babuni...

W tej samej chwili jej towarzysz schylił się po upuszczoną łyżeczkę, a wzrok Zojki powędrował ponad oparciem krzesła, które zajmował, i zatrzymał się na Kordeckim. Szef „Kroniki Wadowickiej” siedział dwa stoliki dalej i zadowolony z siebie pochłaniał kremówkę, ale najwyraźniej wyczuł na sobie jej wzrok, bo podniósł oczy znad deseru i uśmiechnął się szelmowsko.

Zojka poczuła, jak ogarnia ją wściekłość. Zaciśnęła gniewnie pięści. Czy w tym mieście już nawet na pozorowaną randkę iść nie można, by nie natknąć się na kogoś znajomego? A jeśli już natyka się na kogoś znajomego, to czy koniecznie musi to być Marcin Kordecki? Z nerwów zupełnie zapomniała, że sama podzieliła się z redaktorem informacją o miejscu i czasie spotkania umówionego przez agencję.

– Tak? – zapytał uprzejmie Grzegorz, prostując się na krześle i odgarniając opadającą na oczy grzywkę. Krzywy uśmieszek Kordeckiego zniknął za jego plecami, ale mimo to Zojka nie potrafiła skoncentrować się na rozmowie. Z głupawą miną wpatrywała się w towarzysza, próbując sobie uświadomić, do czego jego „tak” się odnosiło. Mężczyzna zmarszczył brwi. – Mówiłaś o babuni – przypomniał i zaraz dodał ściszym głosem: – Muszę ci się do czegoś przyznać. Kiedy tylko usłyszałem, że korzystasz z usług tej samej agencji, zrozumiałem, że powinniśmy się spotkać!

– Naprawdę? A dlaczego?

– Sam nie wiem. Chciałem z tobą porozmawiać. Uznałem, że potrzebujesz otuchy!

– Pani Norkowska wspominała, że jesteś stałym klientem i że wolisz spotykać się ze starszymi kobietami. Czuję się zaszczycona, bo robisz dla mnie wyjątek. Dużo ich znasz? Tych

starszych kobiet?

– Kilka by się pewnie uzbierało. Też mam babcię. Nawet dwie – pochwalił się.

– Chodziło mi raczej o... – Zojka chrząknęła znacząco. Grzegorz pochylił się nad filiżanką, a wtedy chcąc nie chcąc spojrzała wprost w roześmiane oczy redaktora. Kordecki mrugnął do niej figlarnie, ale Zojka skupiła się na twarzy Grzegorza.

– Och, chodzi ci o... – zreflektował się mężczyzna. – Umówiłem się na kilka randek. Uważam, że starsze kobiety są poważniejsze i dysponują pewną charakterystyczną mądrością. Dlatego wybieram te po trzydziestce...

– Po trzydziestce?! – zdumiała się Zojka.

– No tak, tobie chyba niewiele brakuje?

– Niewiele! – zachłysnęła się oburzeniem. – Według ciebie kobiety po trzydziestce są starsze? To co powiedzieć o tych biedaczkach, które przekroczyły magiczną liczbę czterdziestu lat, albo obchodziły pięćdziesiąte lub sześćdziesiąte urodziny?!

– Moja mama obchodziła w ubiegłym tygodniu pięćdziesiąte urodziny i nie uważam, żeby była biedaczką – zauważył urażonym tonem. – A wracając do tematu twojej samotności, to czy naprawdę uważasz, że to dobra droga? Jest wiele sposobów, by zapełnić pustkę w sercu...

– Na przykład?

– Wspomniana już poezja.

– Ustaliliśmy, że to mi nie wychodzi.

– Modlitwa. – Posłał jej wymowne spojrzenie.

Zojka skinęła głową.

– Modliłam się do tego od spraw beznadziejnych. Jak widzisz, nie pomogło.

Grzegorz mechanicznie skinął głową i spojrzał na Zojkę z namysłem. Nagle wykrzyknął ożywiony:

– A zwierzęta? Wiele z nich potrzebuje wsparcia człowieka,

moglibyście pomóc sobie nawzajem...

– Regularnie znajduję futro w talerzu z rosołem. Masz jeszcze jakieś pomysły? – zakpiła w odpowiedzi Zojka.

– Chodzi mi o to, że agencja nie jest jedynym sposobem zagłuszania samotności.

– Sam korzystasz z jej usług, a mnie chcesz odradzać – uświadomiła mu Zojka.

– Liczą się pobudki. Ja szukam miłości, bo odczuwam taką potrzebę. Ty szukasz pocieszenia. A to może być niebezpieczne...

Strapiony Grzegorz pochylił się nad filiżanką, by siorbnąć herbaty. Spojrzenie Zojki mimowolnie powędrowało w stronę stolika, przy którym siedział Kordecki. Redaktor dopijał kawę i przyglądał się im bez najmniejszego skrępowania. Dziewczyna natychmiast poczuła uderzenie gorąca. Co za tupet, żeby przyleźć do kawiarni akurat w porze, kiedy ona zaplanowała spotkanie z tym gagatkiem, i na dodatek tak się wgapić! Do czego jeszcze posunie się Kordecki? Może podejdzie i zagai rozmowę? Na samą myśl Tuszyńską ogarnęła panika. Tymczasem jej towarzysz coś tłumaczył, gestykulując przy tym gwałtownie. Zojka otrząsnęła się z myśli o Kordeckim i skupiła wzrok na twarzy Grzegorza.

– Przepraszam, co mówiłeś?

– Tłumaczyłem, jakie zagrożenia wynikają z braku ostrożności przy zawieraniu podobnych znajomości. Weźmy na przykład taki internet...

– Ehe – rzuciła beznamiętnie Zojka, łowiąc kątem oka, że Kordecki podnosi się zza stolika i narzuca okrycie. Szybko mu poszło z tą kawą, ironizowała w myślach.

– Nigdy nie wiemy, kto ukrywa się po drugiej stronie monitora.

– Tak – przytaknęła.

– Może to być przystojny ksiązę albo...

– Żaba.

– Miałem na myśli raczej maniakalnego mordercę, ale niech będzie, że żaba.

– Tak, żaby są maniakalne. – Zojka kiwnęła głową, rejestrując, że Kordecki właśnie mija ich stolik i wyraźnie zwalnia. – Te ich udka...

– Cooo? – zdumiał się Grzegorz. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz? A może kpisz z tego, co mówię? – wycedził urażonym tonem.

– Nie, nie kpię, no co ty – zaprotestowała i uśmiechnęła się szeroko, bo redaktor właśnie przystanął przy ich stoliku i uklonił się uprzejmie. Tuszyńska odetchnęła głęboko i wskazała na Kordeckiego. – Przepraszam, po prostu dostrzegłam kolegę dziennikarza i odrobinę się rozkojarzyłam. Pozwólcie, że was sobie przedstawię. – Wykonała bliżej nieokreślony ruch ręką w kierunku zdumionego Grzegorza. – To Grzegorz, przyjaciel poznany za pośrednictwem agencji matrymonialnej. A to redaktor Marcin Kordecki, lokalny mistrz pióra. Również korzysta z usług naszego biura.

– I wy dwoje... się umawialiście? – Grzegorz oczyma okrągłymi jak piłeczki pingpongowe spoglądał to na Zojkę, to na Kordeckiego.

Redaktor gwałtownie zamachał rękoma.

– Nie! Skąd!

– Za żadne skarby! – potwierdziła Zojka.

– Wolałbym umówić się z egipską mumią – argumentował redaktor.

Zojka posłała mu przeciągłe spojrzenie. To oczywiste, że sytuacja wymagała naprostowania, ale czy naprawdę musiał być aż tak dosadny? O, ona mu jeszcze pokaże!

– Nie, bo widzisz, redaktor ma specyficzne wymagania, jeśli chodzi o partnerki, i przez to agencja nie potrafi znaleźć dla niego odpowiedniej kobiety – prychnęła, sięgając po filiżankę.

Upijając łyk aromatycznego naparu, mruknęła jakby mimochodem: – Podejrzewam, że chodzi o jakieś dziwaczne skłonności seksualne.

Grzegorz zeszywniał, Kordercki poczerwieniał, a Zojka spokojnie dopiła herbatę i odstawiła naczynie na stolik.

– Nie mam żadnych... – syknął Kordecki.

– Randek też nie masz – przerwała mu bezceremonialnie Zojka.

– Już ci mówiłem, że nic nie wiesz o moich randkach! Może właśnie idę na spotkanie?! – huknął, pochylając się nad stolikiem.

Kilka głów zwróciło się w ich kierunku. Przestraszony Grzegorz odsunął się wraz z krzesłem od stolika, a Zojka przewróciła oczami i opanowanym ruchem sięgnęła po dzbanek. Nalała sobie kolejną filiżankę herbaty i dopiero wtedy spojrzała na stojącego nad nią mężczyznę.

– Nie gorączkuj się tak, bo się spocisz. My tu właśnie dyskutujemy o zagrożeniach związanych z żabami. Może się przyłączysz? Skoro i tak już tu przylałeś...

– Powodzenia – burknął dziennikarz i skinąwszy głową zdumionemu Grzegorzowi, ruszył w kierunku wyjścia.

Zojka odprowadziła go wzrokiem. Wbrew sobie zastanawiała się, z kim mógł umówić się Kordecki. Może z tą blond mimozą z redakcji, która broniła do niego dostępu kłami, pazurami i piętnastocentymetrowymi szpilkami? Nie, najpewniej wymyślił to na poczekaniu, aby ją zdenerwować. I proszę, jakimś cudem mu się udało!

– Wróćmy do naszej interesującej rozmowy... – zaproponował Grzegorz, prostując się na krześle. Zojka spojrzała na niego nieprzytomnie. Czy naprawdę miała tu siedzieć, pijąc herbatkę, przegryzając mdłe makaroniki i wysłuchując porad, jak walczyć z samotnością i unikać zagrożeń związanych z randkami w ciemno? Nic z tego!

Pochyliła się w stronę mężczyzny, przybierając najsurowszą minę, na jaką było ją stać.

– Koniec podchodów! – oświadczyła. – Masz coś wspólnego ze zniknięciem mojej babci?

– Ja? Skąd ten pomysł? – Wytrzeszczył oczy.

Zojka przyjrzała mu się badawczo i kiwnęła głową. Wydawał się szczery. Odsunęła filiżankę i uśmiechnęła się przepraszająco.

– Miło było pogawędzić, ale muszę już iść...

– A co z twoją samotnością? – wybełkotał.

– A widzisz – uśmiechnęła się, naciągając kurtkę – właśnie zrozumiałam, że to nie tędy droga!

• ROZDZIAŁ SZESNASTY •

Po wyjściu z kawiarni Zojka zatrzymała się na chodniku i zaczerpnęła solidny haust chłodnego powietrza, aby pozbyć się z ust nieprzyjemnego posmaku przesłodzonej herbaty. Potem zerknęła na wyświetlacz komórki i stwierdziła, że do odjazdu pociągu pozostała jej jeszcze godzina, więc może trochę pospacerować po mieście. Powoli ruszyła w dół ulicy Lwowskiej. Akurat mijała sklep z męską odzieżą, kiedy kilkadziesiąt metrów przed sobą dostrzegła Kordeckiego.

Prychnęła lekceważąco.

Randka, a to dobre!

Przecież od razu widać, że redaktorzyna zmierza w kierunku komendy. Pewnie szuka informacji do jakiegoś artykułu albo chce podpytać Chochołka, czy są już jakieś postępy w śledztwie związanym z oszustwami matrymonialnymi. Może nawet wspomni aspirantowi, że ona, Tuszyńska, umówiła się na randkę z potencjalnym porywaczem, i będą się z niej natrzęsać przy kubku herbaty? Na samą myśl o takiej ewentualności Zojka zgrzytnęła zębami i przyspieszyła kroku. Podążała za Kordeckim, zachowując bezpieczną odległość i chroniąc się w bramach i drzwiach mijanych sklepów. Przechodzący obok ludzie obrzucali ją podejrziwymi spojrzeniami, ale nic sobie z tego nie robiła. Chciała wiedzieć, gdzie zmierza redaktor i czy

rzeczywiście jest to spotkanie z policjantem!

Kiedy Kordecki minął siedzibę policji, Zojka stanęła jak wryta. Ukryta za lichym drzewkiem rosnącym przed budynkiem poczty, obserwowała, jak dziennikarz znika za załomem zielonkawego muru i po chwili wyłania się po drugiej stronie ulicy Sienkiewicza. Nadal posuwał się Lwowską, utrzymując zwawe tempo i nie oglądając się za siebie. Młoda kobieta pokonała przejście dla pieszych i podbiegła kawałek, by nie stracić go z oczu. O mało co nie wtarabaniła się przy tym w jego plecy, na szczęście w ostatniej chwili spostrzegła, że stoi na rogu Lwowskiej i Legionów, wgapiając się w ekran komórki, i umknęła do sklepu z modą damską. Przycupnęła za manekinem i wyciągając szyję, starała się dostrzec, co robi Kordecki.

Tymczasem mężczyzna schował telefon i wsunawszy dłonie w kieszenie spodni, bezradnie rozejrzał się na boki. Nagle jego twarz rozjaśnił uśmiech i z nową energią ruszył przed siebie. Zojka chciała biec za nim, ale zaczepiła zamkiem kurtki o koronkową sukienkę prezentowaną na manekinie i pociągnęła plastikowy korpus za sobą. Ten cienkim łańcuszkiem łączył się z następnym, następny z jeszcze kolejnym i tym sposobem na zdezorientowaną dziewczynę posypało się dziwaczne domino. Oczywiście zrobiło się okropne zamieszanie: ekspedientka usiłowała wyswobodzić purpurową ze wstydu dziewczynę z plątaniny kreacji i stojaków, obecne w sklepie klientki nie szczędziły życzliwych rad, a przechodnie z zaciekawieniem zerkali do sklepu, by sprawdzić, o co ta cała awantura! Zażenowana Zojka pomogła ustawić manekiny w przeznaczonym dla nich miejscu, po raz dziesiąty przeprosiła za swoją niezgrabność i w ramach zadośćuczynienia za zamieszanie kupiła stylową apaszkę. W trzech kolorach.

No dobrze, prezenty gwiazdkowe miała z głowy, ale co z Kordeckim? Z pewnością zniknął i szukaj wiatru w polu!

Zojka pokręciła głową nad własną głupotą i ruszyła w kierunku dworca kolejowego. Czy naprawdę sądziła, że niezauważona będzie śledzić redaktora w drodze na jego tajemnicze spotkanie? Teraz nie dość, że się nie dowie, z kim miał się spotkać, to jeszcze spóźni się na pociąg i będzie zmuszona kilka godzin lazić po mieście w oczekiwaniu na kolejny! Po prostu świetnie! Mijając kwaciarnię, odruchowo zerknęła przez oszkloną witrynę i zatrzymała się gwałtownie. Osłupiała wpatrywała się w Kordeckiego, który właśnie odbierał z rąk sprzedawcy piękną wiązaną bladoróżowych róż.

Redaktor Marcin Kordecki rzucił okiem na trzymany w ręku bukiet i uśmiechnął się zadowolony. Sprzedawca spisał się na medal, przygotowując wiązaną zgodnie z jego wskazówkami. Delikatnie rozwinięte róże pięknie komponowały się z kremową frezją i jakimś egzotycznym liściem, którego nazwy nie znał. Wszystko razem tworzyło wysmakowaną i subtelną kompozycję. Idealną na prezent urodzinowy dla damy, dumął, przechodząc przez pasy i zagłębiając się między bloki na osiedlu Kopernika.

Nie okłamał Zojki, mówiąc, że chodzi o kobietę. W rzeczywistości spotykał się z nią regularnie od pewnego czasu i sam przed sobą musiał przyznać, że coraz bardziej lubił te spotkania. Każde z nich było okazją do fascynującej rozmowy: bez względu na to, czy szli do kawiarni, czy zabierał swoją przyjaciółkę na spacer, czy po prostu wpadał w biegu, by przynieść jej świeże bułki na śniadanie – zawsze toczyli interesujące dyskusje. Kordecki uśmiechnął się półgębkiem na myśl o niespodziance, którą zamierzał zrobić, wpadając niezapowiedziany z bukietem pięknych, urodzinowych róż!

Pograżony w myślach redaktor dotarł do parterowego domku przycupniętego między blokami i pchnął skrzypiącą furtkę. Gdyby w tym momencie obejrzał się za siebie, z pewnością

dostrzegłby ponurą jak chmura gradowa młodą kobietę, nieudolnie wciskającą się między rachityczne drzewko a zdezelowaną wersalkę zalegającą przy śmietniku. Jego uwagę zaprzętały jednak lekko uchylone drzwi wejściowe. Redaktor zmarszczył brwi, pokonał dwa betonowe stopnie i zatrzymał się w progu.

– Franiu? – zawołał cicho.

A ponieważ nikt mu nie odpowiedział, pchnął lekko drzwi, wkroczył do ciemnego korytarza i wyciągnął rękę w kierunku, w którym jeśli dobrze pamiętał, powinien znajdować się kontakt. Przez chwilę jego dłoń bezradnie macała chłodną ścianę, a potem poczuł mocne uderzenie i w jego głowie rozbłysło oślepiające światło. Wąskie pomieszczenie wypełnił zapach gniecionych kwiatów.

Zojka pociągnęła nosem i skrzywiła się lekko. Ze stojącej przy śmietniku wersalki unosił się mdlący zapach zgnilizny, wołała też nie myśleć, jakie żyjątka zasiedliły upstrzoną ptasimi odchodami tapicerkę. Na wszelki wypadek przeniosła się za drzewo rosnące po drugiej stronie ulicy i wtuliwszy mocno w omszały pień, zerkała ciekawie w kierunku parterowego domku. Kordecki wszedł do środka, a chwilę później drzwi zamknęły się z hukiem. Ktokolwiek tam mieszkał, był obdarzony gorącym temperamentem!

Zojka pokręciła głową z dezaprobatą. Była przekonana, że randka jest tylko i wyłącznie wytworem wyobraźni redaktora. A potem z wielkim zdumieniem odkryła, że Kordecki, wyposażony w bukiet róż, naprawdę zmierza na spotkanie z kobietą! Na domiar wszystkiego nie umówił się jak każdy cywilizowany człowiek w mieście. Tyle restauracji, kawiarni, budek z kebabami, ale nie – Kordecki od razu zaplanował randkę w domu! Zojka też dysponowała bujną fantazją

i potrafiła sobie wyobrazić, jak takie domowe randki przebiegają.

Wbrew sobie poczuła ukłucie zazdrości, ale natychmiast je stłumiła. No dobra. Ale co teraz? Kordecki korzysta z randki, a ona została bez pociągu i perspektyw na szybki powrót do domu. Musiała znaleźć sobie jakieś zajęcie. Może pójdzie na komendę i jeszcze trochę ponaciska Chochołka? Albo zajrzy na cmentarz i poczyta napisy na starych grobach? Kiedyś bardzo to lubiła...

Gdy tylko o tym pomyślała, jej wzrok padł na beczkę ustawioną tuż pod jednym z okien parterowego domku. Zojka przygryzła wargę i zrobiła niezdecydowany krok w kierunku posesji. Nie, nie powinna tego robić...

A jeśli ktoś ją dostrzeże i zawiadomi policję, że do domu próbuje dostać się włamywacz? A jeśli beczka nie wytrzyma jej ciężaru i rozleci się na tysiąc kawałków? Jeśli wyląduje pupą w tej wielkiej kałuży, a z domu wybiegnie zwabiony hałasami Kordecki i odkryje, że ona go cały czas śledziła? Co mu powie? Jak się wytłumaczy? Przechodziłam przypadkiem i postanowiłam sprawdzić, czy ta piękna beczka nadaje się, by sobie na niej postać na jednej nodze?

A jeśli on wybiegnie... w bokserkach i zacznie wrzeszczeć, że zepsuła mu randkę życia?

Wizja półnagiego Kordeckiego, wymachującego gwałtownie rękoma i pomstującego na wścibskie baby, podziałała na Zojkę motywująco. Bez dalszej zwłoki przebiegła wąską uliczkę i wyłożoną kamieniami ścieżkę prowadzącą do domu, skręciła za róg budynku i przykucnęła obok beczki. Oszacowała odległość między beczką a parapetem okna. Dom miał tylko jedną kondygnację, ale nachylenie terenu sprawiało, że w miejscu, w którym stała, parter był dość wysoki. Cóż, nie na takie drzewa wdrapywała się w dzieciństwie, prawda?

Właśnie zaczerpnęła mocno tchu i miała zamiar obrócić

beczkę do góry dnem, kiedy za jej plecami niespodziewanie rozległy się głosy. Spłoszona obejrzała się za siebie i zdumiona spostrzegła, że na tyłach znajduje się coś na kształt sutereny i jeszcze jedno wejście do domku. Właśnie z tamtej strony dochodził hałas. Spanikowana rozglądała się naokoło, szukając kryjówki, ale jesienna słota ogołociła ogród z liści i wszędzie sterczały gołe badyle. Głos przybliżał się, a wzrok Zojki spoczął na beczce. Jak dobrze, że nie zdążyła jej przewrócić! Teraz bez dalszej zwłoki złapała jej krawędzie i wgramoliła się do środka. Miała szczęście, beczka była opasła i... pusta!

Głosy przybliżały się. Przycupnięta w beczce Zojka starała się oddychać jak najciszej, by nie zdradzić swojej obecności. Jej serce biło jak oszalałe, miała wrażenie, że dudni jak dzwon i tamci muszą je usłyszeć! A do tego było jej potwornie gorąco i niewygodnie. Wyklinała na siebie w duchu za idiotyczny pomysł śledzenia redaktora. Gdzie ją to doprowadziło? Do beczki na deszczówkę, w której wcieliła się w rolę sardynki w sosie własnym! Pozostało jej skupić się na głosach, by wiedzieć, kiedy będzie mogła wydostać się z pułapki, i czmychnąć jak najdalej od randek Kordeckiego!

Swoją drogą: dlaczego zamiast randkować, redaktor łązi po ogródku?

Grządki chce przekopać?

Zojka zmarszczyła brwi. Głosy, które słyszała, należały do kobiety i mężczyzny, ale z całą pewnością nie był to Kordecki! Niby brzmiał znajomo, a i tak nie potrafiła określić, kto właśnie zatrzymał się nieopodal beczki. Jedno było pewne, ktokolwiek to był, nie chciał na siebie zwracać uwagi, bo właśnie zniżył głos!

– Mówiłem, że to kiepski pomysł! – denerwował się mężczyzna.

– Mówiłeś, mówiłeś – przedrzeźniała go kobieta. – Kto mógł przypuszczać, że przylezie właśnie dzisiaj i zastanie nas w tak

niedwuznacznej sytuacji... – mruknęła. Zojka nigdy wcześniej jej nie słyszała. – Trzeba posprzątać, nie ma wyjścia.

– Czyli wiadomo, co z dziennikarzem. A ta cała babunia?

– Przecież wiesz. – Westchnieniu kobiety towarzyszyło pstryknięcie zapalniczki. Zojka poczuła zapach tytoniu i zmarszczyła nos.

– Ale... – zaczął mężczyzna, jednak jego towarzyszka przerwała mu gwałtownie.

– Nie ma mowy – powiedziała stanowczo. – Staruszka jest rozdarta i nieobliczalna. Od samego początku stawiała okoniem i przez to cała akcja mogła zakończyć się porażką. Jak żyję, nie spotkałam jeszcze takiej zołzy!

Mężczyzna zwrócił się do kobiety tonem wyrzutu.

– Od początku twierdziłem, że to kiepski wybór!

– Spełniała wszystkie kryteria – zaperzyła się kobieta. – Skąd mogliśmy wiedzieć, że tak naprawdę wcale nie jest samotna? Trudno. Mleko się rozlało. Musimy dokończyć robotę i dyskretnie zniknąć. Ten tępawy policjant lada dzień skojarzy fakty, a wtedy zjawi się w agencji i robi rozróbę!

– W takim razie chodźmy – odparł ponuro mężczyzna.

Zojka poczuła przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz. Właśnie uświadomiła sobie, skąd zna ten głos. Słyszała go tylko raz: podczas wieczorku randkowego. Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Z napięciem oczekiwała dalszego przebiegu rozmowy i słów potwierdzających jej podejrzenia, ale głosy zamilkły.

Odczekała kilka minut, a potem złapała za brzeg beczki i wygramoliła się na zewnątrz. Niespokojnie rozejrzała się wokoło. Podwórko tonęło w nieprzyjemnym półmroku, a w blokach otaczających domek pojawiły się już pierwsze światła. Także z okna, do którego zamierzała wspiać się Zojka, padała lekka poświata, tłumiona przez zaciągnięte zasłony. Dziewczyna przygryzła wargę. Za murami parterowego domku

działo się coś dziwnego. Coś, co wymagało interwencji bardziej doświadczonych służb. Zojka sięgnęła po komórkę i wybrała numer Chochołka.

Zajęte!

Spróbowała jeszcze raz. To samo.

Niezdecydowana obejrzała się w kierunku budynku. Czy to tylko wyobraźnia, czy naprawdę za zasłoną przesunął się cień? Młoda kobieta w napięciu obserwowała żółty prostokąt okna, ale nic się nie działo. Właśnie uniosła komórkę, by wybrać numer alarmowy, gdy dobiegł ją odgłos rozbijanego szkła, a zaraz po nim dziki wrzask i stłumiony, gniewny okrzyk.

– Przeklęta starucha!

Zojka zamarła w bezruchu. A potem wcisnęła komórkę do kieszeni kurtki i rzuciła się ku drzwiom. Nie miała pojęcia, co tu się dzieje i czy sobie poradzi, ale nie mogła beczynnie czekać. Musiała działać i natychmiast ruszyć na odsiecz Kordeckiemu i uwięzionej babci. Bo nie miała najmniejszych wątpliwości, że towarzyszka Rzepki mówiła o babuni Łyczakowej! Świat nie znał bardziej rozdartej staruszki!

Aspirant Paweł Chochołek również planował kupić dla swojej wybranki wiązaną róż, ale na razie musiał skoncentrować się na bilingu telefonicznym Zofii Łyczak, który dostarczono mu przed południem. Pochylony nad wydrukiem, skubał czubek nosa i główkował, jakich informacji na temat zaginionej staruszki dostarczy mu studiowana przez niego kartka formatu A4. Z rozczarowaniem pomyślał, że raczej niewiele się z niej dowie.

Zofia korzystała z komórki wyjątkowo rzadko. Lista jej połączeń była zwięzła i ograniczała się właściwie do Zojki, Janka, Zosi oraz Leokadii Guzik. Na wykazie znalazły się również cztery nieznane mu numery, które wyglądały nader

obietująco. Po sprawdzeniu okazało się jednak, że pierwszy należy do redakcji popularnego tygodnika dla pań, drugi do agencji matrymonialnej, po wybraniu trzeciego Chochołka połączyło z zakładem pogrzebowym, a czwarty nie dość, że nie odpowiadał, to jeszcze nie widniał w żadnych rejestrach. Chochołek westchnął przeciągle i spojrzął na listę wiadomości. Ta była jeszcze krótsza, co poniekąd potwierdzało teorię Guzikowej, jakoby Zofia nie radziła sobie z ich pisaniem. Od czasu do czasu wysyłała charytatywne SMS-y, które wspomagały działalność różnych fundacji i zazwyczaj wymagały wpisania jednego krótkiego słowa. Na tym lista się kończyła, chociaż...

Chochołek poczuł, jak jego serce zaczyna mocniej bić. Z napięciem w oczach wpatrywał się w wykaz ostatnich wiadomości. Niewiadomska miała rację. Rozwiązanie zagadki kryło się w telefonie babuni Łyczakowej!

SMS, w którym Zofia informowała rodzinę, że jest bezpieczna, przyszedł parę minut przed siódmą, dwudziestego szóstego września. Zojka bezskutecznie próbowała połączyć się z babcią, bo nadawca natychmiast wyłączył telefon, jednak kilka godzin później wysłano z niego kolejną wiadomość. Może sprawca uruchomił go, by sprawdzić, czy wysłany SMS przyniósł jakiś odzew, i odruchowo napisał wiadomość? Może nie mógł skorzystać z własnej komórki i uznał, że jeden SMS nie naprowadzi organów ścigania na jego ślad? Chochołek z przejęcia przygryzł trzymany w ręku ołówek, po czym sięgnął po komórkę i wybrał numer z wykazu. Z mocno bijącym sercem wsłuchiwał się w kolejne sygnały, powoli tracąc nadzieję, że ktoś odbierze. Już, już miał się rozłączyć, gdy coś trzasnęło i szczebiotliwy głosik zawołał:

– Salon sukien ślubnych Ksymena, w czym mogę służyć?

Aspirant Paweł Chochołek poczuł, jak robi mu się gorąco. Wybełkotał, że to pomyłka, zakończył połączenie i przez

moment siedział nieruchomo, ściskając telefon i przetrawiając to, czego właśnie się dowiedział. Potem wstał, sięgnął po przewieszoną przez oparcie kurtkę i narzucił ją na siebie niecierpliwym ruchem.

Leżąca na biurku komórka wydała z siebie krótkie piknięcie. Policjant zerknął na wyświetlacz, a widząc, że w czasie rozmowy próbowała się z nim połączyć Zojka Tuszyńska, machnął ręką. To na pewno nic pilnego, co najwyżej chciała mu potruć, że niewystarczająco angażuje się w sprawę zaginięcia babuni. Ale się zdziwi, gdy przedstawi jej najnowsze ustalenia, oj, bardzo się zdziwi. Musiało to jednak poczekać, teraz miał na głowie ważniejsze rzeczy niż telefon do Zojki. Odwiedzi ją wieczorem, przecież i tak wybierał się do Lipówki...

Zojka, owszem, była zdziwiona, ale nie tym, o czym myślał aspirant Paweł Chochołek. Popychając delikatnie drzwi wejściowe, zastanawiała się, jakim sposobem na miejsce trafił Kordecki. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to to, że umawiał się z towarzyszącą Rzepce kobietą i zjawiając się nieoczekiwanie w jej domu, nakrył oszustów na jakichś niecznych praktykach. Zojka nie rozpoznała współpracownicy Rzepki. Barbara, Kornelia? Z pewnością któraś z nich. Dziewczyna skłaniała się ku Kornelii, która była młodsza i na swój wyfiokowany sposób atrakcyjna, ale w gruncie rzeczy czy to nie wszystko jedno? Liczyło się tylko to, że śledząc dziennikarza, w końcu natrafiła na ślad babuni.

Zojka zatrzymała się w korytarzyku i wyteżyła słuch. Po ogłuszającym wrzasku i dźwięku tłuczonego szkła w domku zapanowała cisza, zza drzwi dobiegała tylko delikatna muzyka. Pozornie wszystko było jak trzeba: zaciągnięte zasłony, sączące się przez nie światło i grające w tle radio, ale Zojka wyraźnie wyczuwała napiętą atmosferę. Zrobiła ostrożny krok w głąb

korytarza, a wtedy coś trzasnęło ostrzegawczo pod jej stopą. Serce Zojki fiknęło koziołka, a ona sama w ostatniej chwili stłumiła okrzyk przerażenia. Uspokoiwszy kołające serce, przykucnęła i wyciągając przed siebie ręce, wymacała porzuconą wiązaną. No tak, to stanowiło ostateczne potwierdzenie, że nie tylko staruszka znajdowała się w niebezpieczeństwie!

Przycupnięta nad zmiażdżonymi różami Zojka intensywnie myślała nad swoim położeniem i dalszymi krokami. Najlogicznym rozwiązaniem wydawało się dyskretne wycofanie z domu, który według wszelkich oznak był miejscem przestępstwa, i wezwanie policji. Ale logice i pannie Tuszyńskiej rzadko było po drodze. Poza tym czy mogła ot tak się wycofać? Jasne, że nie! Nie teraz, gdy wiedziała, że w domku przetrzymywano babunię Łyczakową! No i tego bubka, Kordeckiego, też!

Zojka spojrzała z namysłem na drzwi, zza których dobiegała przytłumiona muzyka. Według jej szacunków właśnie za nimi znajdował się pokój z zaciągniętymi zasłonami, ale nie mogła tak po prostu wparować do środka, szczególnie że za jedyną broń mogła posłużyć jej przewieszona przez ramię listonoszka. Ewentualnie kolce ze zmiażdżonych róż Kordeckiego. Zojka potrząsnęła głową zrezygnowana, wyobrażając sobie, jak wparowuje do pokoju z groźnie uniesionym bukietem i okrzykiem: „Uwolnij babunię albo cię kłujnę w zadek!”.

Nagle za drzwiami rozległy się kroki. Tuszyńska poderwała się na równe nogi i powiodła spanikowanym wzrokiem po korytarzu, a następnie dała nura do stojącej w rogu szafy. Mało brakowało, myślała wciśnięta między zalatujące stęchlizną futro a podwieszoną półkę wypełnioną butami. Stłumiła kichnięcie i kolejny raz przywołała w myślach świętego od spraw beznadziejnych.

W chwili, gdy panna Tuszyńska zmagala się z wierceniem w nosie i modlitwą do świętego Judy Tadeusza, aspirant Paweł Chochołek dotarł do Lipówki i zaparkował swój żółty samochód przed kościołem. Przez chwilę siedział bez ruchu za kierownicą, wpatrując się w nieduży dom z wyblakłej czerwonej cegły. Brama była zamknięta, ale z okien padało przytulne światło, potwierdzające obecność gospodarzy. Na podjeździe stała potężna terenówka. Mijając samochód, aspirant zagwizdał z podziwem. Ciekawe, czy produkują takie w żółtym kolorze?

Policjant podszedł do drzwi wejściowych i mocno w nie zastukał. Czekał, aż ktoś mu otworzy, zerknął przelotnie na trzymaną w dłoni teczkę z bilingiem telefonicznym Zofii. Mógł się mylić, ale coś mu podpowiadało, że rozwiązanie zagadki kryje się właśnie tutaj. Kiedy dobiegło go chrobotanie klucza w zamku, odchrząknął i przybrał surową minę. Na widok stróża prawa Marian Tuszyński wybałuszył oczy. Jego spojrzenie powędrowało w kierunku osobliwej fryzury niezapowiedzianego gościa i pozostało tam dłuższą chwilę.

– Dobry wieczór – przywitał się aspirant. – Czy zastałem Zofię Tuszyńską?

– Nie ten adres – wybełkotał Marian.

– Nie ma pan córki, która nazywa się Zofia Tuszyńska? – zdziwił się policjant.

– Mam – przyznał gospodarz, odrywając wzrok od włosów Chochołka i wzruszając obojętnie ramionami. – Ale pan władza na pewno jej nie szuka.

– Skąd pan wie, kogo szukam? – zirytował się Chochołek.

– Z doświadczenia – uprzejmie stwierdził ojciec Zosi.

Chochołek westchnął głośno i pokiwał głową ze zrozumieniem. A potem uśmiechnął się leciutko, złapał mężczyznę za łokieć i delikatnie wepchnął do środka.

– Rozumiem – powiedział, wchodząc za gospodarzem

i dyskretnie rozglądając się po korytarzu – że mówi pan o swojej bratanicy, ale dzisiaj nie szukam Zojki. Chcę porozmawiać z Zofią Tuszyńską, córką Mariana i Haliny. Czy to pańska córka? – zapytał na wszelki wypadek.

Marian podrapał się nerwowo po głowie.

– No chyba.

Chochołkowi opadły ręce. Na szczęście w tym momencie uchyliły się jedne z drzwi i stanął w nich Mikołaj Maliszewski. Paweł Chochołek nie lubił narzeczonego Zosi, bądź co bądź facet był w jakimś tam stopniu odpowiedzialny za śmierć Edyty Lizak i późniejsze kłopoty Zojki, ale teraz z ulgą przyjął jego pojawienie się. Odstąpił od oszołomionego Mariana i powiedział do sołtysa:

– Muszę porozmawiać z pańską narzeczoną.

Jakby na zawołanie zza ramienia Mikołaja wyjrzała przestraszona Zosia. Na widok policjanta jej oczy zrobiły się okrągłe jak piłeczki pingpongowe. Dziewczyna wyglądała, jakby zamierzała uciec do pokoju i schować się pod stół, więc Chochołek bez dalszej zwłoki przeszedł do rzeczy:

– Pani Zofio, mam tylko jedno pytanie. Gdzie jest pani babcia?

• ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY •

Babcia na pewno jest przetrzymywana w pokoju z zaciągniętymi zasłonami, stwierdziła Zojka, odsuwając się od wielgachnego futrzanego kołnierza, który łaskotał ją po policzku. Szafę wypełniały dziwaczne okrycia, nakrycia głowy, szaliczki i dodatki, które nie tylko okropnie śmierdziały, ale z pewnością wyglądały równie przerażająco. Przed momentem o mało nie zeszła na zawał serca, kiedy szukając wygodniejszej pozycji, złapała za coś do złudzenia przypominającego zwierzęcą łapkę. Woląca nie zastanawiać się, co to było. Zamiast tego usiłowała przypomnieć sobie wygląd domu, w którym się znalazła.

Był to nieduży, parterowy budynek, jakich wiele w polskich miasteczkach i wsiach. Zojka wielokrotnie widywała i odwiedzała takie domki, dlatego potrafiła mniej więcej odtworzyć rozkład pomieszczeń. Podejrzewała, że do pokoju wchodziło się z kuchni i z korytarza, z kuchni wychodziło się do pokoju i sieni, z kolejnego pokoju przechodziło się do jeszcze innego, a z tego znów do sieni – prawdziwa płatanina wejść i wyjść. Jeśli dobrze to rozgryzie, ma szansę dotrzeć do pokoju, w którym przestępcy przetrzymują babunię i Kordeckiego i uwolnić ich. Pozostaje tylko ruszyć w dobrą stronę i modlić się, by żadne drzwi nie zostały zamurowane. No i żeby w tym labiryncie nie zabłądziła.

Kołnierz połaskotał Zojkę po nosie i dziewczyna cichutko kichnęła, w ostatniej chwili osłaniając usta rękawem. Równocześnie stuknęły otwierane drzwi i w korytarzu rozległy się głosy. Kobieta zapowiedziała, że wychodzi, aby coś załatwić.

– Mam nadzieję, że kiedy wrócę, będzie już po wszystkim – powiedziała chłodno. Rzepka wymamrotał w odpowiedzi coś, co najwyraźniej nie przypadło jej do gustu, bo dodała podniesionym głosem: – A co to, pierwszy raz? Weź się w garść, do cholery, inaczej pójdziemy siedzieć na długie lata! Przyciśnij ją. Niech powie, gdzie są oszczędności! Po wszystkim musimy zniknąć, a na to potrzeba pieniędzy!

Po tych słowach rozległo się trzaśnięcie drzwi wyjściowych. Stojący w korytarzu mężczyzna głośno przeklinał, miotając się po pomieszczeniu i najwyraźniej czegoś szukając. Zojka wstrzymała oddech. A jeśli zajrzy do szafy?

Wyglądało jednak na to, że Witold Rzepka odnalazł to, czego szukał, bo drzwi zaskrzypiały, stuknęły, a potem w korytarzu zapanowała głucha cisza. Na wszelki wypadek Zojka spędziła w szafie jeszcze kilka minut, a kiedy zyskała pewność, że mężczyzna naprawdę zniknął, niezgrabnie wygramoliła się na zewnątrz. Nogi miała tak rozdygotane, że przez chwilę tkwiła w pozycji na czworaka, z nosem niemal przyklejonym do rozdeptanych róż.

Wychodząc, mężczyzna nie wyłączył światła i teraz w blasku słabej żarówki Zojka zauważyła trzy pary białych drzwi. Te na lewo prowadziły do pokoju, gdzie według niej przebywali uwięzieni, więc ostrożnie przytknęła do nich ucho. Dobięły ją przytłumione dźwięki muzyki. I coś jeszcze: stukoty, szelesty i... kroki! Ktoś zmierzał do wyjścia!

Przerażona Zojka odskoczyła do tyłu, złapała za klamkę środkowych drzwi i schroniła się w ciemnym pomieszczeniu przesiąkniętym zapachem kiszonej kapusty. Ukryta w mroku czekała na dalszy rozwój sytuacji. Nagle przeszedł ją lodowaty

dreszcz. Szczęknięta naciśnięta klamka i drzwi uchyliły się, wpuszczając do środka smugę jasnego światła. Zojka cofnęła się odruchowo i poczuła, że traci równowagę. Krzyknęła.

– To chyba policja powinna nam powiedzieć, gdzie jest babcia Zofia! – oburzył się Maliszewski.

Aspirant Paweł Chochołek nie zareagował na te słowa. Nie spuszczał wzroku z Zosi, która na przemian to czerwieniała, to bladła, by w końcu opaść na najbliższe krzesło i wybuchnąć płaczem. Zgromadzeni w pokoju spoglądali na nią zdezorientowani, a stropiony policjant nerwowo przestępował z nogi na nogę, nie wiedząc, czy pocieszać, czy naciskać dalej, by wydobyć z delikwentki całą prawdę.

Zdecydował się na półśrodek. Przysunął sobie krzesło i usiadł tuż obok szlochającej dziewczyny. Łagodnie poklepał ją po splecionych na oparciu dłoniach i przemówił najcieplejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć:

– Już dobrze, dobrze! Może mi pani wszystko opowiedzieć!

– Ale ja nie wiem, gdzie jest babcia! – wykrzyknęła Zosia, odwracając się do niego plecami i zalewając kolejnym potokiem łez.

Maliszewski łypnął na Chochołka groźnie i przykucnął obok jej krzesła.

– Słyszał pan...

Chochołek skinął głową i sięgnął do trzymanej na kolanach teczki.

– Wierzę pani – powiedział. – Ale w świetle nowych dowodów...

Uwaga zebranych skupiła się na kartce, którą wydobył. Nawet Zosia oderwała się od oparcia krzesła i spłoszona wpatrywała w jego ręce. Wydruk był już mocno wymiętoszony, ale to, co najważniejsze, było widoczne czarno na białym. Chochołek potrząsnął kartką i spojrzał Zosi prosto w oczy.

– Wierzę, że nie wie pani, gdzie jest babcia. Wie pani za to, gdzie jest jej komórka!

– Nie!

– Ależ tak! – Uśmiechnął się dobrotliwie.

– No co też pan! – warknął Marian. – Komórkę ma przy sobie moja teściowa. Przecież wysłała z niej SMS-a do Zojki!

– Naprawdę? – Policjant uprzejmie uśmiechnął się, po czym przeniósł wzrok na Zosię. – A mnie się wydaje, że tę wiadomość wysłał kto inny. Ktoś, kto potem wykorzystał komórkę pani Zofii, aby umówić się na przymiarke sukni ślubnej...

Pomachał kartką z bilingiem telefonicznym i powiódł zadowolonym spojrzeniem po twarzach zebranych. Zosia ponownie zaniósła się płaczem.

Zdezorientowana Zojka rozmasowywała obolałe ramiona. Kiedy drzwi się otworzyły, odruchowo cofnęła się do tyłu i poczuła, jak traci oparcie. Była przekonana, że to koniec. Witold Rzepka musiał ją dostrzec, a nawet jeśli jej postać skrywały ciemności – usłyszeć. Ale dopisało jej szczęście: cofając się, natrafiła na zasłonę oddzielającą wyziębioną sień od prowizorycznie zagospodarowanej spiżarni. W efekcie wylądowała tyłkiem w miednicy z kiszoną kapustą, która zamortyzowała upadek. I choć teraz wydzielała mdlący zapaszek, po raz kolejny udało jej się uniknąć spotkania z bezwzględny rzezimieszkiem!

Odczekała, aż mężczyzna opuści pomieszczenie, i ostrożnie odsunęła zasłonę. Światło padające z uchylonych drzwi pozwoliło jej obejrzeć miejsce, w którym się znalazła. Sień była długa i wąska. Część została zaadaptowana na spiżarkę, nieco dalej strome schody prowadziły na strych. Za schodami dostrzegła umiejscowione równolegle dwoje drzwi. Pewnie znajdowały się za nimi kolejne pokoje.

Zojka przyświeciła sobie komórką i rozejrzała się po

pomieszczeniu, szukając czegoś, co mogłoby okazać się przydatne podczas akcji ratunkowej. Na schodach prowadzących na stryszek spostrzegła siekierę, ale narzędzie było ciężkie i nieporęczne. Lepiej już nadawał się metalowy tłuczek do mięsa, który wystawał z glinianej donicy w rogu. Zojka zważyła go w dłoni i zadowolona zbliżyła się do drzwi po lewej.

Zerknęła przez dziurkę od klucza i gwałtownie wciągnęła powietrze. Na tapczanie pod ścianą ujrzała Kordeckiego. Redaktor leżał na brzuchu z zamkniętymi oczyma. Jego ręce były związane na plecach, a po skroni spływała krew.

Aspirant Paweł Chochołek pokonał drogę w wąwozie, przeklinając w duchu swoją słabą kondycję. Dostał zadyszki, pot zalewał mu twarz, a na dodatek co rusz potykał się na powykręcanych korzeniach drzew. Kiedy nareszcie wdrapał się na ganek, zwałił się na ławkę z głuchym jękiem i zaczął chłodzić rozpaloną twarz prowizorycznym wachlarzem z teczki. Znajdująca się w jej wnętrzu kartka i tak wyglądała, jakby wyjął ją psu z gardła.

Po tym, jak oskarżył Zosię Tuszyńską o zawłaszczenie telefonu babki i mataczenie w śledztwie poprzez wysyłanie nieprawdziwych SMS-ów, dosłownie wyrwano mu ją z dłoni. Ani Marian, ani Halina, ani ich przyszły zięć – nikt nie chciał uwierzyć w to, co powiedział policjant, ale biling telefoniczny nie kłamał. Papier przechodził z rąk do rąk przy wtórze szlochów Zosi i okrzyków niedowierzania wydawanych przez jej najbliższych, aż w końcu nieszczęsna kartka zamieniła się w wymiętoszony świstek.

Uspokojenie rozhisteryzowanej Zosi i uzyskanie od niej zrozumiałych wyjaśnień zajęło aspirantowi więcej czasu, niż się spodziewał, toteż do domku na wzgórzu dotarł, gdy było już

całkiem ciemno. Z daleka widział, że budynek tonie w ciemnościach, co oznaczało, że najpewniej nie zastanie Zojki w domu. Mimo to, gdy tylko uspokoił oszalały oddech i przetarł czystą chusteczką wilgotne czoło, podszedł do drzwi i mocno w nie załomotał.

Początkowo nic się nie działo, a potem po domku poniósł się ogłuszający jazgot zwabionego do drzwi Burka. Aspirant westchnął, obrócił się na pięcie i już miał zejść na ścieżkę, gdy usłyszał, jak za jego plecami w zamku przekręca się klucz. Zaskoczony Chochołek zawrócił do drzwi i zdumiony spojrzął na stojącą w progu postać.

Nad drzwiami błysnęła lampa i wejście zalał potok światła. Policjant ze świstem wciągnął powietrze.

– Niech mnie kule biją! – mruknął.

Zaniepokojona Zojka stwierdziła, że Kordecki w ogóle się nie rusza. A jakby tego było mało, nigdzie nie dostrzegła babuni. Może oprawcy trzymali ją w innym pokoju? Albo w piwnicy? Tuszyńska usiłowała sobie przypomnieć, czy po drodze dostrzegła cokolwiek, co wyglądałoby na zejście do piwnicy, ale nic takiego nie przychodziło jej na myśl. Nie widziała także Rzepki, ale zza ściany dochodziły odgłosy krzątania.

Rzuciwszy okiem w dziurkę od klucza, Zojka przykucnęła w kącie i kolejny raz wybrała numer Chochołka. Kiedy zgłosiła się poczta głosowa, zaklęła pod nosem. Na policjanta naprawdę nie można było liczyć. Ani się do takiego dodzwonić, ani o wsparcie poprosić. Na pewno polazł na randkę i wyłączył telefon albo szwendał się Bóg wie gdzie, nie zważając na to, czy ma zasięg w telefonie. Na kolejne próby zabrakło już czasu. Kordecki wyglądał, jakby lada chwila miał wyzionąć ducha, babuni ani widu, ani słychu, a poziom baterii w komórce zbliżał się do niebezpiecznego poziomu. Szybko napisała lakoniczną

wiadomość, informując o powadze sytuacji i mniej więcej określając ich położenie. Potem wyłączyła komórkę, rzuciła w kąt listonoszkę, która krępowała jej ruchy, zacisnęła drżącą dłoń na trzonku tłuczka i ostrożnie nacisnęła klamkę.

Kordecki oddychał.

I na tym dobre wiadomości się kończyły. W pokoju nie było ani babuni Łyczakowej, ani niczego, co świadczyłoby, że kiedykolwiek tu przebywała. Dziewczyna stłumiła uczucie rozczarowania i nachyliła się nad nieruchomym mężczyzną. Twarz Kordeckiego przecinały strużki krwi. W niektórych miejscach już przysychały i przybrały brunatny odcień. Rana na głowie nie wyglądała ładnie. Redaktor cały czas był nieprzytomny, ale oddychał regularnie. Zojka odetchnęła z ulgą, a potem wymierzyła mu tęgiego kuksańca pod żebra. Że też jeszcze o takiego musi się martwić!

Zostawiła Kordeckiego na tapczanie, a sama ponownie wzięła do ręki tłuczek i zbliżyła się do drzwi, zza których dobiegała muzyka. Niestety, tym razem nie mogła zajrzeć do środka przez dziurkę, bo najwyraźniej w zamku tkwił klucz. Na próbę nacisnęła klamkę i zadowolona stwierdziła, że ta ustępuje.

Nagle muzyka zamilkła i dom pogrążył się w niepokojącej ciszy. Zojka zrozumiała, że jej ruch zaalarmował Rzepkę i że zjawi się on w pokoju lada chwila. Wstrzymała oddech i przylgnęła do stojącej obok witryny, wtulając się plecami w chłodną tafłę przeszklonych drzwi. Gdzieś za ścianą zatrzeszczała podłoga, potem jeszcze raz i wtem pchnięte drzwi otworzyły się na oścież, rzucając na wzorzysty dywan smugę pomarańczowego światła. Ustawione za szybą kieliszki i szklanki zabrzczały melodyjnie. Zojka tkwiła w bezruchu. Wyczuła, że mężczyzna zatrzymał się w progu i bada wzrokiem wnętrze pokoju. Poczynione obserwacje najwyraźniej nie

usatysfakcjonowały Witolda, bo leniwym krokiem zbliżył się do posłania, na którym leżał Kordecki, i długo przyglądał mu się z góry. Zojka analizowała swoje położenie. Jeszcze sekunda i mężczyzna odwróci się, a wtedy...

W tym momencie przybyły uniósł ramię, a Zojka zrozumiała swoją pomyłkę. Rzepka nie zjawił się w pokoju, aby sprawdzić, czy Kordecki się ocknął. On przyszedł, aby go zabić! Posprzątać, jak ładnie określiła to współniczka tej kanalii!

Nie było czasu do stracenia. Zojka oderwała się od witryny, bezszelestnie przemknęła przez pokój i dopadła do zamierzającego się Witolda. Chwyciła oburącz metalowy trzonek, a potem wycelowała tłuczkiem prosto między szeroko rozstawione nogi mężczyzny.

Ciszę wieczoru zakłócił piskliwy dźwięk przychodzącej wiadomości. Aspirant Paweł Chochołek stłumił uczucie irytacji i sięgnął po komórkę. Rzucił okiem na wyświetlacz, zmarszczył brwi, spojrzął na stojącą w drzwiach kobietę i ponownie odczytał wiadomość.

– Hmmm. – Odchrząknął zakłopotany. – Chyba muszę już iść.

– A gdzie się władza tak spieszy? – zaskrzeczało od progu.

– Cóż, Zojka właśnie napisała, że panią odnalazła. A skoro pani jest tutaj, to na pewno nie ma pani tam. A skoro nie ma pani tam, to ja nie wiem, kogo ona odnalazła. I chyba mi się to nie podoba...

Witold Rzepka upadł na podłogę z głośnym hukiem, osłaniając dłońmi swoje najcenniejsze klejnoty. Ściskająca tłuczek Zojka spojrzała krytycznie na purpurową, poznaczoną grubymi żyłami twarz mężczyzny i pomyślała, że ten niepotrzebnie się trudzi. Może nie była specjalnie wysportowana, ale oko miała dobre

i według niej nie było już czego osłaniać.

Przez chwilę spoglądała na Witolda z góry, a potem schyliła się i podniosła porzucony przez niego masywny pogrzebacz. Zamachała nim w powietrzu i zapowiedziała Rzepce, że ma się nie ruszać. Inaczej ona wróci i sprawdzi, czy równie dobrze wychodzi jej uderzanie z przodu.

– Jesteś kanalią najgorszego sortu – powiedziała drżącym głosem. – Oszukujesz ludzi, którzy zwracają się do ciebie w nadziei, że znajdą miłość i osłodzą sobie ostatnie lata życia. Ograbiasz ich z oszczędności na czarną godzinę. Babunia od razu się na tobie poznała, prawda? Dlatego musiała zniknąć! I jeszcze tę łajzę Kordeckiego chciałeś zamordować... – Pokręciła głową. – Mam nadzieję, że amputują ci siurka.

To powiedziawszy, cisnęła pogrzebaczem na dywan i rzuciła się w kierunku sąsiedniego pokoju. Pod jej stopami zatrzeszczało rozgniatane szkło. Zojka omiotła spojrzeniem przytulne wnętrze i zmarszczyła brwi. Nikogo tu nie było! Zniechęcona opadła na stojący w rogu fotel i oparła głowę o miękkie zagłówek. Czuła potworne zmęczenie, miała ochotę przymknąć oczy i zasnąć...

I wtedy jej wzrok padł na połyskliwą meblościankę. Zerwała się z siedziska i gwałtownie pociągnęła za ozdobną gałkę, uchylając drzwi szafy. Ciasne wnętrze wypełniały kolejne futra, etole i nadgryzione zębem czasu eleganckie kreacje. A pomiędzy nimi na małym stołeczku siedziała skrępowana staruszka.

Zojka wydała z siebie piskliwy okrzyk i rzuciła się na kolana, aby ją uwolnić. Ale zanim zdążyła chociażby sięgnąć do zaciśniętych na nadgarstkach więzów, poczuła lekkie klepnięcie w ramię. Zaskoczona spojrzała za siebie i struchlała. Nerwowo poruszyła ręką w poszukiwaniu tłuczka, ale stojąca tuż za nią kobieta pokręciła głową z uśmiechem.

– To chyba jest twoje. – Cisnęła w Zojkę listonoszką. Potem zamachała trzymanym w drugiej ręce tłuczkiem. – A to sobie

zostawię.

Oszołomiona Zojka nerwowo przełknęła ślinę. Nic dziwnego, że śledztwo szło tak opornie. Wspólniczką Witolda Rzepki była przyjaciółka Chochołka!

Paweł Chochołek mknął w kierunku Wadowic, przeklinając mokrą nawierzchnię, polatującą z nieba mżawkę i Zojkę Tuszyńską. W co tym razem wpakowała się ta nieznośna dziewczyna? Jeszcze w Lipówce próbował się do niej dodzwonić, ale oczywiście miała wyłączony telefon. Z wiadomości, którą mu wysłała, wywnioskował, że razem z Kordeckim wpadli na ślad babuni Łyczakowej i wpakowali się w tarapaty.

Chochołek mgliście kojarzył domek, o którym wspomniała Zojka, i natychmiast posłał tam radiowóz. Zastrzegł jednak, by mundurowi tylko się rozejrzeli i poczekali z wejściem, aż sam znajdzie się na miejscu.

Minął właśnie most na Skawie i skręcał w ulicę Putka, kiedy odezwała się komórka leżąca na siedzeniu pasażera. Chochołek złapał telefon niecierpliwym ruchem i zaklął półgłosem. Dzwoniła panna Monika.

– Potrzebuję pomocy! – krzyknęła. – Ktoś jest pod moimi drzwiami, próbuje dostać się do środka!

Serce aspiranta Chochołka wykonało podwójne salto i zatrzymało się na ułamek sekundy. Policjant przełknął głośno ślinę.

– Będę najszybciej, jak zdołam – wychrypiał.

Zojka zerknęła na uwięzioną w szafie staruszkę. Pomarszczona twarzyczka otoczona burzą siwych loczków była bardzo blada. Pierś starszej pani unosiła się ledwie dostrzegalnie. Przełknęła nerwowo ślinę i spojrzała na Monikę.

– Uwolnij ją – poprosiła słabo. – Ona nie wytrzyma...

Kobieta pokręciła głową z lekkim uśmiechem.

– Tym lepiej. Jeden problem z głowy. Tobą też się zajmiemy, nic się nie martw. Niech tylko ten żalosny dupek poskłada swoje jaja do kupy! – Zerknęła w kierunku drugiego pokoju i skrzywiła się z niesmakiem. – Zresztą o jakich jajach my mówimy...

– Nie wywiniesz się – warknęła Zojka. – Powiadomiłam aspiranta, gdzie jesteście.

– Nie liczyłabym na tego naiwnego głupca – zakpiła Monika. Zbliżyła się do Zojki i uniosła jej głowę trzonkiem tłuczka. – Wystarczył jeden telefon i z wywieszonym językiem pomknął pod wskazany adres. A teraz wybaczone, muszę dokończyć to, co zaczął mój nieudolny współnik.

Zanim Zojka zdążyła się spostrzec, kobieta wepchnęła ją do szafy, zatrzasnęła drzwi i zastawiła je ciężkim fotelem. Czas dłużył się niemiłosiernie. O Boże, myślała spanikowana dziewczyna. Uduszę się od smrodu tych wszystkich futer, a ona w tym czasie zamorduje Kordeckiego! A jeśli się nie uduszę, przyjdzie tu po mnie i ubije jak schabowe na niedzielny obiad. Nie chcę skończyć jako rozbity kotlet!

Ledwie to pomyślała, a rozległo się szuranie, a zaraz potem drzwi szafy stanęły otworem. Pod wpływem światła Zojka zmrużyła oczy, a kiedy na powrót je otworzyła, ujrzała twarz przejętego Chochołka. Aspirant podał jej rękę i pomógł wygramolić się z szafy, a potem wziął na ręce nieruchomą staruszkę i przeniósł ją na fotel. Pokój wypełniał się służbami mundurowymi i medycznymi. Zojka zmobilizowała wszystkie siły i na drżących nogach zbliżyła się do drzwi między pokojami. Przystanąła w progu i patrzyła, jak policjanci zabierają przestępców, a nad Kordeckim pochyla się lekarz z niedużą latarką.

Za plecami Zojki przystanął Chochołek. Dziewczyna posłała

mu kąśliwe spojrzenie.

– Długo panu zeszło, aspirancie...

Chochołek odchrząknął zakłopotany.

– Cóż, naiwni głupcy potrzebują więcej czasu...

Kiedy kilka godzin później Zojka wysiadła z kanarkowożółtego forda i spojrzała w kierunku domu na wzgórzu, ujrzała między drzewami przytłumioną poświatę. Takie światło dawała tylko lampa na ganku! Dziewczyna poczuła, jak po policzkach spływają jej łzy. Jak wichur pokonała drogę w wąwozie i ścieżkę prowadzącą do schodów, przemknęła przez ganek i sień, wpadła do kuchni i z mocno bijącym sercem rozejrzała się po jej wnętrzu. Babunia Łyczakowa uniosła się zza stołu i wyciągnęła ramiona. Dziewczyna wpadła w nie z ledwie tłumionym szlochem.

– Babuniu, jesteś...

– No i czemu ryczysz, głupia...

• ROZDZIAŁ OSIEMNASTY •

– Miało być do zakochania jeden rok, a do odsiadki wyjdzie trochę więcej – sentencjonalnie skwitował Chochołek, sięgając po kawałek drożdżowego ciasta. Aspirant oblizał się łakomie i z uznaniem spojrzał na babunię Łyczakową. – Ciasto udało się dziś wyśmienicie. No, niebo w gębie!

– Niech się władza nie podlizuje, bo śliwki w tym roku nie obrodziły i więcej ciasta nie będzie – sarknęła staruszka. – Poza tym ja ciągle jestem obrażona, że zlikwidowaliście agencję, zanim zdążyłam skorzystać z jej usług. A takie wiązałam z nią piękne plany! – ciągnęła rozmarzona.

– O, to ciekawe... A jakie? – dociekał Kordecki.

Zarumieniona Zojka zerwała się zza stołu i sięgnęła po talerz.

– To ja może jeszcze dokroję tego ciasta, skoro aspirantowi tak smakuje. Bo potem się zeschnie i... – mruknęła pod nosem.

Chochołek skinął głową z aprobatą, wepchnął do ust ostatni kawałek, popił słodki przysmak herbatą i spojrzał z namysłem na starszą panią. Coś mu się nie zgadzało...

– Zaraz, zaraz, ale jak to pani nie skorzystała? Osobiście zabezpieczałam rejestry agencji i widziałam nazwisko...

– A czy to jednemu psu Burek? – Staruszka uśmiechnęła się chytrze. Jak na zawołanie u jej stóp zmaterializowało się kudłate psisko. Zamyślona babunia gładziła bure kłaczki

i wciąż uśmiechała się pod nosem. – Ale żeście akcję poszukiwawczą zorganizowali, to mi się w głowie nie mieści!

– Gdyby mama siedziała na tyłku w domu... – wtrąciła Krystyna.

Babunia przerwała jej bezceremonialnie:

– Ty lepiej siedź cicho! Żeby starego człowieka własna rodzina nie szukała... – chlipnęła. Krystyna oniemiała.

– Przecież mama nie zaginęła!

– Ale mogłam! Mogli mnie porwać albo wręcz zamordować, a nikt by nawet z lampką podwórka nie obszedł. Jedna Zojka tylko... – Kiwała głową znacząco. Zojka, która właśnie wróciła z talerzem pełnym placka ze śliwkami i kruszonką, zarumieniła się po cebulki włosów. – A wy byście starą babkę najchętniej zamknęli w piwnicy. Nic się człowiekowi od życia nie należy, żadna rozrywka... – ciągnęła rozgoryczona babunia.

– I przez te twoje rozrywki mało do nieszczęścia nie doszło! – warknęła Krystyna.

– Skąd mogłam wiedzieć, że zamiast przeczytać mój list, to roztrzepane dziewuszysko rozpali nim w piecu? Przecież wyraźnie napisałam na kartce, gdzie jadę i kiedy wrócę! Poza tym zamiast drzeć się na starą kobietę, powinniście mi podziękować: dzięki mnie Zojka i redaktor zaangażowali się w poszukiwania, trafili do agencji i zdemaskowali oszustów.

– To prawda, hmm – wtrącił zarumieniony Chochołek. – Ten niecny duecik działał już kilka lat i zbijał na tym niezłe kokosy. Rzepka był współnikiem Barbary Norkowskiej, dzięki czemu miał wgląd w akta agencji. Typował starsze, samotne osoby, a następnie wraz z panną Moniką zastawiał sidła. Jeśli namierzali mężczyznę, uwodziła ona, jeśli chodziło o kobietę – do akcji wkraczał on. Nie spieszyli się. Zaciągali pożyczki, stopniowo ogałacali mieszkanie z kosztowności, wyłudzali pieniądze, a potem znikali. Według naszych ustaleń tylko na terenie Małopolski oszukali w ten sposób kilkadziesiąt osób!

– To nieprawdopodobne! – obruszył się Kordecki. – I nikt nigdy nie złożył skargi...

– W wielu przypadkach było na to po prostu za późno, bo oszukane osoby zmarły. A czasami pewnie chodziło o zwyczajny wstyd... – bąknął aspirant, który na myśl o tym, jak dał się podejść wspólnicze Rzepki, odczuwał potworne zażenowanie.

Redaktorowi zrobiło się żal policjanta.

– Aż pewnego dnia nasi oszuści trafili na Franciszkę Gryz-Potocką – wtrącił.

– Wybranekę redaktora. – Zojka uśmiechnęła się kąśliwie.

Kordecki wybuchnął śmiechem.

– Owszem. System sparował mnie z panią Gryz-Potocką, czym w pierwszym momencie nie byłem zachwycony. Ta wiekowa dama dała mi niezłe do wiwatu na wieczorku randkowym w restauracji. Do tej pory kręci mi się w głowie na samą myśl o tych piruetach!

– Pani Gryz-Potocka znajdowała się na celowniku Rzepki – dodał Chochołek. – Była samotna, stylizowała się na światową damę, nie stroniła od biżuterii i futer. Wyglądała na wymarzony cel. Od początku sprawiała jednak naszym gagatkom problemy. Nie dała się nabrać na gładki uśmiech Witolda, dlatego zniecierpliwieni przestępcy napadli ją w domu... Nie wiedzieli jednak, że pani Franciszka ma przyjaciela i obrońcę. – Uśmiechnął się.

Kordecki odchrząknął zażenowany.

– Kiedy dowiedziałem się, że podejrzewacie agencję o udział w oszustwach, postanowiłem porozmawiać z Franciszką i delikatnie wysondować, co sądzi na temat usług świadczonych przez Norkowską. Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Frania jest niezwykle kobietą i snuje fascynujące opowieści o dawnych Wadowicach. Już wkrótce na łamach „Kroniki” ukaże się pierwszy z jej felietonów!

– Jak dobrze, że tamtego dnia wybrałeś się do niej

z urodzinowym bukietem – westchnęła Zojka.

– Jak dobrze, że mnie śledziłaś i ruszyłaś z odsieczą – wtrącił z ironią dziennikarz.

– Ile razy mam mówić, że przechodziłam przypadkiem i zobaczyłam przewróconą beczkę? Nie chciałam, by stoczyła się na ulicę...

– Tak, a świstak siedzi... – uniósł się redaktor.

Widząc, że zanosi się na awanturę, Krystyna zapytała:

– No a pan, redaktorze? Jak pan się czuje? Pańska głowa...

– Z tą głową nigdy nie było dobrze – mruknęła pod nosem Zojka.

Kordecki spiorunował ją wzrokiem.

– Dziękuję, z moją głową jest coraz lepiej. W poniedziałek zdejmą mi szwy. Za to żebra trochę mi dokuczają. To dziwne, bo byłem przekonany, że dostałem tylko w czerep...

– Rzepka skończył gorzej – mruknął aspirant i przewrócił oczami.

Kiedy pół godziny później goście się rozeszli, Zojka posprzątała ze stołu, zmyła naczynia i wyszła na ganek. Babunia siedziała na krześle. Na kolanach trzymała Filipa, Burek zaś opierał kudłaty łeb o jej stopę. Dziewczyna wsparła się o balustradę, spojrzała na starszą panią i zmarszczyła nos.

– Całkiem ładne te twoje niebieskie włosy, babuniu.

– Mówisz? – Starsza pani zaśmiała się. – Kiedy aspirant mnie zobaczył, zrobił minę, jakby spotkał ducha! Ja tam uważam, że są bardzo twarzowe. Pasują mi do dżinsowej koszuli i do kowbojskiego kapelusza.

– Nie mogę uwierzyć, że kiedy ja ścigałam twoich porywaczy, ty w najlepsze wylegiwałaś się w kozim mleku i farbowałaś włosy! Naprawdę wygrałaś pobyt w spa? Z gazety?

– Jak siebie kocham! Zupełnie zapomniałam o tym konkursie.

Przypomniałam sobie dopiero, kiedy zadzwoniła redaktorka i powiedziała, że główna laureatka złamała nogę i zrezygnowała. Miałam pięć sekund, by podjąć decyzję. Spakowałam walizkę, napisałam liścik, a resztę już znasz...

– Ale dlaczego nie zabrałaś ze sobą komórki?

– Wstyd się przyznać, ale byłam tak podekscytowana, że o niej zapomniałam.

– Ty tak, za to Zosia... – Rozgoryczona Zojka pokręciła głową. Nie potrafiła wybaczyć kuzynce, że ta włamała się do domku na wzgórzu i ukradła komórkę babuni. Zosia tłumaczyła, że nie chciała, by prowadzone przez policję poszukiwania przyćmiły jej przygotowania przedślubne i nadały im atmosfery skandalu. Podśluchiwała rozmowę rodziców, którzy narzekali, że nieodpowiedzialne zachowanie starszej pani sprowadza na rodzinę wstyd, i postanowiła temu zaradzić. – Ale twoja przyjaciółka to mi mogła powiedzieć! – mruknęła.

– Nie wiedziała! Wspomniałam jej o umówionej randce, więc pewnie uznała, że musi mnie „kryć” przed demoniczną rodziną. Ty mi lepiej powiedz, co zrobiłaś Guzikowej? Dlaczego łązi po wsi w koralach i kościółkowym swetrze? Dlaczego patrzy na mnie, jakbym ją w ławce przed amboną podsiadła?

Ale Zojkę interesowało coś innego, nie fochy niespełnionej przynęty. Zmarszczyła brwi.

– Zaraz, zaraz... Jakiej randce?

– Ech, daj spokój – parsknęła staruszka. – Usiądź tu na schodkach, to ci coś opowiem. To spa, w którym zafarbowali mi włosy na niebiesko, mieści się w takim starym dworku...

– Uhm...

– Nie uhm, tylko słuchaj mnie. I tam mają taki stary obraz i raz nawet chciano go ukraść. A innym razem to chłop im zszedł. Na stole do masażu. A masażystkę to zatrudniają taką, co ma szparę na pięcioletówki między zębami... Dlaczego rzysz jak głupia? Nie wierzysz mi?

Zojka zbiegała drogą w wąwozie, układając sobie w głowie, co powie Zosi. Zarówno Krystyna, jak i babunia Łyczakowa naciskały, aby dziewczęta się pogodziły. Obie macie swoje za uszami, sarkała starsza pani, a Zojka kiwała głową mechanicznie. Ona najchętniej wyszarpałaby Zośkę za kudły, ale z babunią się nie dyskutowało.

Nagle przystanąła zdumiona. Kordecki nieelegancko wypinał w jej stronę swoje cztery litery i grzebał zapamiętałe pod maską czerwonego samochodu. Dziewczyna zbliżyła się powoli.

– Nie chce odpalić – oświadczył grobowym tonem dziennikarz.

Zojka pokiwała głową z poważną miną.

– Od początku mi się nie podobał.

Kordecki zmierzył ją morderczym wzrokiem i ponownie skupił uwagę na tym, co znajdowało się pod maską.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi – mruzczał bardziej do siebie niż do Tuszyńskiej.

Zojka odchrząknęła.

– Nalałeś benzyny?

– Tak!

– Na pewno? Bo bez benzyny nie pojedzie...

– Nie pomagasz!

– Nie znam się na autach. – Wzruszyła ramionami, zmierzając w kierunku wsi. Na odchodnym rzuciła przez ramię: – Wezwij pomoc drogową.

– Już to zrobiłem, ale dzięki – burknął. Nagle zawołał ją. Zojka odwróciła się zaskoczona. – Wiesz, właściwie to ci nie podziękowałem. Za to, że uratowałaś Franciszkę. No i mnie też, oczywiście.

– Nie ma za co. – Zarumieniona Zojka obrzuciła krótkim spojrzeniem okolice jego żeber. – Poza tym przechodziłam przypadkiem, więc...

– No i na pewno bym sobie poradził, więc niepotrzebnie się trudziłaś, ale wypada podziękować...

– Wypada? – Zojka zamarła z uchylonymi ustami. Och, powie temu redaktorkowi zakichanemu, co o nim sądzi. Nie zdążyła jednak, bo Kordecki nagle uśmiechnął się lekko.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Ty też mnie uratowałaś. Teraz jesteśmy kwita.

Obróciła się na pięcie i z uśmiechem na ustach ruszyła przed siebie.

Aspirant Paweł Chochołek zamknął samochód, szarpnął kontrolnie za klamkę i rozejrzał się na boki. Kiedy przekonał się, że jest zupełnie sam, dyskretnie poprawił pasek przy spodniach. Wypieki, jakimi częstowano go w domku na wzgórzu, były wyśmienite. Za to proszki do prania sprzedawali w sklepach coraz gorsze. Ubrania kurczyły się w oczach!

Policjant westchnął i przełożył do drugiej ręki reklamówkę z przysmakami dla kanarka. Musiał jakoś wynagrodzić Kleofasowi ten czas, gdy zauroczony panną Moniką zaniedbywał ulubieńca. Ech, panna Monika... – Policjant pokręcił głową zniechęcony. Tak się cieszył, że w końcu spotkał fantastyczną kobietę, która rozumie jego zaangażowanie w pracę! Że już nie będzie samotny, a planowanie zimowych wieczorów i letnich wakacji w końcu nabierze rumieńców. Zamiast tego stał się pośmiewiskiem całej komendy, ba! Całego miasteczka! Z prokuratorką znacząco unoszącą brew na czele!

Na samą myśl aspirant skulił się w sobie i przemykając między zaparkowanymi autami, ruszył w kierunku domu. Uporczywie wgąbiał się przy tym w czubki butów i niespodziewanie wpadł na stojącą na chodniku kobietę. Uderzył w nią z takim impetem, że się biedaczka zachwiała i niechybnie wylądowałyby na ziemi, gdyby jej nie chwycił

w ostatniej chwili.

– Przepraszam, zamyśliłem się... – mruknął zawstydzony Chochołek, nie patrząc na swoją niedoszłą ofiarę.

– Nie szkodzi, aspirancie – zaszemrał słodki głosik.

Paweł Chochołek podniósł oczy zdumiony i zmierzył zaciekawionym spojrzeniem drobną młodą kobietę z zarumienionymi policzkami.

– Czy my się znamy? – bąknął.

– Och. – Spłoszyła się napotkana. – Niezupełnie. Osobiście nigdy nie mieliśmy przyjemności, ale znajomość z panem została mi zaproponowana przez agencję matrymonialną. Niestety, nie zdążyłam się skontaktować, bo... Jestem Klara, pracuję w bibliotece miejskiej.

– Klara – powtórzył nieprzytomnie policjant.

– Tak. Właściwie to szkoda, że nie zdążyłam zainicjować spotkania... – Zaczerwieniła się i spuściła oczy. Aspirant poczuł, jak serce w jego piersi przyspiesza.

– Hmm, więc pani pozwoli, że ja zainicjuję? Prawda, że to bardzo ładne słowo? Zupełnie jak troglodyta!

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

• POSŁOWIE •

Kochany czytelniku!

Dziękuję, że wróciłeś do Lipówki i po raz kolejny spotkałeś się ze mną, z Zojką, babunią Łyczakową i pozostałymi bohaterami *Kroniki pechowych wypadków*. Cieszę się, bo to oznacza, że zdobyli Twoją sympatię i zdecydowałeś się z nimi zaprzyjaźnić. Jak ja. Uwielbiam swoich bohaterów, wspominałam już o tym?

Mam nadzieję, że wygodnie Ci na ławeczce pod modrzewiem i że Zojka nie wyjadła całej kruszonki z ciasta, którym poczęstowała Cię babunia. No i że zostawiłeś małe co nieco aspirantowi Chochołkowi. Choć jego proszek do prania nie działa jak trzeba, a spodnie coraz mocniej cisną w pasie, nasz ulubiony stróż prawa z pewnością nie zrezygnuje ze słodkiej przekąski. Kalorii potrzebuje jak nikt inny, bo i pracuje ciężko. Przecież wciąż nie natrafił na tę jedną wyjątkową sprawę kryminalną, która przyniosłaby mu zaszczyty! Może znajdzie ją w Lipówce?

Chodź, zrobimy sobie małą przechadzkę po wsi. Pokonamy drogę w wąwozie, ocienioną przybranymi w jesienne szaty drzewami. Miniemy przejazd kolejowy i mostek na strumieniu. Zajrzemy przez płot do Michniaków i pokiwamy głową nad brakiem grządek z kartoflami, a potem zerkniemy, co ciekawego ogląda w telewizji Guzikowa. Nie, nie wchodzimy do środka,

wystarczy jedno dyskretne spojrzenie przez okno. Nie, nie boję się jej, no co ty!

Idziemy dalej? Spójrz, terenówka sołtysa na podjeździe Tuszyńskich, chyba zawrócimy. Zosia ma przedślubne humory, może przymiarka sukni ślubnej nie poszła po jej myśli. Wracajmy na przystanek, za chwilę odjeżdża nasz pociąg. Spójrz między drzewa, jak ładnie widać światło na ganku domku babuni! Prawda, że aż się prosi, by odwiedzić mały domek na wzgórzu?

O, przyjechał nasz pociąg i kończy się kolejna przygoda w Lipówce i Wadowicach. Wąsaty kolejarz daje sygnał do odjazdu. Uśmiechnij się, wkrótce znowu się spotkamy!

• PODZIĘKOWANIA I USPRAWIEDLIWIENIA •

To już taka tradycja, że po napisaniu powieści nabiera się ochoty do wypowiedzenia kilku słów podziękowania. Zatem zaczynamy:

– Grzegorzowi, Milence i moim futrzastym towarzyszom – posłużę się banałem, ale banały mają to do siebie, że często są prawdziwe. Jesteście sensem wszystkiego.

– Czytelnikom – dziękuję, że czytacie, wspieracie, jesteście. Że wybaczacie potknięcia, podpowiadacie i motywujecie. Szczególnie gorące uściski ślę fanom strony i członkom grupy *Fani książek Joanny Szarańskiej* na Facebooku. Fajnie wiedzieć, że jesteście!

– Ekipie Czwartej Strony i Wydawnictwa Poznańskiego, wszystkim byłym i obecnym pracownikom. Kindze oraz osobom odpowiedzialnym za korektę, oprawę graficzną itd. Bez Waszego wsparcia i zaangażowania byłaby nie Lipówka, a jedna wielka lipa ;)

– Blogerom, recenzentom, patronom medialnym za wszelką pomoc, ciepłe słowa, sugestie.

– Asi Wolf, która wymyka się ramom blogosfery i tak po prostu jest mi bliska. I do tego uwielbia Chochołka.

– Magdzie Majcher, z którą zawsze mogę pogadać.

– Monice, Marcie i Joli. One wiedzą za co :)

- Renacie za bystre oko.
- I wszystkim osobom, które ciepło przyjęły moje powieści i tym samym pozwalają mi spełniać moje marzenie o pisaniu!

Mam wrażenie, że w tej powieści specjalnie nie narozrabiałam, ale wybaczcie mi wszelkie potknięcia i porywy fantazji. W Wadowicach nie znajdziecie biura matrymonialnego „Do Zakochania Jeden Rok” ani małego domku Frani wciśniętego między bloki na Kopernika. Możecie za to odwiedzić Galicjankę i inne opisane przeze mnie lokale gastronomiczne, napić się dobrej kawy i zjeść coś słodkiego: niekoniecznie kremówkę za cztery pięćdziesiąt. Oczywiście wszystkie opisane przeze mnie zdarzenia są fikcyjne, niemniej uważajcie na mrugającego donzuana ;)

• SPIS TREŚCI •

- ROZDZIAŁ PIERWSZY •
- ROZDZIAŁ DRUGI •
- ROZDZIAŁ TRZECI •
- ROZDZIAŁ CZWARTY •
- ROZDZIAŁ PIĄTY •
- ROZDZIAŁ SZÓSTY •
- ROZDZIAŁ SIÓDMY •
- ROZDZIAŁ ÓSMY •
- ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY •
- ROZDZIAŁ DZIESIĄTY •
- ROZDZIAŁ JEDENASTY •
- ROZDZIAŁ DWUNASTY •
- ROZDZIAŁ TRZYNASTY •
- ROZDZIAŁ CZTERNASTY •
- ROZDZIAŁ PIĘTNASTY •
- ROZDZIAŁ SZESNASTY •
- ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY •
- ROZDZIAŁ OSIEMNASTY •
- POSŁOWIE •

• PODZIĘKOWANIA I USPRAWIEDLIWIENIA •